



# NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron

Warszawa, 25 maja 1952 r.

Nr 21 (113) Rok III

W NUMERZE m. in.: Julian Strykowski — Życie w służbie idei; Lesław Bartelski — Literatura na strażackim wozie; Zbigniew Kempka — Problemy biblioteczne; Jan Koprowski — Do przyjaciela; Seweryn Pollak — Trudna droga poety; Wiktor Hugo — wiersze w przekładzie Zbigniewa Bielińskiego; Stanisław Lem i Roman Hussarski — Licentia poetica, czyli kilka słów o przekładach wierszy Garcíi Lorki; Zbigniew Szymański — W piętnastolecie zamordowania przez faszystów Federico Garcíi Lorki; Bohdan Czeszko — Cztery opowiadania; Mahmut Makal — Nasza wieś; Franciszek Fenikowski — Reportaż o dzielnym trampie; Anna Grabska — „... Nasz monument surowy, nasz fronton koronkowy...”; Zofia Woźnicka — Nowa treść w starym zwierciadle; Salomon Łastik — „Wierzyby nad Sekwaną” — powieść dokument; Ludwik Grzeniewski — Spotkania z klasykami; Bogdan Butryńczuk — Sztuka Howarda Fasta; Stanisław Marczak-Oborski — Powrót pani Dulskiej; Jerzy Broszkiewicz — Pamiętnik lat młodości; Antoni Marianowicz — Refleksje na temat znaczenia wyrazów.

Nasze  
450  
milionów

STEFANIA ŁOBACZEWSKA

## BEETHOVEN A NASZA EPOKA

Wiele już pisano o wolności, której rozmiary dyktowały prawa kapitalistycznego rynku pracy. „Wolność spania pod mostem” stała się już demaskatorskim przysłowiem. Dopiero czas rewolucji socjalistycznej odkłamał piękne słowo. „Głosy Ameryki” rzucają w nas spód posagu Wolności skamieniałą obłudą. Madryty kłamią o wolności nauki w ich świecie, gdzie połowy ludzkości nie stać na naukę pisanie i czytanie, ale nie na to nie poradzą, że u nas właśnie wolność wstępuje nawet w życie ludzkich idei, których ciałem dotykającym jest książka.

Czyż książka w krajach kapitalistycznych znała wolność inną niż „wolność spania pod mostem”. Przecież o niedzy jej życia w tamtym społeczeństwie stanowiła właśnie jej kontakt wyłącznie z warstwą uprzywilejowanych. 500 egzemplarzy nakładu powieści stanowiło paradoksalny znak równania do setek tysięcy bezrobotnych. Wyjątkowość drugich i następnych wydań stanowiła w ostatecznym obrachunku aneks do zjawiska powolnego analfabetyzmu. Rządy ludowe przyniosły wolność odkłamaną. Wspaniałe jej światło w świecie literatury stanowią dni Oświaty, Książki i Prasy.

W r. 1951 wydrukowano u nas 450 milionów książek, służących tej sprawie. Gdy w r. 1937 na 1000 mieszkańców wydano 47 egzemplarzy książek naukowych, w r. 1950 wydano ich u nas 594. Gdy w r. 1937 wydano mniej niż jeden podręcznik na dziecko, w r. 1950 wydano ich ponad 10. Do kwietnia bieżącego roku wydaliśmy w ciągu 7 lat historii Polski Ludowej 30.052 tytuły. Księgozbiór naszych bibliotek, który przed wojną wynosił 22 miliony, a podczas wojny zniszczony został w 83 proc., dziś wynosi już 55 milionów. I doprawdy są to książki, które powstały z umiłowania człowieka, z szacunku do nauki, z wiary w ludzkosć. Statystyki wydawnictwa zachodnich zawierają więcej książek o mordorstwach niż ich się nawet popelnia w kraju, gdzie gangster jest szanowanym obywatелеm, zawierają więcej książek, których bohaterem jest prostytutka niż była ich na ulicach okupowanych przez USA — Armij miast czy metropolii Stanów Zjednoczonych.

W tym samym czasie dzienny nakład gazet, który wynosił w Polsce w r. 1939 — 900.000 egzemplarzy, w r. 1951 wynosił 6.150.000 i doprawdy jest to prasa informująca o życiu, ucząca orientacji w świecie, prasa żywo uczestnicząca w życiu ooyatowa kraju, do której organów przychodzi setki listów miesięcznie. W tym czasie numer pisma anglistów socjal — zdrajców „Daily Mirror” w dniu wyborczej klęski swojej partii i oddania władzy konserwatyście zawierał: fotografię królowej piękności okupowanego Triestu w kostiumie kąpielowym zredukowanym do minimum, zdjęcie ze zbrojowego chrztu w londyńskim basenie pływackim i długie sprawozdanie z przegrod obdarzonego frapującą inteligencją owczarka alzackiego w londyńskim autobusie — oto owoc jednego dnia pracy fabrykantów wdzięcznej dymnej zastony, która odebrała ma wzrok milionom czytelników. Obok tego numer pisma zawiera przepisową ilość kalamunii i lgarstu pod adresem Związku Radzieckiego. Dzieje się to w kraju, którego radiowa ekspozycja propandandowa kamieniuje nas oszczerczymi audycjami. U nas w tych dniach czytelnik dowiedział się o krwi przelanej przez anglo — amerykańskich okupantów w Triestie, o powiązaniach wywiadowczych ekspozytur świadków Jehowy, o strajkach wstrząsających amerykańskim przemysłem. W tym też czasie wydaliśmy w setkach tysięcy egzemplarzy dzieła klasyków literatury, tłumaczone z języka, który służy dziś oficjalnemu kłamstwu. Ale żadne wysiłki, by zastąpić oczy ludowi, nie odniosą skutku. Zbyt często miał on okazję widzieć, jak przeważają się oczy prowadzonym na rozstrzelanie ludziom dobrej woli, by pomogła tu prasa, która zesłała tam do tragicznej roli brukowej szmaty.

Obchodzimy dni Oświaty, Książki i Prasy w kraju, w którym zdobyły sobie one największą wolność, wolność prawdy. Niedawno święciliśmy 40-tą rocznicę bolszewickiej „Prawdy”. Prawda i wolność idą w pierwszym szeregu, wyzwolonej ludzkości.

Roman Bratny

Rok beethovenowski jest chwilą robienia bilansu w stosunku do jednego z największych kompozytorów, jacy przeszli przez historię muzyki. Wszystkie problemy, omawiane w związku z rocznicą beethovenowską, wszystkie zagadnienia, związane z muzyką Beethovena, zaprzatające w obecnej chwili tak praktyków jak i teoretyków, wszystkie referaty, wygłoszone w Berlinie na odbytym w ostatnim tygodniu marca b.r. międzynarodowym kongresie muzykologów — schodzą się w tym punkcie jako w punkcie węzłowym: czym jest Beethoven dla „naszej dzisiejszej epoki”?

Niewiele znajdziemy kompozytorów na przestrzeni ostatnich stu lat, którzy tak zwycięsko przetrwaliby próbę czasu jak Beethoven. Sztuka wszystkich innych — choćby największych — przechodziła wraz z przemianami gustów i zainteresowań zmianie koleje losu, w pewnych okresach utrzymując się w hierarchii najwyższych wartości, w innych następując w cień lub czasem nawet w zapomnienie. Przypomnijmy sobie druzgocą wszystkie inne, z dawna uznane wielkości, autorytet Wagnera w Europie na preludium XIX i XX wieku, który przeszedł już w 20 lat później w atmosferę zacietej walki przeciwko Wagnerowi. Przypomnijmy sobie Brahmsa, który — wyjąwszy ciasne koło jego współczesnych zwolenników i przyjaciół — po dziś dzień nie doczekał się jeszcze właściwej, obiektywnej oceny z pozycji historycznych. Coż dopiero powiedzieć o największym z nich, o Janie Sebastianie Bachu, którego muzyka przez kilkadziesiąt lat po śmierci kompozytora należała do „nieznanych, nikomu niepotrzebnych rekwizytów muzealnych kultury ośmiennastowiecznej, lub o mistrzach XV i XVI wieku, którzy znacznie dłużej jeszcze czekać musieli na „odkrycie” swej wielkości!

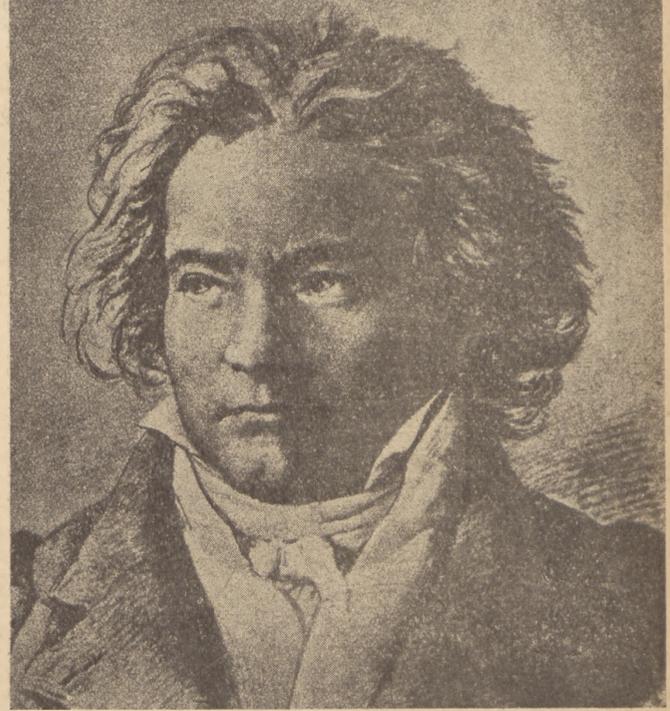
Muzyka Beethovena była żywa przez cały wiek XIX. Wprawdzie i w stosunku do Beethovena zdarzało się, że niektóre jego utwory — zbyt śmiało wychodzące w swej treści i formie poza granice swej epoki, swego środowiska, swej klasy społecznej — powoli i z trudem tylko torowały sobie drogę do zrozumienia w szerszym zasięgu odbiorców. Wprawdzie także i w stosunku do muzyki Beethovena podejście następnego pokoleń było różne w zależności od pradów i hasel, którym hołdowały te pokolenia. Ale nie było tu tych tak charakterystycznych w stosunku do innych wielkich kompozytorów przeskoków i wahań w wartościowaniu sztuki Beethovena. Patrzone na muzykę Beethovena raz tak, innym razem inaczej, ale nie tracono nigdy wiary w jej istotną wielkość. Nawet w trzydziestych latach naszego stulecia, w okresie odwrócenia się muzyki zachodniej od ideologii artystycznej XIX wieku i przeciwstawienia jej kultu „czystej formy” — nawet i wtedy nie było mowy o próbach umniejszenia sztuki Beethovena. Próbowano ją inaczej interpretować, przesuwając punkt ciężkości na jej stronę czysto formalną, wysuwano w centrum zainteresowań inne dzieła. Ale nawet w tym okresie licytowania się coraz nowych eksperymentów formalnych, dokonywanych często dla samego eksperymentu, cynicznego karykaturowania programów romantycznych w muzyce, które miało świadczyć o tym, że muzyka jako sztuka dźwięku leży jakoby poza sferą wszelkiej konkretnej idei, a nawet poza sferą życia realnego w ogóle — nawet i wtedy muzyka Beethovena pozostała czymś wielkim, czymś największym, tak dla kompozytorów, jak i dla rzesz odbiorców, tłumnie wypełniających przy jej wykonaniu sale koncertowe całego świata. Szanowali ją nawet ci, którzy sentymentem oddalili się od niej, w głębokim przekonaniu, że z niej zrodziły się wszystkie dalsze zdobycze kultury muzycznej XIX wieku, i że jej zawdzięczają w znacznej mierze nawet istnienie swej własnej sztuki.

Co jest przyczyną tego zjawiska? Czy same tylko techniczne zdobycze Beethovena w zakresie formy i środków techniki kompozytorskiej? Na pewno nie. Zdobycze te, otwierające horyzonty rozwojowe na dziesiątki lat, były wprawdzie istotnie olbrzymie. Beethoven był przecież tym, który wyciągnął ostateczne konsekwencje z założeń klasyków w dziedzinie nowoczesnej tematyki muzycznej, dał klucz do nowego traktowania harmonii, odkrył jako jeden z pierwszych tajemnic nowoczesnego traktowania instrumen-

tów w orkiestrze oraz siły ukryte, tkwiące w rytmie i w dynamice dźwiękowej. Ale nie te zdobycze — mimo że wystarczyły, by przesądzić o całej dalszej linii rozwojowej muzyki europejskiej aż po koniec XIX wieku — rozstrzygnęły o wielkości Beethovena i o jego roli w historii. Rozstrzygającym był tu fakt, że wszystkie te środki zrodziły się u Beethovena jako wyraz nowych treści i na służbie nowej społecznej funkcji muzyki. Beethoven osiągnął w swej sztuce to, do czego dążyli jego najwięksi poprzednicy i współcześni: by dźwięk uczynił wyrazem uczuć ludzkich. To, co przygotowywało się w długim i żmudnym procesie historycznym poprzedniego okresu, czym olsniewa nas tak często bogata w wyraz uczuciowy, choć przemawiająca jeszcze innym językiem muzyka Jana Sebastiana Bacha, co w operze Glucka przejawiało się w XVIII wieku poprzez związanie dźwięku ze słowem, co w późniejszych dziełach Haydna i Mozarta przemawia do nas jako akcenty bezpośrednich przeżyć ludzkich — to wszystko stało się pełnym osiągnięciem u Beethovena. Beethoven był niewątpliwie jednostką genialną. Jak w olbrzymiej soczewce skupił w sobie gąźenia i tęsknoty całej epoki, jednej z najbardziej rewolucyjnych i najbardziej twórczych jakie zna historia. Dzięki nieprzeciętnej wrażliwości swej psychiki potrafił odczuć cały ładunek emocjonalny tej epoki z tą siłą, która w niej tkwiła. Potrafił też przetopić te podniety emocjonalne na formy dźwiękowe, ukształtował je jako wyraz dźwiękowy tych emocji. Wstrząsnął całym, tak starannie przez klasyków zbudowanym gmachem tradycji muzycznych. Nie wahał się burzyć tam, gdzie nowość żądała nowych środków. Był w tym dążeniu tak śmiały i bezwzględny, jak śmiały i bezwzględny może być tylko artysta, który po raz pierwszy w dziejach sztuki tworzy nie na rozkaz cesarza, kurfuertów i biskupów, ale według swojej własnej, ludzkiej miary, według ideału, który nosi w sobie. Dlatego to burzenie tradycji było u Beethovena zawsze tworzeniem. Budował z równą siłą, jak burzył. A siła ta płynęła nie tylko z jego genialnego talentu muzycznego, ale z całej jego osobowości, która żyła rytmem swej epoki i która poprzez ten genialny talent muzyczny i za jego pośrednictwem walczyła o idee postępu w ówczesnym świecie. Beethoven był pierwszym kompozytorem w historii, który postawił swą sztukę w służbie idei społecznej, który pokazał, jak wyrazić te idee w dźwiękach i który sam stał się dzięki temu olbrzymią siłą, walczącą o zwy-

cięstwo tej idei. Jego hymn do radości, kończący IX Symfonię, ze swym płomiennym wołaniem o braterstwo, jest równie wymowny jak zwycięskie akcenty III Symfonii, zwanej „Eroiką”, jak rozliczne pieśni marszowe, śpiewane podczas dni rewolucyjnych na ulicach miast, które wcielił do swej muzyki, i wszecchéobecna w jego dziełach niemiecka pieśń ludowa. To są te najwyższe wartości w sztuce Beethovena, które kazaly wszystkim następnym pokoleniom chylić głowy przed jego wielkością bez względu na to, czy miały pełne zrozumienie dla sztuki ideowej, czy też tworzyły swą kulturę muzyczną w atmosferze bezideowej. Zagubiliśmy ową nić, która u Beethovena tak blisko i z taką siłą wiązała sztukę z życiem, przeszłość nigdy nie straciła jednak szacunku dla tego, który poprzez najwyższe zdobycze sztuki i techniki zacieśnił te więzy i uczynił je środkiem do walki o ideały społeczne. Na te właśnie wartości sztuki Beethovena wskazał pierwszy u nas Karol Szymanowski w swej pracy „O romantyzmie w muzyce” pisząc: „Tworząc swe największe arcydzieło był Beethoven zapewne najdalej od jakiegokolwiek czysto estetycznej koncepcji, najbliższej natomiast samego źródła ówczesnego życia — życia, którego wewnętrzny żar i niepowstrzymany pęd narzucał nieublaganie z dnia na dzień nieledwie zagadnienia niesłychanej doniosłości do rozwiązania tym, oczywiście, którzy ich doniosłość w całej pełni rozumieli. Beethoven był niewątpliwie jednym z tych „rozumiejących” i „odpowiedzialnych” za cały ciężar ideowy swej epoki.”

Nie chodzi tu zatem o „legendę”, o „asocjacje” i „dekoracje”, wkładane jakoby przez potomnych w muzykę Beethovena, nie o „natrętną” sugestię idei pozamuzycznych i ekspresyj, zawartę w gestie rącej i w komentarzu niż w materiale dźwiękowym”, jak twierdził Stefan Kisielewski w swym artykule o Beethovenie, drukowanym w „Tygodniku Powszechnym” z dn. 23.3. br. Tu nie ma żadnego fałszu i żadnych niedomówień pod tym względem. Nie trzeba było komentatorów i „kibiców”, by z muzyki Beethovena wydobyc tkwiącą w niej treść ideową. Mówi nam ona sama o tej ideowości na każdym kroku, i to mówi zarówno tym, którzy od długich lat metodami coraz bardziej nowoczesnymi szukają jej w dziełach Beethovena od strony analizy teoretycznej, czysto muzycznej, jak i tym, którzy poddają się w sali koncertowej czysto emocjonalnemu jej działaniu. Mówi nam o tej ideowości muzyki Beethovena sama historia jego życia i historia powstania jego



Ludwik Beethoven

dzieł, wypowiedzi jego własne, notowane przez współczesnych, i jego listy. Zafalszowaniem historii byłoby raczej zamykać oczy na te wszystkie dowody, a zafalszowaniem najbardziej podstawowych założeń współczesnej estetyki i historii muzyki jakakolwiek próba interpretowania tej muzyki tylko od strony samej formy. Wiadoma rzecz — dzieło muzyczne zawsze pozostawia z natury rzeczy szerszy margines niedopowiedzeń odośnie swej treści niż dzieło plastyki czy literatury. Ale nie istnieje dzieło muzyczne — tak samo jak nie istnieje jakiegokolwiek dzieło sztuki — które żyłoby sama tylko swoją formą, jak nie do pomysłenia jest „forma, która byłąby treścią, a treść, która byłąby formą”. Z faktu, że forma i treść dzieła sztuki są w nim związane nierozdzielnie, organicznie, wiązami, nie wynika bynajmniej, by jedna mogła istnieć bez drugiej lub by utożsamiać jedno z drugim. Jeżeli gdziekolwiek w historii muzyki nowoczesnej natrafiamy na dzieła muzyczne, które wykazują stosunkowo wąski margines tych niedomówień na temat treści i dziełki temu nie dopuszczają do subiektywnych jej interpretacji — to właśnie w dziełach Beethovena. Muzyka Beethovena służyć może jako klasyczny przykład dla zilustrowania marksistowskiej tezy o sztuce jako odbiciu rzeczywistości, nie tylko emocjonalnej atmosfery, która charakteryzuje tę rzeczywistość, ale i treści ideowych, dających życie tej atmosferze emocjonalnej.

Muzyka Beethovena oddaje wszelkie odcienie i jakości tych emocji, którymi żyła jego epoka. Jest w niej nie tylko olbrzymia dynamika wielkich wydarzeń historycznych, wstrząsających epokę i przewartościujących wszelkie wartości społeczne, nie tylko akcent walki i zwycięstwa na drodze postępu, jest również uczuciowość bardzo ludzka jednostki, uczuciowość niezmiernie bogato zróżnicowana. Jest obok dramatyzmu i liryzmu w jego najromatyczniejszych odcieniach i zabarwieniach: obok „Eroiki” i IX Symfonii — są Kwartety, przepojone często nutą bardzo ludzkiego smutku i cierpienia, są przepiękne (a bardzo mało znane) pieśni, przywodzące często już blisko na myśl lirykę wokalną Schuberta, są Sonaty na fortepian oraz na skrzypce i fortepian z całą gamą wyrazu, wahańca się od akcentów najgłębszej rozpaczki do akcentów żywej afirmacji. Ta właśnie wielostronność wyrazu w muzyce Beethovena sprawila przede wszystkim, że muzyka ta pozostała żywa poprzez wszelkie zmiany gustów i zainteresowań w historii. Każde pokolenie mogło znaleźć w niej te akcenty wyrazowe, ten rodzaj emocjonalności, który jej najbardziej odpowiadał.

Były oczywiście i w tej historii kultu Beethovena pewne luki — były momenty wyjątkowe, próby wyłączenia się z tego kultu. Ale to były właśnie tylko momenty wyjątko-

we, nie obejmujące całości jakiegokolwiek etapu rozwojowego w muzyce europejskiej, ale tylko pewne poszczególne szkoły czy kierunki. Taką wyjątkową pozycję reprezentuje Igor Strawinski, na którego powołuje się w swym artykule Stefan Kisielewski. Ideologia Strawinskiego, najbardziej typowego przedstawiciela sztuki burżuazyjnej na Zachodzie w okresie schyłkowym, redukowała się — jeżeli można tu w ogóle mówić o ideologii — do samych momentów negatywnych jako charakteryzujących rzekomą „awangardowość” tej sztuki: negacja tradycji XIX wieku w pierwszym rzędzie i romantyzmu muzycznego, odcicie się radykalne od wszelkich więzów, jakie w okresie romantyzmu łączyły muzykę z życiem, negacja jakiegokolwiek treści w muzyce i ograniczenie funkcji muzyki do momentu panowania możliwie mistrzowskiego nad materiałem dźwiękowym. Rzecz jasna, że ostrze tej negacji zwróciło się przeciwko temu twórcy muzycznemu z XIX wieku, który — jak Beethoven — łączył w sobie wszystkie cechy ideologii XIX wieku i reprezentował je w formie jak najbardziej skondensowanej. Ale mam silne wątpliwości, czy powie- dzenie Strawinskiego, jakoby „od Sonat Beethovena wołał on Etudy Czernego”, warte było cytowania. Daje ono przecież świadectwo tylko cynicznemu stosunkowi Strawinskiego do tradycji muzycznych przeszłości, nie zaświadcza w niczym samej muzyki Beethovena, i nie charakteryzuje stosunku do Beethovena szerszych kół świata muzycznego z tego okresu. Nie mam zamiaru wulgaryzować tu pewnych bardzo ważnych zagadnień i zamykać oczu na fakty. Wiemy wszyscy, że wpływ Strawinskiego na młodych był na Zachodzie w pewnym okresie czasu silny. Wraz z postawą Strawinskiego do zagadnień samej twórczości muzycznej musiał w zasięgu tych wpływów dokonywać się równocześnie i proces infiltracji pewnych swoistych dla niego zapartywnań odośnie tradycji muzycznych XIX wieku. Ale wpływy Strawinskiego nie były jedyną w trzydziestych latach XX wieku. A nawet i tam, gdzie znajdowały grunt podatny, to w zależności od środowiska przybierały coraz inny kształt. Dotyczy to nie tylko samej postawy twórczej kompozytorów w różnych krajach europejskich, ale także i ich stosunku do przeszłości muzycznej, który był tu czynnikiem bodaj najbardziej podatnym do zmian, bo stosunek do muzycznej przeszłości wyrastał z lokalnych tradycji danego środowiska. Najlepszym tego dowodem jest na naszym gruncie twórczość Karola Szymanowskiego. Także i Karol Szymanowski należał do tych kompozytorów ówczesnej awangardy europejskiej, którzy przez pewien okres czasu stali blisko Strawinskiego. Później — w ostatnim okresie życia i twórczości Szymanowskiego jego stosunek do Strawinskiego stawał

### NA KIERMASZU KSIĄŻKI



się coraz bardziej krytyczny. Z tego chwilowego zbliżenia do Strawińskiego zrodziła się pod wpływem baletów Strawińskiego koncepcja „Harnasiów”. Ale w realizacji praktycznej tej koncepcji wyszła dopiero na jaw cała obrzydliwa różnica, jaka dzieliła Szymanowskiego od Strawińskiego w postawie twórczej, różnica, uwarunkowana właśnie w pierwszym rzędzie tym momentem, że balety Strawińskiego powstawały w kosmopolitycznej atmosferze Paryża, a balet Szymanowskiego wyrósł z tradycji polskich. „Harnasi” dawali świadectwo innej ideologii, innemu światokowi do folkloru niż balety Strawińskiego. Strawiński przeszedł do porządku nad emocjonalnym czynnikiem pieśni ludowej, która interesowała go głównie z punktu widzenia jej strony materialowej i nowych zadań konstrukcyjnych, jakie wynikały z materiału. Szymanowski przeciwnie, wziął właśnie emocjonalizm pieśni ludowej za punkt wyjścia. Podobnie różny był też i stosunek Szymanowskiego do tradycji muzycznych XIX wieku, mimo że niektóre jego powiedzenia mogłyby nasuwać przypuszczenia, że zgadzał się ze Strawińskim w tym względzie. Zgadzał się w tym, że formy i środki używane przez Beethovena — jako wyzercpane przez jego następców w XIX wieku — nie wystarczyły już kompozytorom XX wieku, że ci spośród kompozytorów, którzy chcieli iść naprzód i tworzyć muzykę istotnie nową w treści i formie, musieli szukać nowych środków. Ale bynajmniej nie zgadzał się ze Strawińskim w odrzuceniu w zasadzie muzyki Beethovena i romantyków XIX wieku jako muzyki „ideowej” tzn. takiej, która wyrażała pewne określone treści emocjonalne i ideowe. Czy można o to posądzić Szymanowskiego, którego sztuką zawsze była — wbrew współczesnym hasłom Zachodu, głoszącym odwrocenie się od wszelkiego emocjonalizmu — szczerze i głęboko uczuciowa i który w wyrazie uczuć widział jedyny sens i rację istnienia muzyki? Czy można posądzić o to Szymanowskiego, który przez całe życie walczył o ideowość swej sztuki, a właśnie w latach dwudziestych i trzydziestych zaczął wypracowywać swój ideał sztuki narodowej, i który w swej rewizji minionych wielkości zatrzymał się właśnie na muzyce Beethovena jako na tej, która — obok Chopina — była dla niego wzorem sztuki idealnej, najgłębiej związanej z życiem? Ktokolwiek miałby jakieś wątpliwości pod tym względem, tego odsyłamy i tym razem jeszcze do cytowanej rozprawy Szymanowskiego „O romantyzmie w muzyce”. Znajdzie tam — obok trafnej charakterystyki Beethovena w naświetleniu muzyka z okresu międzywojennego — niedwuznaczna odpowiedź na to, jak Szymanowski odczuwał swój stosunek do tradycji XIX wieku, jakie miał w tym kierunku — wspólnie z innymi kompozytorami tego okresu — opory i jak trafnie potrafił oddzielić je od tego, co w tradycjach tych uważał za żywe i wielkie.

Stosunek kompozytora z pierwszych trzydziści lat XX wieku do Beethovena — to dopiero jedna strona w historii jego kultu z tego okresu. Ale nie wolno nam zapomnieć, że istniała wówczas, tak samo jak w każdym innym okresie historycznym, jeszcze i jego druga strona. Te drugą stronę reprezentuje odbiorca. Odbiorca stał w tych czasach tak daleko od twórcy, że można o nim powiedzieć, iż stworzył sobie własną, odrębną od twórcy ideologię artystyczną. I to nie tylko odbiorca w krajach o stosunkowo zacofanej kulturze muzycznej, jaką była wówczas polska kultura muzyczna, nienależąca w latach pomiędzy Chopinem a „Młodą Polską” za biegiem rozwoju na Zachodzie, w Rosji i w Czechach, ale właśnie odbiorca ze środowisk o najbardziej bogatych i trwałych tradycjach i o największym uświadomieniu słuchaczy. Rozdwojeniu temu pomiędzy kompozytorem a odbiorcą winien był proces owego coraz silniejszego oddalania się twórcy od słuchacza, co było skutkiem twórczości muzycznej od życia, coraz postępującego elitaryzmu, coraz bardziej bezkompromisowego holdowania zasadzie subiektywizmu w postawie twórczej i w technice kompozytorskiej. I właśnie ten moment rozdwojenia stał się w tym okresie w pierwszym rzędzie źródłem masowego zwrotu odbiorcy do muzyki XIX wieku jako do muzyki, która nie tylko przemawiała językiem dla niego zrozumiałym, ale która posiadała zrozumiałą dla niego treść wyrazową, która potrafiła go wzruszyć i dać mu silne przeżycie estetyczne. I znowu — arcydzieła Beethovena stały tu w pierwszym rzędzie. Beethoven wzruszał, rozpałał, Beethoven stał się dla tego odbiorcy synonimem wielkiej, największej muzyki. I stał się tym nie dlatego, że dzięki długoletniemu osłuchaniu się ze swym językiem dźwiękowym muzyka jego była czymś łatwym, co w procesie apercepcji nie wymagało już żadnego wysiłku. Był zawsze na nowo — chociaż zrozumiałym od strony formy i środków — pełen dynamiki wewnętrznej, zawsze mobilizujący tego słuchacza od strony jego aktywności psychicznej, zawsze pogłębiający jego horyzonty emocjonalne. I dzięki temu stał się dla tego odbiorcy kimś bardzo wartościowym i umiłowanym.

Wreszcie rzecz najważniejsza: czy wolno powoływać się na wypowiedzi, uzyskane w ankiecie z lat dwudziestych czy trzydziestych XX wieku, jako na miarodajne dla dzisiejszego społeczeństwa i jego stosunku do muzyki XIX wieku i do muzyki Beethovena? To już pomylka najbardziej zasadnicza. Pomijając fakt, że opinie te nie mogą być miarodajne w pełni ani dla twórcy, ani — tym mniej — dla odbiorcy tych lat, dla nas dzisiaj nie mogą być już w żadnym wypadku miarodajne. Historia bieżnie siedmiomilowymi krokami naprzód. Okres lat trzydziestych XX wieku dla nas stał się już historią. Zdarza się czasem wprawdzie, że genialny twórca otwiera nowe perspektywy na zagadnienia, które do ogólnej świadomości docierają dopiero w bliższej lub dalszej przyszłości. Ale taka interpretacja sądów, wypowiedzianych w poprzednich okresach historycznych, nakazuje jak najbardziej posunąć ostrożność. Nie wolno uogólniać takich wypadków. Z faktu, że wypadki takie są możliwe i że niejednokrotnie miały miejsce, nie wolno wyciągać wniosków, jakoby były regułą, jakoby każda wypowiedź jakiegokolwiek nawet twórcy w sprawach zasadniczych zatrzymywała swą aktualność na przyszłość. Wypowiedź Strawińskiego na temat jego stosunku do muzyki Beethovena jest raczej klasycznym przykładem na to, jak dalece i w jak szybkim tempie sądy takie mogą stracić swą aktualność w takich momentach historii, które charakteryzują się rewolucyjnymi przemianami w warunkach życia, w ideologii i w związanej z tym postawie twórczej artysty. A taki właśnie moment przeżywamy dziś. W walce o nową sztukę, o sztukę zrodzoną z dzisiejszego życia, z dzisiejszego człowieka i jego ideologii, zdołaliśmy już uzyskać spojrzenie aktualne na muzykę okresu międzywojennego, rozpoznać jej właściwe oblicze i idee. Zrozumieliśmy, że i w ramach tej muzyki — podobnie jak w sztuce każdego okresu historycznego — współżycie obok siebie dwa nurtu rozwojowe: nurt wybiegający w przyszłość swym dążeniem do bliższego związania sztuki z życiem, i nurt, który — wbrew chwilowym złudzeniom — nie był początkiem czegoś nowego, ale końcową fazą dawnej linii rozwojowej. Pierwszy z tych nurtów dał nam muzykę Bartoka, Janáčka, de Falli, Szymanowskiego; drugi krył pod pozorami awangardowości formy i rzemiosła marazm i pustkę wewnętrzną pokolenia, które nie posiadało już żadnej ideologii i którego poczynania artystyczne nie miały przed sobą żadnych możliwości rozwojowych. Pierwszy stał się dla nas tradycją, która wniosła wielkie zdobycze do skarbcza naszych środków artystycznych, drugi stał się czymś obcym, ślepą uliczką bez wyjścia, ostatnim echem dawnej światełki romantyzmu, wybrzmiewającym w próżni społecznej. Dlatego ani Strawiński, ani Debussy czy Ravel, których zdobycze w pełni doceniamy, nie mogą być z tego punktu widzenia zaliczani do muzyki „współczesnej”, mimo że minęło tak niewiele lat dzielących nas od ich działalności artystycznej.

\*  
Stefania Łobaczewska

JULIAN STRYJKOWSKI

ŻYCIE W SŁUŻBIE IDEI

W walce o pokój Włochy wysunęły się na czoło krajów kapitalistycznych: 17 milionów podpisów pod apelem sztokholmskim, tyleż prawie pod apelem berlińskim; dwa razy więcej głosów niż zdobyła lewica włoska w wyborach 1948 roku. Jest to niesfalszowana większość narodu, której nie odstraszyły anatemy watykańskie ani aresztowania, ani harce Celerę na placach miast i miasteczek. Tysiące komitetów dotarły bezdrożami do skalistych wsi Kalabrii, w pustynną głąb Sycylii, do pasterskich sadb podziękowań Sardynii. Potężny ruch wyrósł i okrzepł w ciągu nie lat ale miesięcy. Byłem świadkiem jego narodzin na ulicach Rzymu, w mroźną wiosnę 1949 roku. Kiedy lud Zatybrza i czerwonych bogatych zrozumiął, iż podeszło niebezpieczeństwo wojny, któremu klerykałny rząd otwierał bramy kraju podpisem pod atlantycznym paktem agresji, wspaniała stolica, dumna z garibaldowskich zwycięstw nad niewolą papieską i obcą interwencją, rozbrzmiewała w owe dni okrzykiem: „Przec z paktem atlantycznym!”, „Przec z wojną!”. Plac i wąskie uliczki okalające Montecitorio, gdzie stoi parlament, huczały od starczej rewolucyjnej: „Fuori, stranieri!” Winocha, cudzoziemcze! Amerykańskie jeep-y — forpoczta okupacji — naszpikowane karabinierami, w pełnym rynsztunku, w amerykańskich hełmach i z amerykańskimi automatami wjeżdżały na pełnym gazie w kolumny demonstrantów. Był to początek wściekłości, z jaką Celerę będzie coraz częściej napadała na Włochów broniących swej pięknej ojczyzny przed wojną. „Doradcy” dolarowi zrozumieli śmiertelne niebezpieczeństwo pochodu pokoju. Nakazali swym włoskim podwładnym bezwzględność. Przeczuliwali, że tego pochodu już nie powstrzymają.

Na ulicach odbywała się batalia z policją, a w parlamencie trwała batalia z rządem. Dzień i noc posłowie ludu włoskiego stawiali zacięty opór przeciw pakciowi wojny. Noc i dzień, przez pięćdziesiąt godzin bez przerwy, bez wycieńnienia stawali opór przeciw wciąganiu kraju w orbitę amerykańskiej kastytracji. Wtedy to po raz pierwszy usłyszałem głos Nenniego. Było to 18 marca. Pamiętam tę datę: była to najdłuższa i najdramatyczniejsza debata w historii włoskiego parlamentu. Był mroźny marzec, przejmujący chłodem w nieopalanym mieszkaniu rzymskich. Fontanny obrastały przez noc sopłami. Drzewa rankiem stały siwe od śniegu. Jakby sama historia powiała mrozem. Przeszła dwa dni i trzy noce toczył się bój pod sklepieniem Montecitorio. Bój rozpoczął i zakończył w imieniu opozycji Nenni. Ochryplym głosem nawoływał, przekonywał, udawał się. Punkt po punkcie zbijał fałszerstwa paktu. Piętnował kłamstwa Waszyngtonu i jezuitów. Przepowiadał odrodzenie hitlerizmu i Wehrmachtu w Niemczech. Wzywał do obrony suwerenności kraju. Zakończył oskarżycielskim akordem:

„My socjaliści oskarżamy rząd o to, że chce oddać nasze brzośnie i powietrze do dyspozycji Ameryki i bloku zachodniego dla celów agresywnej polityki otoczenia Związku Radzieckiego oraz krajów demokracji ludowej... Oskarżamy rząd o to, że oddaje kraj pod kontrolę i kierownictwo sztabu generalnego w Fontainebleau przybliżając wojnę do naszych granic... Oskarżamy rząd o to, że wiąże się z systemem wojskowym, który automatycznie wciąga do trzeciej wojny!”

Dziś, po trzech latach doświadczeń, ani jedno słowo nie zbladło, nie straciło na aktualności. Przeciwnie, należy podziwiać trafność politycznej diagnozy... Spojrzałem na lawę poselską. Od centrum w kierunku prawego skrzydła ziało puszkę. Na lawie rządowej siedzieli ludzie podpierając głonim ciążące im głowy. Nie słuchali, nie chcieli słuchać głosu Nenniego. Bo też nie do nich był on zwrócony.

„Uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy, ażeby podpis, który nasz kraj klędie pod paktem atlantycznym, został unieważniony i przekreślony przez lud włoski.”

Nenni mówił do ludu włoskiego, do robotników demonstrujących wokół Montecitorio i na placach miast włoskich.

II

Dziś Nenni jest przewodniczącym ruchu obrońców pokoju we Włoszech, które są najsilniejszym ośrodkiem tego ruchu ze wszystkich krajów kapitalistycznych.

Bo też Włochy mają bohaterką antywojenną tradycję. Od pierwszej wyprawy afrykańskiej lud włoski rozpoczął walkę przeciw rodzinnemu imperializmowi. Były to zacięte bitwy o pokój. A niemal w każdej z nich brał udział Nenni, młody republikanin z Faenzy.

Faenza, ośrodek republikanizmu włoskiego, w szczepia przyszłemu przywódcy socjalistycznemu nienawiść do tronu, wzbudziła w nim sny o romantyczno-heroicznych czynach, zaś bunt zrodził w młodym chłopcu klasztorny system sierocińca, gdzie Pietro żył łaskawy chleb księży. I zamiast poświęcić się stanowi duchowemu wychowanek dobroczynnego zakładu wszedł w znowę z bezbożną młodzieżą republikańską, zafascynowaną urokiem „bomby i sztyletu”. Ideałem Pietra stała się spiskowic z ubiegłego wieku — Orsini i współczesny anarchista — Passanante. Trudno się temu dziwić. Gdy w roku 1900 anarchista Bresci zabił Umberto I-go, Pietro miał dziewięć lat. Fakt ten głęboko wstrząsnął imaginacją dziecka, buntującego się przeciw surowej dyscyplinie klerykałnej. Ten „kompleks buntu”, jak to nazywa Nenni w swoim „Diariuszu”, stanął się pasją człowieka, który całe życie poświęcił idei lepszego świata bez krzywd i wojen.

Wcześniej otrzymał on swój pierwszy chrzest bojowy. Było to w roku 1911, w roku wybuchu wojny libijskiej.

Włochy później niż inne państwa stanęły do startu imperialistycznego. Od klęski pod Adua trzeba było piętnastu lat, aby monopolistki lombardzkiej i piemonckiej poczuły się „dojrzałymi” do grabieży kolonialnej. Wzrost hutnictwa i przemysłu samochodowego dał im pewność siły materialnej, a Croce przygotował teren pod względem „ideologicznym”.



Pietro Nenni

Wojna libijska w roku 1911 zmobilizowała nienawiść ludu do generałów Giolittiego. A najbardziej zawrzało w czerwonej Romani. Nenni kierował walkami w Forli. Ale on nie był jeszcze wówczas nawet socjalistą. Jako republikanin walczył on przede wszystkim w wojskiem króleuskim. W Forli i w całej Romani dokonywano sabotażów antymilitarystycznych. Kobiety zrywały progę spod szyn kolejowych. Pochody szły na dworce, aby powstrzymać odjeżdżające do Afryki transporty. Był to zryw ludowy, patetyczny, kierowany przez dyletanty rewolucji. Nałowny patos najlepiej odzwierciedla ówczesna propaganda antywojenna, której ludowy poeta nadał formę wierszowaną:

Znowu ofiary występnych panów padną na plonące wojny areny, a nowu matki rodzą synów, aby sadłem obrósty hieny. To kulturalni panowie twoi posyłają cię na wojny stałe. A ty, nędzarzu, morduj i zdychaj, a potem odznacz cię medalem!

Tak przemawiali do żołnierzy kobiety na dworcach. Nenni, jak wiadomo, kierował walką w Forli. Podczas jednej z szarż kawalerii został ranny w pierś i głowę. Nieprzychylnego zabrał z placu boju karabinierzy. Został aresztowany i zaszczepiony na rok więzienia.

Płomien w Romani zgasił. Ale rozgorzał z jeszcze większą siłą w trzy lata później, gdy nad Europą gęstniały chmury pierwszej wojny imperialistycznej. I lud włoski znów nie szedł krwi, i znów nikt mu nie ukazywał sensu politycznego ani perspektyw antywojennych.

Nowa ta batalia przeszła do historii jako „Czerwony tydzień”.

„Czerwony tydzień” wyrósł na potęgę fali strajków robotniczych w Marche i Romani, osiągając swój punkt kulminacyjny w siłach Marche — w Ankonie. W Ankonie podczas demonstracji antymilitarystycznej zostały zastrzelone dwie osoby. Miasto odpowiedziało potężnym strajkiem, który przybrał od razu charakter powstania. Ruch powstańczy rozlał się na północ aż do Bolonii i na południe aż do Rzymu. W Ankonie została nawet proklamowana republika! Zdawało się, że ziszczy się marzenia republikańskie Nenniego, przeżywającego, jakby tsk właśnie chciał los, w Ankonie. Jakby przeznaczeniem jego było znaleźć się zawsze na linii ognia. Nenni wspomina o tych dniach z oddaniem autoironii.

„W Ankonie — pisze Nenni w swym „Diariuszu” — kontrolowaliśmy całe życie: nie można było ani

w wejść do miasta, ani go opuścić bez naszej przepustki, które ja wydawałem...”

Zorganizowana została dostawa żywności, zdobywanej przez rekwizycje. Została zapewniona komunikacja, utrzymywana przy pomocy rowerów, odfiarowanych przez robotników, skonfiskowanych samochodów. A kiedy do portu przybyła dywizja morska dla poskromienia powstańców, kobiety Ankony powitały ich kwiatami i okrzykiem: „Nie strzelajcie do waszych braci, strzelajcie do waszych dowódców!”

Nie zrobiono tylko jednego: Nie zapewniono sobie zwycięstwa.

Zapał i poświęcenie ludu nie mogło zastąpić rewolucyjnej wiedzy o taktyce i strategii. Nie przetruciono płomienia na wieś, nie wzywano do sojuszu mas drobnomieszcząskich. Toteż ogień szybko zaczął się wypalać. Zwłaszcza że widma „prawdziwej” rewolucji przerażili się też dowódcy socjalistyczni. Dla nich na antymilitaryzmie kończyła się walka. „Czerwony tydzień” dogorywał najdłużej w Ankonie. Na próżno Nenni chce mobilizować dalszy opór. Jego wyprawa do Bolonii po pomoc dla Ankony przekonała go, iż wszystko już stracone. Triumfująca burżuazja zemściła się falą terroru, która porwała też Nenniego. Nenni wderuje do więzienia. Wyjście na wolność tuż przed przystąpieniem Włoch do wojny europejskiej.

III

Dwudziestopięcioletni republikanin, pozostający dotychczas w luźnym tylko kontakcie z socjalistami — płaski reformizm socjalistów Faenzy, pisał Nenni, napelniał mnie odrzą i pchnął w stronę republikanizmu — dopiero w czasie tej wojny uznał konieczność usunięcia nie tylko króla z tronu ale fabrykanta z fabryki i obszarnika z ziemi.

Ale jak to zrobić? Odpowiedź dała rewolucja rosyjska. Bojowy proletariat Włoch, a przede wszystkim Lombardia, Piemontu i Liguria kierowany przez pierwszego komunistę włoskiego Gramsciego, okupował fabryki i ustanawiał rady robotnicze. W Livorno w 1921 roku rodzi się Komunistyczna Partia Włoch. Partia Gramsciego i Togliattiiego. Już szalał terror faszystowskich band. Od doliny nadpadajskiej aż do Apulii rozlegał się ich dziki krzyk: „A noi!” Sztab generalny daje im broń, banki pieniądze. Wyłączamy argumentem „politycznym” jest mord, demolowanie lokali robotniczych. Śmiertelnie przerażony kapitalizm ukazuje swą prawdziwą zbrodniczą twarz. I ten moment Nenni wybiera, aby wstąpić do partii socjalistycznej. Parafrazując Goethego Nenni pisze o swej nowej partii: „Znam twoje wszystkie wady, ale wiem też, co jest u ciebie dobrego.” Wszak nawet Lenin uznał, iż włoska partia socjalistyczna na tle oszustwa drugiej Międzynarodówki, głoszącej w roku 1914 za wojną, wyróżnia się korzystnie. Lenin podkreślił w artykule: „I co dalej?” „We Włoszech partia (socjalistyczna — J. S.) była wyjątkiem... Włochy są szczęśliwym wyjątkiem, są krajem, gdzie, w obecnym momencie, nie ma takiego oszustwa”. Co jest dobrego w partii socjalistycznej Włoch? To jej antywojenne nastawienie zarówno podczas wojny libijskiej jak pierwszej wojny imperialistycznej. Pewno, że to zasługa mas; pewno, że poza antymilitaryzm kierownictwo włoskiej partii socjalistycznej nie wychodziło.

Kiedy Nenni wstąpił do partii socjalistycznej, faszizm znaczył na razie wojnę wewnętrzną w obronie fabrykantów i latyfundystów. Ale niedługo potrawa, a komunistki rzucią zagrożonemu światu hasło: „faszizm to wojna przeciw narodom, przeciw światu!”. I Nenni rozpoczyna z całym zarem z właściwą sobie energią walkę z faszyzmem. Milicja Mussoliniego raz po raz arestuje nieprzejednanego wroga reżimu krwawej reakcji i wojny, a góy uznaje, że Nenni nie da się złamać terrorem policyjnym, gotuje mu koniec Matteottiego. Nenni musi więc uciekać z ojczyzny. W 1926 roku przedostaje się do Francji. Zaczyna się długi okres emigracji politycznej antyfaszysty.

Nad środkową i południową Europą zapadła noc faszizmu. Francję uratowała w 1934 roku jedność proletariatu Paryża. Nenni od dawna uznawał konieczność jednolitego frontu komunistów i socjalistów. Toteż dużą jego zasługą jest zawarcie paktu jedności działania między oboma włoskimi partiami robotniczymi. Otdąd jedność ta jest nierozdzielna mimo długotrwałej podżądawej wojny i jawnych prowokacji wroga. Jedność nie tylko wytrzymała próbę czasu, ale hartuje się w latach wspaniałych zwycięstw i klęsk pod Guadaluajara i Madrytem.

Nenni jeden z pierwszych głosi konieczność interwencji sił demokratycznych w Hiszpanii na rzecz republiki. Jeden z pierwszych przekracza granicę francusko-hiszpańską i wstępuje do brygady Garibaldię.

Tajna policja Mussoliniego ani na krok nie opuszczala „uroga skulającego ojczyznę za granicą”. Ciagle

miała go na oku, rejestrując wszystkie, co robił, co mówił, z kim się spotykał. W archiwach faszystowskich znaleziono istny dziennik, drugi niejako „Diariusz”, pisany tym razem już nie przez Nenniego, ale przez agentów Owra. Dzięki temu „Diariuszowi” wiemy, ile razy Nenni był w Hiszpanii ranny, kiedy spotykał się z Passionarią i generałami republikańskimi, kiedy został politycznym komisarzem II brygady międzynarodowej, co mówił przez radio w Madrycie i Barcelonie, kiedy jeździł po Europie organizując pomoc dla frontu walki z wojną faszystowską.

Kłeska w Hiszpanii nie łamie Nenniego. Jest to dla niego tylko bitwa przegrana, po której trzeba zewrzeć szeregi do nowych bojów aż do zwycięstwa. A zwycięstwo jest niemożliwe bez zespolenia wszystkich sił.

„Od lat należę do tych, którzy nie przestają nawoływać do stworzenia szerokiego politycznego frontu jedności. Wzywałem do jedności w obliczu niebezpieczeństwa hitlerowskiego w Niemczech. Z entuzjazmem powitałem urzędziwistnienie jedności w Paryżu nazajutrz po 6-mym lutego 1934 roku. Podczas wojny hiszpańskiej całą swoją duszę włożyłem w sprawę utrzymania jedności. Jestem najgłębiej przekonany, że zmartwychwstanie Włoch jest nieosiągalne bez jedności działania socjalistów i komunistów, bez jedności wszystkich urogów dyktatury. Dotyczy to też Niemiec i Hiszpanii”.

Tak pisał Nenni w genewskiej „Travail” w przeddzień najazdu Hitlera na Francję.

Nenni jest bezsilnym świadkiem upadku Paryża.

Przez trzy lata Nenni ukrywa się pod nazwiskiem Lanfers. W Rzymie krąży pogłoska o jego śmierci. Owra dodaje, że to było samobójstwo. A Nenni walczy w podziemiu. Agent policji przechwytywa kartkę ze słowami: „Confiance, travail, espoir!” Tak pisze Nenni do towarzyszy francuskich, mimo że to jest październik najczarniejszego 1942 roku, kiedy hitlerowskie armie otaczały Stalingrad.

W Croizat Nenni zostaje aresztowany przez Gestapo. Transportowany po Francji, a potem po Niemczech, szlakiem miast, gdzie dziesiąt lat temu nawoływał on proletariat niemiecki do jedności. A potem zostaje odstawiony do Włoch.

IV

Nie wszystko było stracone. Po Stalingradzie awangarda narodu, kierowana przez Gramsciego i Togliattiiego, falą strajków wstrząsnęła podstawami reżimu i spowodowała obalenie dyktatury. Bohaterska partyzantka wyzwoliła kraj spod faszystwu i niemieckiej okupacji. Ale rychło okazało się, że zarówno faszizm jak i wojna nie przestały być groźbą dla ludzkości. Angloamerykanie zaczęli od tego, że chcieli aresztować Togliattiiego, a Nenniego, do niedawna zesłańca na wysepie Ponza, uwiezili w Vercelli. Było to „nieporozumienie”. Okazało się jednak, iż było to raczej zapowiedzia późniejszego usunięcia Togliattiiego i Nenniego z rządu. Zapowiedział represji wobec sił pokoju i postępu we Włoszech.

Po poznaniu walk narodu włoskiego roziumiemy, że nie jest przypadkiem, iż od pierwszych prac zarówno krajowego jak i międzynarodowego ruchu obrońców pokoju Nenni wysuwa się na stanowisko jednego z pierwszych jego kierowników, obok Togliattiiego, Sereniego, obok Joliot-Curie, Fadjejewa i innych.

Długą i trudną drogę przeszedł Nenni. Nie złamały go cierpienia, rozczarowania ani klęski, bo tego nie szczydził los tym, którzy całe życie bez reszty poświęcają idei. Nenni wierzy w lud swego kraju i kiedy w ową mroźną wiosnę rzymską w roku 1949 pod sklepieniem parlamentu rozbrzmiewał głos przywódcy socjalistów włoskich, zapewnijający iż lud przekreślił pakt atlantyczny, ci, co umieją słuchać, czuli głęboką prawdę i wiarę tych słów.

Trzy lata minęły od tego czasu. Było to jeszcze przed kongresem paryskim, przed kongresem w Warszawie. A dziś można już mówić o wielkich zwycięstwach frontu pokoju. Dziś słowa Stalina o tym, że wojna nie jest bliższa niż dwa, trzy lata temu napelniają radością serca milionów, tych właśnie milionów, które stały w obronie życia własnego i swoich najbliższych. Wielka to zasługa tych, co pierwsi rzucili hasło walki z polityką agresji amerykańskiej i potrafili wokół obozu pkoju skupić całą prawie ludzkość. Wśród nich znajduje się też Pietro Nenni. Jego zasługi zostały w pełni ocenione, kiedy spotkał go największy zaszczyt: Stalinowska Nagroda Pokoju. Akademię radziecką Skobelicy tak ocenił dotychczasową działalność Nenniego:

„Swoją ogromną pracą Nenni zasłużył sobie na wdzięczność szerokiej mas ludowych, które widzą w nim jednego z największych bohaterów o pokój i szczęście ludzkości”.

DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY



Przy stoisku z wierszami Władysława Broniewskiego



Kioski z książkami na Mariensztacie



Mieczysław Jastrun podpisuje najnowszy tom swoich wierszy

LESŁAW BARTELSKI

# Literatura na strażackim wozie

Każdy z nas, zanim został pisarzem, był namiętnym czytelnikiem. Może książki były ciekawsze, może bysmy barziej naiwni, może, że bezinteresowność tych zamówień wzmagala nasze namętność. Marzeniem było urzecz pisarza; z kart historii literatury i przodków szkolnych wyniosło się obraz człowieka o nadprzyrodzonych zdolnościach, cechach zewnętrznych koniecznie wyróżniających ze środowiska, choćby to była tylko długopola peleryna Kasprowicza czy nalióg Krzyszczewskiego, wizja jednak krystalizowała się na całe życie. Pisarz naszej wyobraźni musiał mieć uchodzącą twarz, coś ostrego w rysach jak Mieczysław Jastrun, spojrzenie władcze i rozwianą czuprynę, aby odpowiadać wymaganiom naszych marzeń. Rozczarowanie przychodziło z czasem, w miarę poznawania współczesnych; większość piszących, z licznymi wyjątkami, nie odpowiadała zamówieniom naszej wyobraźni. Byli to zwykli ludzie z wszelkimi wadami i ułomnościami śmiertelnymi. Ale tym gorzej dla nich.

Pamiętam, kiedy przed wojną zobaczyłem na ulicy 1k Cowego rymopisa Henryka Zbierchowskiego z rozwianymi włosami i butelczyną koniaku w kieszeni, zadowolony z potwierdzenia trafności mojej wyobraźni nie miało granic. Dopiero dojrzałość wyzwoliła mnie od tych fałszywych mitów, ale z jakim trudem! Wydawało mi się, że odzieram się z najpiękniejszych złudzeń, jednak spojrzanie w lustro przywracało mi rozsądek, który podpowiadał, że wyimaginowaną postać pisarza mają najczęściej grafomani. Inna sprawa, że ustrój kapitalistyczny sprzyjał dziwactwom jako formie reklamy, która przecież była dzwignią handlu.

Ta ciekawość, myślę, że poniekąd usprawiedliwiona w pewnym wieku i dość naturalna, przetrwała się później w trywialną kokieteryę, niewątpliwie stanowi podłoże zbliżenia między pisarzem a czytelnikiem. Ale nie sądzmy powierzchownie, wyróżniłyśmy na szczęście już z tej epoki ciekawości i traktowania pisarza jako obiektu cyrkowego, który ma tę niedogodność, że tylko mówi, chociaż już po wojnie wielu naszym cziłodnym kolegom wydarło się zabierać głos pomiędzy baletem a występem komika. Funkcje wieczorów autorskich są o wiele poważniejsze niż się na pozór wydawało. „Łatanie” programu zawsze w takim przewidywanym, rozkładanym będzie pisarz, który nie wytrzymuje konkurencji baletu, i pozostawiającej hęta widzów, nastawieni na coś zupełnie innego.

Dowodem wzrastającej roli wieczorów autorskich niech będzie list, jaki nadszedł z Cubina do Związku Literatów Polskich: „Powiatowy Komitet Dni Oświaty, Książki i Prasy zaprasza ob Juliana Tuwima na wieczór literacki zorganizowany z okazji Święta Oświaty... Społeczeństwo powiatu gubińskiego z zamilowaniem czeka utworu ob. J. Tuwima, iak również Jego recytowane wiersze są przyjmowane burzliwymi oklaskami.

Tutejszy Komitet Dni Oświaty, Książki i Prasy zdaje sobie doskonale sprawę, że ob. Tuwim będzie miał dużo trudności z podrózą do Gubina, jednak Jego przyjazd tutaj nad granicę pokoju na Nysie, gdzie

stawia się trwałe fundamenty Polski Socjalistycznej obok zaprzyjznanionego narodu Niemieckiej Republiki Demokratycznej, będzie wyrazem powiązania mas z twórcami nowej literatury.

Jednocześnie nadmieniam, że począwszy od chwili przyłączenia najbardziej wysuniętych na zachód ziem naszego powiatu do Macierzy nikt z literatów dotychczas w Gubinie nie był.

Przybycie ob. J. Tuwima przyczyni się do upowszechnienia czytelnictwa, a przede wszystkim do przyspieszenia rewolucji kulturalnej oraz wykonania przedterminowo zadań planu 6 letniego pow. gubińskiego.

Tutejszy powiat na odcinku budowy podstap socjalizmu na wsi ma pewne osiągnięcia, jest 6 spółdzielni produkcyjnych, a w pianowym skupie zboża pow. gubiński wywiązał się jako pierwszy w woj. zielonogórskim, w skali zaś ogólnopolskowej zajął 22 miejsce”.

Spotkania z czytelnikami, rozrosłe w ostatnich latach do sporych rozmiarów, stały się problemem zarówno dla pisarzy jak i dla organizatorów. Coraz bardziej stosunek onieśmienia przerażał się w obustronne zaufanie, nie tylko bowiem czytelnik zaspokajał ciekawość, lecz i pisarz; nie tylko bowiem czytelnik dowiadywał się często istotnych rzeczy, lecz i pisarz, gdy konkretyzacja osądów i postaci czytelnika została sprowadzona do właściwych wymiarów. Czytelnik przestał być dla pisarza abstrakcją, stał się kimś konkretnym i osiągalnym, stawał się krytykiem i doradcą. Dlatego zobaczenie własnego czytelnika jest bodaj większym wstrząsem dla pisarza niż dla czytelnika zobaczenie swojego pisarza. Z takiego poznania, choćby nawet było dość powierzchowne, obie strony wynoszą bezsporne korzyści. Każda wychodzi z wieczoru autorskiego z głębokim przedświadczeniem, że skorzystała więcej od drugiej. Choć i to należy traktować w kategoriach hipotezy.

Spotkania te świadczą bezwzględnie o potrzebie bezpośredniego kontaktowania się twórcy z odbiorcą kultury, pozwalając na pewne zaciąganie zobowiązań przez pisarza, co niewątpliwie ma duży wpływ na dalszą jego twórczość. Wychodząc ze swego laboratorium w życie autor ma nierzadko możliwość ocenić wagę swego dzieła, jego społeczną rolę i przekonać się naocznie o oddziaływaniu literatury. Dotyczy to szczególnie wypadków na tzw. głuchą prowincję, gdzie wrażliwość odbiorcy na sprawy kultury jest o wiele wyższa aniżeli w ośrodkach centralnych. Szczere słowa podziękowania, z jakimi nierzadko spotyka się pisarz, niejednokrotnie stanowią podniecie do dalszej pracy. A jednocześnie świadomość wspólnej drogi — społeczeństwa i pisarza, potwierdzona w wypowiedziach na takim wieczorze, przynosi satysfakcję i podziękowanie za trud pisarski.

Jedno jest niepokojące w tych spotkaniach — organizacja, która ma tę podstępna właściwość, że zbyt często zawodzi. Rozpatrzenie jej osiągnięć i braków powinno stanowić właściwy wstęp niniejszych rozważań. W ubiegłym roku zatrzymanym dłużej przez słuchaczy na wieczorze autorskim w Karczewiu Jastrun wracał na stację w Otwocku wozem straży pożarnej, gdyż nie można było nic innego wyszukać, bo pora była po temu spóźniona. Jaz-

da na wozie strażackim należy niewątpliwie do wielkich atrakcyj, szczególnie dla poety, lecz nie zawsze pożądaných. Mnie przed dwoma laty na Lubelszczyźnie zdarzyło się dotrzeć na miejsce przestąpienia późną nocą cysterną benzynową z kompletnie pijanym szoferem, tak że jechałem na stopniach szoferki, wypatrując na licznych zakrętach — śmierci. Sam szofer, wyszedłszy z wozu po skończonej jeździe, oświadczył lojalnie, że z jego strony było to szaleństwo. Wytrzeźwił bowiem w czasie jazdy, ale zbyt późno zdał sobie sprawę ze swego stanu.

Organizacja nie może obfitować w momenty awanturnicze i stale mieć posmak przygody. Nie tylko środki lokomocji wydają się być przeciwnie pisarzowi, ale również ściąganie na imprezę chętnych. Heż to razy zdarzyło się nam wyciekać w pustej sali, gdy obok miał się przy telefonie nieszczytny organizator, dzwoniąc mimo spóźnionej pory po wszystkich instytucjach i nalegając w ostatniej chwili o przybycie. Z doświadczeń wyjazdów z wieczorami autorskimi w teren przywozłem pewien swoisty lęk przestrzeni i oraz poczucie niepewności jutra. Wyjeżdżając nigdy nie byłem bowiem pewien, czy dotrę do oznaczonego miejsca, przypadek stanowił dominancję tych wypraw, psuł harmonogram prac, załamany plan, a przecież chodziło o taki drobiaz jak środek lokomocji czy też parę telefonów do zainteresowanych. Zdarzały się w tych wyprawach i inne niedogodności, jak długie nocne marsze w pościgu za pociągłem i noclegi w szpitalu dla zakazanych, jak to przypadło w udziało Kubiakowi, lub błąkanie się bezmyślnie po małych miasteczkach w wycieczaniu na prelekcję, która się w końcu nie odbyła, gdyż jednocześnie o tej samej porze były dwa inne zebrania. Mniejsza jednak z tym, pamięć nasza zachęca rzecz zła, a wywołuje przyjemne. Spotkanie zaś z czytelnikami, mimo wszelkie trudności, wynagradza wszystko. Nawet jazda na wozie strażackim.

To nie frazes. Często przypadkowe spotkanie nosi w sobie załączki materiału, z jakiego pisarz będzie mógł później czerpać. Kontakt zmusza do zastanowienia się nad własną twórczością, co dla każdego jest pożądaną, sumą więc korzyści na pewno przynosi sumę niedogodności, w ostatecznym bilansie pozostawiając wspomnienie należyście wypełnionego obowiązku.

Akcję wyjazdów autorskich i spotkań z czytelnikami przejął od niedawna Związek Literatów Polskich. Warto więc zapoznać się nieco z cyframi, choć nie cyfry są ważne ani magia statystyki z całą jej obrzydowością, lecz to co się poza nią kryje. W ciągu np. ostatniego roku (od 1.IV 51 do 1.IV 52) Oddział Warszawski ZLP wziął udział w 345 imprezach, delegując na nie 120 swych członków. Imprezy te miały dość różnorodny charakter, począwszy od wzięcia udziału w Akademiach Pierwszomajowych, czy Akcji Plebiscytowej po wyjazdy w szczytńskie czy wrocławskie. W czasie trwania plenum Zarządu Głównego w styczniu b. r. odbyło się w Warszawie 45 wystawień literatów ze wszystkich ośrodków związkowych, obejmując swym zasięgiem różne środowiska i zakłady pracy.

(Dokończenie na str. 10-tej)

ZBIGNIEW KEMPKA

# Problemy biblioteczne

Jak w ubiegłych latach, tak i w bieżącym roku, mając jest miesiącem „Dni Oświaty, Książki i Prasy”. W dniach tych zorganizowane są na terenie całego kraju kiermasze książek urozmaicone występami artystów dramatycznych, orkiestr i chórów; w salach odczytowych, w fabrykach, w świetlicach wiejskich, urzędach się spotkania robotników i chłopów z pisarzami, Towarzystwo Wiedzy Powszechnej organizuje setki i tysiące odczytów poświęconych osiągnięciom i zdobycjom postępowej myśli naukowej. Gazety codzienne i czasopisma zamieszczają artykuły i liczne notatki omawiające nasz dorobek kulturalny i naukowy, jego wspaniałe wzrost możliwe tylko w krajach, w których gospodarzami są masy

pracujące miast i wsi, w których ster rządów spoczywa w spracowanych rękach robotników i chłopów.

W „Dniach Oświaty, Książki i Prasy” dowiadujemy się o imponującej rozbudowie wszelkich typów szkół, o powstających nowych teatrach i kinach, o idących w setki tysięcy nakładach książek i czasopiśmie, o wspaniałym rozwoju czytelnictwa wśród dorosłych i młodzieży, w miastach i na wsi.

A jednak w dniach święta książki trudno było znaleźć w prasie nawet wzmianki o rozwoju i o pracy instytucji, które specjalnie powołane są do upowszechniania książki, których zadaniem jest wychowanie za pośrednictwem książki nowego człowieka.

Czyżby tych instytucji — bibliotek — było jeszcze tak mało, ich

praca tak nikła, że mogły być w dniach święta książki niezauważone?

Rząd Polski Ludowej stworzył mocne podstawy organizacyjne pod rozbudowę bibliotek. Dekret z 17 kwietnia 1946 r. o bibliotekach i o pieczę nad zbiorami bibliotecznymi, dekret, o który w Polsce burżuazyjnej przez dwadzieścia lat bezskutecznie bili się bibliotekarze, postanawia, iż „Biblioteki i zbiory biblioteczne, zarówno krajowe, jak znajdujące się za granicą, a będące własnością ludu w posiadaniu obywateli polskich lub instytucji polskich, uznaje się za narodowe mienie kulturalne, powołane do służenia dobru ogólnemu”.

Artykuł 2 dekretu mówi, iż „celem prowadzenia w społeczeństwie jednolitej działalności kulturalnej za pomocą książki i bibliotek oraz umożliwienia każdemu obywatelowi korzystania ze zbiorów bibliotecznych całego kraju tworzy się ogólnokrajową sieć bibliotek publicznych, utrzymywanych przez Państwo lub inne związki publicznoprawne”.

Na mocy tych postanowień bibliotekarze polscy przystąpili do zabezpieczenia księgozbiorów podworskich, księgozbiorów z tzw. mienia opuszczonego, zaczęli porządkować ocalałe z pożogi wojennej resztki księgozbiorów bibliotecznych, zaczęli odbudowywać zburzone i wypalone budynki nielicznych bibliotek przedwojennych. W nowopowstających i odbudowywanych wyższych uczelniach, w instytucjach naukowych, w odbudowywanych i nowobudowanych szkołach, w fabrykach i zakładach, w świetlicach wiejskich zaczęły powstawać nowe biblioteki. Już, po siedmiu latach, kraj cały pokryty jest gęstą siecią bibliotek publicznych, naukowych, szkolnych, prowadzonych przez Partię, Związki Zawodowe, ZMP, Związki Samopomocy Chłopskiej itp. Liczba ich sięga 85 tysięcy z księgozbiorem liczącym 55 milionów tomów. Dziś na jednego mieszkańca naszego kraju przypada w księgozbiorach bibliotecznych 2,3 książki, podczas gdy w Polsce sanacyjnej jedna książka przypadała na 6-ciu mieszkańców, a na wsi jedna na 27 mieszkańców.

Rozbudowujące się szkolnictwo, likwidacja analfabetyzmu, budowa nowych fabryk i zakładów przemysłowych, nowe metody pracy, szybki rozwój nowej techniki pracy w produkcji rolnej, wszystko to powoduje niezwyklej pęd do wiedzy mas pracujących, stwarza stale rosnące zapotrzebowanie na książkę podnoszącą poziom fachowy czytelnika, rozszerzającą jego horyzonty myślowe. Dziś biblioteki są instytucjami masowego użytku. Świadczą o tym takie cyfry, jak na przykład liczba 1 300 000 czytelników w Bibliotece Publicznej m. st. W-wy w 1951 roku, którym udostępniono ponad 1,5 miliona książek.

Odpowiedź na postawione na wstępie pytanie nie leży zatem w małej liczbie bibliotek, czy przynoszącej małe efekty pracy bibliotekarzy. Odpowiedź leży w niedostatecznym jeszcze docenianiu roli i zadań bibliotek; odpowiedź leży w tym, że nie przywiązuje się do sprawy bibliotekarstwa dostatecznej wagi.

(Dokończenie na str. 11-ci)

JAN KOPROWSKI

## DO PRZYJACIELA

Pamiętasz naszą wieś przed laty ukrytą w sadach i w opłotkach? Wrasła w ziemię okna chaty nie mogąc się ze słońcem spotkać.

Pamiętasz nasze stare drogi, pełne po deszczu brudnych kałuż? Chciałbym wspominać, lecz nie mogę, gorzka jej przeszłość zasypała.

I jeśli pisać dziś do ciebie grzebię się z trudem w tamtych latach, to tylko po to, aby wiedzieć, ileśmy wszyscy uszli świata.

Abyśmy naszą twardą młodość określić mogli i ocenić z wyżyny lat tych, które wiodą w ojczyznę blasków, a nie cieni,

Gdzie ludzie, do niedawna ślepi, pojawiwszy urok alfabetu chcą żyć inaczej, mądrzej, lepiej. O czasie piękny dla poetów!

Do biblioteki, w której książek więcej, niż kiedyś w dwu powiatach, ojciec nasi chętnie dają, by wiedzą wesprzeć swoje lata.

I wśród sosnowych szaf i półek, wśród wierszy i powieści wielu, znajdą ich ręce — drogie, czule — i nasze książki, przyjacielu.

(Dokończenie na str. 11-ci)

SEWERYN POLLAK

# Trudna droga poety

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

# WIKTOR HUGO —

## CYWILIZACJA

Cóż rozumiecie przez to, co w waszym żargonie Nad Gangesem, Missouri, Nilem, Oregonem, Począwszy od równika kończąc na biegunie Cywilizacją zwie się? Powiedz ciemny tłumie!

Sluchajcie echa ziemi. Daleko czy blisko Ten sam brzmiał głos na Kubie, w Sydney, w San Francisco. Myślicie, że świat cały cywilizuje, Kiedy go zakazacie swoich pragnień śmieciem, Gdy macie toń jezior, lustro tajemnicy, Gdy macie dzieł jego, las dźwięczy, Gdy w puszczy, z wybrzeży morskich, z jaskiń przez pędzicie Brata swego dzikusa, zatrzuwając życie Mieniacemu się blaskiem promieni tysiąca Szaleńcowi przyrody i dziecięciu słońca; Gdy precz niepotrzebne gonicie Adama, By światu dać takiego człowieka za pana, Co jak gadzina w własnej podłości się tarza, Co bezwzględny swą chciwość cynicznie obnaża, Balwochwalcę dolara, którego tęsknota Gna nie za blaskiem słońca, lecz za żyłą złotą; Wolny rzekomo stawia on za przykład ludzkości Niewielknień zdomione, że służy wolności.

Mówicie: — Zajęliśmy miejsce tych brutalni, Gdzie niegdysz chaty licha, dziś pałac wspinały! My w jasnym świetle ludzkość w przyszłość prowadzimy! Patrząc na nasze porty, okręty, maszyny, Parki, teatry! Wszystko to myśmy zrobili! — Wyście też okrucieństwo udoskonalili. Krzyczcie wielkim głosem: Podziwiajcie postęp! Gdy pola, góry, lasy wołają o pomstę, Kiedy sponiewierana natura przeklina Was włączyć spragnionych złotą oraz krwi Murzyna, Gdy człowiek-plaż przychodzi do człowieka-orle, Gdy miejsce tomahawka zajmuje rewolwer.

## ZERWAŁ SIĘ LUD CAŁY..

I zerwał się lud cały, a był to lud wielki. On plomienie postępu rozniecał z iskierki. Inne ludy mówiły: Oto nasza gwiazda! Przeszedł przez nawalinę, do ziemi pochował W dźwiękdźwiękami trzecim świat który się przeżył I z walk nieudzielnym wyszedł młodzieńcy i świeży. Lud, który osaczyły posępne zdarzenia, Na drodze swej ciemności w blask słońca przemieniał, Ten lud, co był szatanem, Bogiem, Zbawicielem Wieki wruszał, był promień odrębną w popiele On światu dał Pascala, on zrodził Moliera; Narody, które sercem i rozumem wspierał, Jak bluszczem go objęły miłoścy nałd życie. Przez lat sześćdziesiąt blaskiem lśnił na jego szczycie Wolter, ten umysł z ognia, uzbrojony drwiną, Wygnaniec, od słów jego prześladowce giną, Pasterz, który poruszał sumienie człowiecze, Plukał dogmaty wiary tak jak owce w rzece. Lud ten prawo do życia przekwestionował. Przez to, że chciał być Francją, stał się Europą, A będąc Europą był światła natchnieniem. Zjednaczył ogień z wodą, zwał niebo i z'emię. I rasy węń spłynęły jak strumienie w rzekę. On nie był ludem tylko. Był także człowiekiem. Jak żołnierz patrolował ostępy i haszcze; Krokiem obrzyma miał błędy i przepaście; Prawdę głosił na ziemi. Z mózgu mu tryskała Lawa promieniująca. Ona wyzwała Wszystkich, których niedola przyniosła do ziemi. Wzrok przywracała ślepy, mowę głuchoniemym. Porażona jej żaru płomiennym podmuchem Noc stara uchodziła powlęcząc łańcuchem, Dokoła w gruzy legły zbrodnia, nadszycie, A on jak piramida groźna stał. Na szczycie Widniały znów do życia prawa zmartwychwstałe. Ku niemu wyciągały ręki dzieci małe. On nie zebrał o lasce, lecz mówił: tak trzeba! Walcząc z wojną i zbrodnią bił jak piorun z nieba. Tyranów precz pędziła jego dobra ręka. Zbyt wielki był niecety! Zdrady się nie lękał. Ku przyszłości siedzi czysty jak ranek majowy I wpatrzony w ideal nie odwracał głowy...

Aż nagle wpadł w zasadzkę. Uległ podleg zdradzie. Trupa jego widzicie tam, na barykadzie!



Jerzy Zagórski

Wczesna poezja Zagórskiego zrodziła się w atmosferze wileńskich „Zagórów” i „Pionów”, pism, wokół których w latach 1931 — 33 skupiała się postępowo młodzież literacka. Wśród współpracowników tych pism znajdujemy między innymi nazwiska takich ludzi jak Teodor Bujnicki, Stefan Jedrychowski, Jerzy Putrament. Na szpalach tych pism siceraly się idee o charakterze liberalistycznym, demokratycznym, czasami dochodziły nawet do głosu pewne myśli zaczepione z marksizmem. W tych warunkach kształtował się światopogląd pisarzy. Jak wiemy, drogi tych pisarzy rozeszły się później bardzo wyraźnie. U tych pisarzy, którzy nie poszli w kierunku marksizmu, a do nich właśnie zalicza się Jerzy Zagórski, zamęt ideologiczny trwał znacznie dłużej i widoczny jest jeszcze w ich twórczości dzisiejszej.

Twórczość Zagórskiego z owych lat nosi wyraźne znamiona zabłąkania ideowego. Poetę dręczy świadomość nieuchronnej katastrofy świata, w którym żyje, świata przerażających przeciwieństw klasowych, zamętu i krzywdy. Jednak Zagórski nie potrafi wyciągać właściwych wniosków. Staje na rozdrożu, skąd jeden tylko krok albo do akceptacji rzeczywistości, w której żyje, albo do anarchizmu.

Wiersze smutnej, ostatnim schronieniu ginących.

*„Zanim świat zatonie, żagle wiatr rozwiewa.  
Tak to kosztem świata, który co dzień tracisz,  
Wstają scenariusze, bajki i piosenki.*

Taki jest ogólny sens „Wypraw” ostatniego tomu Zagórskiego, wydawnego przed wojną. W „Wieczorze w Wieliszewie”, zbiorze wydanym w 1947 r., Zagórski zgromadził wiersze powstałe w latach okupacji hitlerowskiej i tuż po wojnie. Wybór wierszy z tego cyklu, zaprezentowany nam w „Wierszach wybranych”; nie ukazuje we właściwych proporcjach postawy Zagórskiego w tym czasie. Poeta zmienił tylko formę wypowiedzianych swoich katastroficznych nastroszeń, maskując je „filozoficznymi” rozważaniami nad przemijalnością czasu i ludzkich spraw. Świat zwręził się dla niego, nie jest to już nawet theatrum dziejów, „tylko kapliczki, posągi w ulicach i twarze osmalonych Serafów brodatych, wiążą nas z tym co mija, a zostaje światem”. Istotna jest jedynie sztuka. Jej, pojętej statycznie, przynajmniej Zagórski wieczną trwałość. Człowiek jest czymś, co przemija bez śladu w przyrodzie i na to — według poety — nie ma rady. Stąd ten dziwnie zrównoważony w latach grozy ton wierszy Zagórskiego. Stąd, jako jedyna ucieczka, impresjonistyczna czułość na barwę, na pejzaż bez człowieka. Taki właśnie pejzaż widzimy w wierszu dedykowanym dowódcy leśnego oddziału. Jest to pejzaż nieludzki. Bo cóż zatrzymuje uwagę Zagórskiego w tym wierszu? Barwy lasu. I cóż ma Zagórski do powiedzenia partyzantowi? „Ty za księżycem ruszysz, wędrowniku” — mówi do człowieka, który poległ w walce z okupantem.

Pojmowanie sztuki jako „rzeczy samej w sobie”, pojmnowanie historii w sposób statyczny, niedialektyczny, powoduje, że Zagórski w r. 1945, bezpośrednio po straszliwych przeżyciach wojennych, może mówić o ofiarach morderstw hitlerowskich: „ich pamięć beznamiętny ma już dźwięk historii”. Jedynie żywe uczucia zachowuje Zagórski do świata przeżyć, zamkniętego w wąskim kręgu spraw domowych. Tam poeta czuje się najlepiej, najpewniej. W niektórych wierszach z „Wieczoru w Wieliszewie”, które nie weszły do ostatniego wyboru, usiłuje co prawda wyrwać się z tego zakletego kręgu, lecz są to wysiłki bezplodne, bo nawet w wierszu do poległych w powstaniu warszawskim przyjaciół-poetów wyraża jedynie żal, że nie zatrzymał ich, że nie wprowadził w uroki świat estetycznych doznań, które uczą przemijalności ludzkich spraw. Ta hedonistyczna postawa, estetyzowanie dla estetyzowania, postawa uciekiniera przed wszelkimi trudnościami życia, przed odpowiedzialnością pisarza za swój czas, za kształtowanie się historii, przejawia się w większości wierszy „Wieczoru w Wieliszewie”. Gdybyż można było tam znaleźć przynajmniej mocniej podkreślone elementy przeżywania przez poetę wespół ze społeczeństwem, w którym przecież żyje, tych wszystkich olbrzymich wstrząsów, jakie nami targały. Lata okupacji hitlerowskiej, lata tworzenia się Polski Ludowej nie znalazły głębszego odbicia w twórczości poety. Groza wojny wpłynęła jeszcze bardziej na to, że szuka schronienia w pięknie krajobrazu, w czysto zewnętrznych doznaniach zmienności barw i światła, w „wiecznym” uroku sztuki.

Podobne wiążą nas nadzieje:  
Jak praca twarda, pieśń wysoka  
I walka, co sztapandem wieje  
Nad nami jak nad krajem Smoka.

Ten sposób pojmnowania odcinka historii przeżywanego wspólnie przez Polskę Ludową i przez Ludowe Chiny świadczą, że Zagórski stara się dotrzeć do istoty zjawisk społecznych w ich właściwym przebiegu.

Droga poetyczna Zagórskiego nie jest łatwa. Co krok poeta zapada się w wilcze jamy idealistycznych koncepcji. Jego niekonsekwencje są niekonsekwencjami wielu poetów, którzy do realizmu socjalistycznego zdążają z dalekich bezdroży „zblakanych przedwojennych inteligentów”. Trud tej drogi uświadamia sobie Zagórski:

Wiersz o przekaże prawdę wiekom,  
Taki z latami będzie rósł.

— mówi w parafrazie wiersza Lermontowa „Ojczyzna”. Tego rodzaju postawa budzi szacunek i zaufanie do szczerości poety.

„Wiersze wybrane” nie ukazują nam w pełni tej trudnej drogi, jaką odbył do tej pory i odbywa jeszcze poeta. Jest to wycinek, który nie pozwala właściwie ocenić rozwoju twórczości Zagórskiego, zbyt jest bowiem fragmentaryczny i ulamkowy. Szkoda, że wydawnictwo nie pokazało w szerszym, bardziej wyczerpującym wyborze wieloletniej, różnorodnej twórczości tego ustawicznie poszukującego poety. Niektóre z wierszy dawnych oraz wiersze nowe, które jeszcze nie weszły do tomu, niewątpliwie pozwoliłyby nam ujrzyć tę rozpiętość, jaka dzieli Zagórskiego sprzed lat dziesięciu od Zagórskiego, poety, który usiłuje uchwycić nurt dnia dzisiejszego.

Bo nie tylko skryptomu Bacha organisty,  
Lecz i młotom górników miłość się należy.

Seweryn Pollak

Wierszach zjawiają się nuty optymizmu. Poeta zaczyna wierzyć w twórczą siłę wspólnej pracy, rozumieć, że rola poety jest większa i piękniejsza niż to sobie wyobrażał, że nie może się sprowadzać do opiewania przyrody jako gry bezdusnych zjawisk, do jałowych zachwytołów nad dziełami sztuki w oderwaniu od ich funkcji społecznej. Zaczyna pojmować, że głos poety pustoty jest i musi zamilknąć, jeśli nie wyraża twórczych dążeń człowieka. Taki jest mniej więcej sens wiersza „Wędrownika”. Motyw ten powtarza się dość często:

Ten, co dla innych wszystko czyni,  
A ludzkich dusz i tęsknot nie zna,  
U tego w sercu noc bezgwieżdna,  
I jest jak łwica na pustym.

— mówi w wierszu pt. „Sława”.

Nie rozumie jednak Zagórski istoty przemian społecznych, w dalszym ciągu ugina się pod ciężarem nieokreślonych lęków o przyszłość świata. Jego podejście do zagadnienia pracy jest naiwne i abstrakcyjne. Mówiąc o grozie wojny twierdzi: „Dwie siostry — praca i piękno, tych się szaleńcy uleką!” Ale jaka praca, dla kogo praca — nad tym się Zagórski nie zastanawia.

Jeśli zagłębia się w rozważania nad przyszłością świata, widzi gróźbę zniszczenia tego wszystkiego, co uznaje za najwyższe wartości, nie widzi jednak kto tym wartościom zagraża i w imię czego należy ich bronić. Niechęć do konkretyzowania, do nazywania rzeczy po imieniu, doprowadza poetę do jakichś zupełnie magicznych sformułowań. Jest to już nie program społeczny, nie postawa filozoficzna, lecz tak zwana magia życzeniowa.

Więc, przyjaciele, jeszcze piękniej  
Niech zdobi ziemię nasza praca.  
Może się wtedy zło uleknie  
I cioty śmierci poodwaca?

Dostrzegłszy wokół siebie ludzi, dostrzegłszy twórczą siłę pracy, nie potrafił się Zagórski wyzwolić ze skłonności do dość nieokreślonego, w gruncie rzeczy bardzo idealistycznego „filozofowania” na temat tak zwanych „pojęć wiecznych”. W dalszym ciągu zajmują go zagadnienia śmierci i czasu, nie znajduje jednak ogólnej koncepcji filozoficznej, w której kategoriach mogłyby te zagadnienia rozwiązać. Utarło się mniemanie, że Zagórski był do niedawna tak zwanym poetą katolickim. Osmiełam się twierdzić, że nie był nim nigdy. Relatywizm jego wywodów filozoficznych, jego rozważania o przemijalności i nieprzemijalności zjawisk, z których nic właściwie nie wynika, daleki jest od katolicyzmu.

Ta tendencja do filozofowania, które nie nabrało konkretności jakiegokolwiek racjonalistycznej filozofii, nie opuszcza Zagórskiego nawet w nowych wierszach i przeszkadza mu w osiągnięciu właściwej postawy społecznej. Do postawy tej poeta wyraźnie dąży. Świadczą o tym między innymi wiersz do Mao-Tse-tunga:

Podobne wiążą nas nadzieje:  
Jak praca twarda, pieśń wysoka  
I walka, co sztapandem wieje  
Nad nami jak nad krajem Smoka.

Ten sposób pojmnowania odcinka historii przeżywanego wspólnie przez Polskę Ludową i przez Ludowe Chiny świadczą, że Zagórski stara się dotrzeć do istoty zjawisk społecznych w ich właściwym przebiegu.

Droga poetyczna Zagórskiego nie jest łatwa. Co krok poeta zapada się w wilcze jamy idealistycznych koncepcji. Jego niekonsekwencje są niekonsekwencjami wielu poetów, którzy do realizmu socjalistycznego zdążają z dalekich bezdroży „zblakanych przedwojennych inteligentów”. Trud tej drogi uświadamia sobie Zagórski:

Nie będę kłamał, że mi lekko,  
Nie chcę być pośmiewiskiem muz.  
Wiersz o przekaże prawdę wiekom,  
Taki z latami będzie rósł.

Niebam jałowym nie tudzić,  
Jakże wierzyć w ludzkość,  
gdy z rosnącym niepokojem  
w sobie szukamy  
Gatunkowego pokrewieństwa  
z ludzmi.  
Trwa jeszcze wojna w obłokach,  
które świat czerwony przerył.  
W nas spokój. I tylko ręce  
składamy i tylko usta stulamy  
W modlitwie złej o iperyt.

Zagórski zatrzymuje się na tym rozdrożu. Zaczyna zdawać sobie sprawę, że przyczyną katastrofy są coraz ostrzejsze przeciwieństwa klasowe. Nie umie jednak dostrzec czynników postępu i odrodzenia kultury w proletariacie, przeczuwa je zaledwie i to bez wiary w ich zwycięstwo.

Wiersz „Oda na spadek funta” jest nieco wyraźniejszym świadectwem, że Zagórski uświadamia sobie nieunikniony upadek świata kapitalistycznego, jego całkowitą bezideowość, a także rolę ludzkiej burżuazji nowej klasy społecznej — proletariatu. Ale i tu nie wychodzi Zagórski poza negację. Bohaterska epoka starej Anglii rozwiała się jak dym, legendy giełdy londyńskiej gdzie indziej się dzisiaj rozstrzygną, przesilił się czas zdobywczych armad imperialistów angielskich, a po asfaltowych drogach polnych Walii maszeruje milion ludzi niezadowolonych.

Z dezorientacją ideologiczną, z brakiem myśli przewodniej idzie w parze rozproszenie formalne. Zagórski buduje swój wiersz na podstawie skojarzeń słowno-pojęciowych. Jedynie przedmioty zachowały jakąś sprawdzalność, jedynie do nich może się odwołać zagubiony w świecie rzeczy poeta:

Przedmioty gromadzą się, piętrzą,  
wiew urządziły i rumor:  
Na prawo policja tezek, na lewo  
papierzystk masówka,  
Cukiernica jak pomnik góruje,  
atun symetrii przeczy,  
Rzecz każda ma wolę i humor,  
i każda prawdę najświętszą.

W kłębowskiu idei i pojęć poeta stawia na jednej płaszczyźnie „szumny Białowież i pszczyńskich borów” z „rykiem bydlęta w wielkich kołchozach, dudniących turkotem traktorów”. Przyszłość świata widzi tam, gdzie istotnie ten nowy świat się tworzy, ale nie dostrzega do niego drogi i lęka się „tętniących melodii jutra”. Taki jest sens ogólny pierwszego zbioru Zagórskiego pt. „Ostrze mostu”.

\* Jerzy Zagórski — „Wiersze Wybrane”, „Czytelnik”, 1951, str. 133.

przygotowanie statku do wyładunku przed wypłynięciem do portu, sprawność nawigacyjną i wybieranie najkrótszych kursów, skrócono niejedną podróż. Bilans ten należałoby jeszcze uzupełnić wzmianką o starszym mechaniku, Janie Cyglerze, który przejmował maszynownię „Kolna”.

Przez długi czas troską jego była żarliwość palenisk tego statku, które przy szybkości 10,5 mili morskiej pochłaniały 36 ton węgla na dobę. Węgiel zdawał się „uciekać wprost z ruszów do kominów”, jak mawiali palace. Cygler tak długo badał maszynę, aż stwierdził, że hilerowcy, oddając statek, pouszkadzali sprytnie pomocnicze mechanizmy i przegrzewały parę. Zrobili to tak pomysłowo, że Anglicy okazali się wobec tych zamaskowanych defektów zupełnie beznadzi. Dopiero polska załoga maszynowa pod kierunkiem swego doświadczzonego mechanika doprowadziła wszystkie mechanizmy dawnego SS „Nordlicht” do stanu pierwotnego. Palili teraz przy tej samej szybkości 20,5 tony, czyli o 24 godziny zaoszczędzali 15,5 tony.

Cała tajemnica — mówi ktoś z załogi — polega na tym, iż marynarze zrozumieć, że statek jest ich wspólną własnością, że pokutująca początkowo po wojnie w naszej flocie zia tradycja t. zw. intratnych rejów została przełamana, że marynarka nasza, jeśli chodzi o nastawienie załogi, dawno już przestała być „handlująca”, a stała się handlowa.

Nowa umowa zbiorowa zapewniała załogę dobre pomieszczenie i wyżywienie, dba o czystość i higienę, smrodliwe kubryki i dziobie z wietniejącym pietykiem i kopcącą lampą naftową należała już do przeszłości. Pałac po pracy w dusznej maszynowni może wziąć natrysk, odpocząć w czystej koi, poczytać książkę, wypożyczoną z okretowej biblioteki, zmienianej za każdym rejsem. Również na ładzie znajdują obecnie warunki, o jakich dawniej podczas długotrwałego nieraz „siedzenia na biczu”, czyli beznadziejnego oczekiwania na pracę, nawet nie marzył. W Gdyni, Nowym Porcie, Szczecinie, istnieją Domy Marynarsza z wygodnymi pokojami, piękny światłociepny, czytelniami, bogato zaopatrzonymi w książki i czasopisma.

Jakże odległe wydają się czasy, kiedy pod polską banderą pływały jednostki „Sarmacji” norweskiego armatora Bergenske, czy t. zw. statki śmierci, zaniebane przez armatora, omijane przez marynarzy. Pewien oficer, pływający, krótko zresztą, na „Wigrach”, które później w pobliżu Islandii poszły na dno z całą niemal załogą, opowiadał mi, że na tę „łajbę” podczas ostatniej wojny werbowano marynarzy po pijanemu w portowych tawernach. Nieprzytomnych pijaków brano na pokład i sam kapitan z oficerami czyli przed wyprzedzał statek z portu, wiedząc, że na trzech niekto się nie zgodzi z nim wypłynąć. Dziś słucha się tego jak fantastycznej baśni, w rodzaju tej choćby, która głosi, że każdy statek ma duszę.

Trudno nam byłoby obecnie w to uwierzyć. Natomiast każdy zgodzi się na pewno bez wahania, że duch, ożywiający załogę SS „Kolno” jest „dobrym duchem”, że dzięki pracy uświadamiającej, prowadzonej przez Partię i ZMP, kilkadziesiąt tysięcy w czasie wojny zaryła się z czasem i nowy rok zaczynać już w listopadzie.

#### „MIENIEM „KOLNA” PIEC LUB TRAKTOR”

Za oknami świetlicy widać majaczące w listopadowej mgle doki, dźwigi i statki. Stożkowate uwiązają się po ogromnych kadłubach, błyskają acetylenowymi, ostrymi aż do białości płomieniami, manewrują pneumatycznymi młotami, poruszają stalowymi ramionami żurawii, starają się pracować jak najszybciej, jak najwydajniej. Przypominam sobie za projektowanego przez gdyńskiego stocznica Sliwka aparat, rejestrujący na taśmie kontrolnej komendy kapitana z mostku okretowego do maszynowni i przyjęcie tych rozkazów przez mechanika oraz wykazywanie ich do sekundy prawidłowość wykonania tych rozkazów przez maszynę. Przypominam sobie pomysły innych racjonalizatorów jak Dąbrowski, Piątek czy Kubala.

Dyrekcja PMH należycie ocenia załogę „Kolna”. Dowodzą tego dyplomy i awanse. Dawni chłopcy okretowi: Schabński, Czajka, Cichoci, Lachecki są już w tej chwili młodszymi marynarzami. Marynarsze, jak np. Wójcisiak, otrzymały awans na bosmanów. Smidowicz z załogi maszynowej doczekał się tytułu przodownika. Przodownikiem floty został starszy marynarz, Bronisław Wachow. Porucznikowi Ryszardowi Biskupskiemu umożliwiono ukończenie kursu kapitańskiego. Starszy oficer Robert Noworyta, żal z Zakopanego, któremu „nie żał było opuścić tatrzańskich hal” dla morza — dostał mostek kapitański.

Doczekano się „Kolno” podziękowań i od dyrekcji swojego przedsiębiorstwa żeglownego i od „Near East Skandantent”. Ale niemniej cennym i niemniej miłym jest dla ludzi z „Kolna” szacunek i podziw społeczeństwa, które wyrażają słowa poety:

„Mieniemy „Kolna” piec lub traktor  
nazywaniem, kiedy stali strumień  
przedłuża trasę ich niełatwą  
ku dniem, co wstają w jasnym blasku.”

Franciszek Fenikowski

ZOFIA WOZNICKA

## NOWA TREŚĆ W STARYM ZWIERCIADLE

Ostatnia powieść Morcinka jest ściśle związana z poprzednim jego dziełem, „Pokładem Joanny”, utworem w dorobku Morcinka przelomowym.

„Pokład Joanny” opowiada o całym życiu kopalni, od jej powstania do wejścia w socjalistyczną gospodarkę. Jest to jeden z najlepszych utworów o tematyce śląskiej, zarazem najlepsze dzieło Morcinka.

Poszczególne wątki są w „Pokładzie Joanny” ujęte w duży skrócie. Nic dziwnego, że autor czuł potrzebę pełniejszego ich ukazania, że chciał do nich jeszcze wrócić.

„Urodzaj ludzi” jako drugi z rzędu utwór Morcinka o Śląsku zamiennie jest również z tego powodu, że oznacza chyba ostateczny już powrót do tematyki śląskiej. Po niezbyt szczęśliwych literackich wędrowkach Morcinek zapragnął dać pełniejszy obraz walki ziemi śląskiej, z którą jest tak mocno związany i której zawdzięcza swoje literackie znaczenie. „Urodzaj ludzi” jest więc książką ambinitą.

Fakt, że pisząc o walce śląskiego ludu Morcinek staje się pieczęcią Armii Ludowej, armii walczącej o wyzwolenie proletariatu, dowodzi konsekwencji jego zamiarów twórczych. Czy w. e. „Urodzaj ludzi” jest książką spełniającą swoje zadanie, czy stanowi dalszy etap na drodze rozwoju twórczego autora „Pokładu Joanny”?

Partyzantka w okresie okupacji to temat wybitnie polityczny. Konsekwencją „polityczności” tematu jest konieczność wyraźnej postawy ideologicznej autora, a wszelka chwiejność odbija się szczególnie jaszkro na wartości dzieła. Czy w tym względzie autor „Urodzaju ludzi” nie okazał się konsekwentny?

Książka Morcinka o partyzantce, wbrew swemu tytułowi, nie mówi o zbiorowisku ludzkim, lecz o pojedynczym bohaterze. Jest nim Franciszek Kudera. Na pozór wydaje się, że wybór Franciszka Kudery na bohatera powieści był wyborem trafnym. Franciszek Kudera, inżynier pochodzenia robotniczego, mocno związany z życiem swojej klasy, członek Partii, zdaje się „wszelkie dane posiadać” — mówiąc językiem urzędowym. Ale w „Pokładzie Joanny” inżynier Kudera jest postacią niepokojącą przez pewnego rodzaju wyobcowanie. Kudera ma mało powiązań ze swą klasą, jeszcze mniej z organizacją partyjną, do której należy. Oto jak Kudera przyjmuje volksliście (str. 345 — 346 „Pokładu Joanny”): „Nie ważyłem się do niego, podpasiał ją w końcu po przelamaniu moralnego oporu... Nie wspomina się nawet o tym, że w tej, tak ważnej sprawie Franciszek Kudera ogłasza się na postępowanie innych, na jakiejś instrukcji. Kudera jest członkiem Partii bardzo mało zdyscyplinowanym. Wierząc w swój „instykt klasowy” prowadzi akcję w fabryce, wsparty nie na kolektivie, ale na powszechnej niechęci górników do Niemców. W „Pokładzie Joanny” jeszcze nie jest samotnie walczącym buntownikiem, ale już tam znajdziemy zadatki takiej postawy.

W „Urodzaju ludzi” widzimy Franciszka Kudera w partyzantce. Przeprowadza on tam brawurowe akcje, może zaniadać nawet brawurowe, narażając zawiadacza do niepotrzebnie ludzi sobie powierzonych, „fasonem”, który nie był cechą bojowników proletariackiej armii (n.p. kiedyś „coś go tknęło” żęby na akcję iść najniebezpieczniejszą drogą). Co więcej Kudera nie ma żadnych zwierzchników, jego powiązanie z Partią i z Armią nie istnieje. Dlatego musi on przeprowadzać wszystko na własną rękę, nawet... szkolenie polityczne.

„Tyka zmarkotniał, poszedł do kartofli, a reszta towarzyszy czyściła broń, tułała wsi i ułała się. Tak długo aż Kudera wpadł na pomysł... że okres bezrobocia... można przeżyć wykorzystując w inny sposób. Oto rozpoczął z nimi pogadanki” (str. 126—127).

Jest to tak nieprawdopodobne, że przecieramy oczy. „A partyzanci —

gotowi jesteśmy wykrzyknąć — cóż oni na to?”

Właśnie, że partyzanci — nic. Są to dobrzy chłopcy, nie cierpią hitleryzmu, ale poza tym nie mają żadnych politycznych pasji, żadne zaangażowania ich nie trapią. Partyzantka z powieści Morcinka to „chwacka partyzantka”, składająca się z samych „złoty chłopaków”. Obok Kudery widzimy ich trzech: radzieckiego jeńca i dwóch, równie pocziwanych Ślązaków. O Maszce i Tyce autor mówi wprost, że „mieli w sobie coś sowizdrzańskiego”. Oczywiście, że takie zagęszczenie wesołości wpływa na przesłodzenie powieści, najmocniej razi postać pocziwego Maszki, który ani razu nie zdradza się z tym, że przeszedł wielką szkołę socjalistycznego życia.

Brak szerszego historycznego tła, brak istotnych konfliktów. Powieść o partyzantce nie jest już dokumentem swego czasu, staje się w dekoracji partyzanckiej snutą o powieścią o kilku sercach, opowieścią o perypetiach miłosnych naszego bohatera, które i „Jego ludzi” nie mających żadnych innych zainteresowań bardzo przejmują. A sprawy są takie: przy Kudera, poza narzeczoną, kręci się panienska „posągowo piękna”, nieco zadziwacza, lecz o złotym sercu. Jedna rozmowa z Kudera przekonująco tę osobę z inteligencji, której wszelkie sprawy społeczne były dotychczas obce, że powinna wstąpić do AL-owskiej partyzantki (inna rzecz, że w „Urodzaju ludzi” ta nieświadomość nie panuje niezaszkodzi). Rozmowa przeprowadzona jest w tym stylu:

„Pan podobno do zbójcy z mickiewiczowskiej ballady... — dziękuję — przerwał Kudera — w zamian powiem, że pani podobna do dziewczyny z ballady egzotyckiej” (? — przyp. mój, str. 114).

Dzieło literackie stanowi całość. Jeżeli konflikt jest w nim łożę postawiony — martyw, musi być bohater pozytywny. W książce autora, który nie uwidocznił klasowego charakteru partyzantki, musi być ta partyzantka oderwana od życia, w miejsce konkretnych realiów maszą wśliznąć się stare treści i wytarte szablon.

Ciekawe, że rozwodnione i nieprzekonywujące są w „Urodzaju ludzi” nawet sceny będące powtórzeniem scen z „Pokładu Joanny”, np. pierwsze rozmowy Maszki z Kudera, str. 381, 384 „Pokładu Joanny”, str. 7—8, 10 „Urodzaju ludzi”. W „Pokładzie Joanny” Maszka mówi prostymi, zrozumiałymi zdaniami rosyjskimi; w „Urodzaju ludzi” — poprawną, bezbarwną polszczyzną.

Na zakończenie można powtórzyć: powieść, której tematem jest ludowa partyzantka na ziemiach śląskich, jest ugruntowaniem nowego etapu pisarstwa Gustawa Morcinka.

W „Urodzaju ludzi” pisarz uległ jednak swym dawnym, drobnomieszczańskim obciążeniom, które w poważniejszy miarze osłabiły i skrzywiły wymowę nowych treści, jakie powieść przynosi.

Zofia Woźnicka

LUDWIK GRZENIEWSKI

## SPOTKANIE Z KLASYKAMI

W odpowiedzi na jedną z ankiet Ewa Szelburg-Zarembina tak pisała o swym zbiorze „Spotkania”: „Są to na wskroś ludzkie, najprostsze w wyrazie spotkania dzisiejszego pisarza z pisarzami klasycznymi. Cztery z tych spotkań: z Mickiewiczem, Puszkinem, Słowackim i — Homerem czytałam w Radio i głosy słuchaczy zachęciły mnie do dalszej pracy nad całością zbioru”. Po roku blisko od chwili opublikowania powyższych słów otrzymałam nakładem PIW-u miły, estetycznie wydany tomik<sup>\*)</sup>, zawierający jedenaście gawęd. Wymienię dla orientacji ty-

tuły: „Witaj, jutrenko swobody” (gawęda o Mickiewicz), „Jasną do końca mam wybitą drogę” (o Słowackim), „Takie książki wędrują jak ludzie” (o Puszkinie), „Pamiętam Norwida list do Ameryki”, „Caly żyję w mym dziele” (o Prusie), „Podpisani pod tym statem jednoczą się...” (o Orzeszkowej), „Gdy słowo staje się czynem” (o Żeromskim), „Baśnie Andersena”, „Ca m’interessa pas” (o Wiktorze Hugo), „Zwany dobrym, a którego przewano także Don Kichotem” (o Cervantesie) i wreszcie ostatnia gawęda o Homerze, „U Nauzykali”.

Takich spotkań współczesnych pisarzy z klasykami literatury mieliśmy wiele w literaturze naszej, na krocie można je liczyć w literaturach obcych. Są to cząstki ciekawego i godnego uwagi. Zbiorek Ewy Szelburg-Zarembiny — chociaż nie stanowi żadnej rewelacji w tej dziedzinie — jest jednak pozycją przyjemną w lekturze i pożyteczną, niejednemu bowiem czytelniku może zachęcić do zajrzenia do oryginałów.

Przynam się, że lekturę „Spotkań” rozpocząłem z pewną niechęcią. Słyszałem kiedyś przez radio gawędy o Mickiewicz i Słowackim odczytane przez samą autorkę. Zrobiły one na mnie niezbyt korzystne wrażenie, Zarembina pisze bowiem o poezji z egzaltacją, która współczesnego czytelnika niecierpliwi i znudzi. Trzeba jednak od razu wyjaśnić, że ten ton towarzyszy autorce tylko wtedy, gdy pisze o poezji i poetach. Dlatego też gawędy o Mickiewicz, Słowackim, Puszkinie i Norwidzie wydają mi się najsłabsze w zbiorze.

Za to następną gawędą: o Prusie, Orzeszkowej i Żeromskim — jak również kapitalna o Wiktorze Hugo — przyniosła mi miłe i najciekawsze. Obszerniej, z rozbudowaną akcją, zamykane klamrą trafnej, aktualnej pointy — pozostają w

SALOMON ŁASTIK

## „Wierzy nad Sekwaną” — powieść dokument

Wierzy nad Sekwaną<sup>\*)</sup> Jana Wiktora nie podobna ocenić tylko z naszej dzisiejszej perspektywy. Byłby to niepełny i przystomiony w pełni znanie tego demaskatorskiego utworu, musimy cofnąć się o 20 lat wstecz, do 1933 roku, gdy się ukazała ta powieść.

Gdybyśmy do „Wierzy nad Sekwaną” podeszeli ze stanowiska naszych współczesnych wymagań, nie uwzględniając czasu powstania i ukazania się tej powieści, dostrzegliśmy więcej uchybień i wad niż zalet tego utworu.

Dziś wiemy, że najbardziej dokładnie zobrazowanie kapitalistycznego

ustrój jest w utworze literackim tylko jedną stroną medalu, że dla historycznej wierności obrazu trzeba jeszcze pokazać organizującą się partię rewolucyjną, która zwalczała ów ustrój, otwierała perspektywę wyzwolenia spod przemocny wyzysku i nędzy.

Inaczej ma się rzecz, gdy spojrzemy na ów utwór z perspektywy historycznej i sięgniemy do norm estetycznych, które w owym czasie panowały.

„Wierzy nad Sekwaną” ukazały się w czasie wzmogłej faszystyzacji kraju. W owym czasie zamętu ideologicznego wśród pisarzy, w okresie dominowania formalizmu i psychologizmu, pojawienie się „Wierzy nad Sekwaną” — powieści na wskroś społecznej, pisanej z pasją, demaskującej wroga postawę sanacji wobec ludu, odsłaniającej bezmiar cierpienia warstw pracujących, zmuszonych udawać się za granicę w poszukiwaniu chleba, świadczyło o odwadze cywilnej Jana Wiktora, o jego humanizmie, patriotyzmie i zdecydowanym nawązaniu do postępowych, realistycznych tradycji naszej literatury.

Na czym polegała i polega zasadnicza wartość „Wierzy nad Sekwaną”? Jan Wiktor dostrzegł walkę klasową na wsi i w mieście, i wierne ją odtworzył.

Z powieści Wiktora daje się wyczuć ta doniosła prawda, że proletariatu nie ma ojczyzny w ustroju kapitalistycznym, a jednocześnie jest nosicielem potencjalnym i faktycznym najszerzego patriotyzmu, gdyż jego umiłowanie ziemi, mowy czyste, jego gotowość do ofiar dla dobra swego kraju, dokumentuje nie tylko metody ucisku i gwałtu, którym kapitalizm łamał moralność człowieka i spychał go na dno społeczne.

Ale te prawdy nie wyczerpują wartości powieści Wiktora. Autor potrafił zauważyć, że wśród ludzi z „nizin” jest więcej ludzkich uczuć, więcej współczucia i braterstwa, poczucia sprawiedliwości i duchowego piękna, niż wśród ludzi z warstw uwziwlejących. Szczególnie wyraźnie widzi to w postaciach Jędrka i Józki.

Czyste uczucie miłości Jędrka i Józki, w okresie ich tragicznej rozłąki, to przywiązanie do ojczystego kraju, umiłowanie pracy, ostra reakcja na wszelką krzywdę, przywiązanie do mowy ojczystej i większość wychodzących (mimo obłożności panicyzacji z ambasady na ich okrutne losy) świadczy, że autor wierzył w ludzkie siły.

\*) Jan Wiktor: „Wierzy nad Sekwaną”. PIW, 1951, tom I, XIX+227, tom II 246+6.

dzi w nich ludzi tragicznych, ale nie podłych.

Gdy czyta się „Wierzy nad Sekwaną”, ma się nieodparto wrażenie, że choć bonaterowe ich są o krok od wykolejenia, obują z mętą społecznymi, stoją oni o całą głowę wyżej od moralizatorskich pouczeń pan-uś i panicyzmu od filantropii, od bogoojczyźnianej deklamacji. Przez spotęgowanie naszej sympatii dla ludzi stojących poza marginesem społeczeństwa i pojępiących przez to społeczeństwo, pogłębia autor nasze oburzenie na winnych ich upadkowi. Wiktor widział dokładnie kto ponosi odpowiedzialność za tragiczny los setek tysięcy zwerbowanych przez kapitalistyczną Francję do katorżniczej pracy w warunkach bezprawia i okrutnego wyzysku: rząd sanacji, który nie wykazał więcej serca i troski o rodaków, niż rząd zaborczy.

Czy rozumieli społeczna wymowę tych prawd krytycy burżuazyjni? Leon Piwiński, w swojej recenzji zamieszczonej w „Wiadomościach Literackich” (nr 54 r. 1933), przyznaje, że autor „zabrał materiał obserwacyjny imponującą rozległość, bogactwami i o pierwszorzędnej doniosłości”, ale dodaje: „nie można powiedzieć, żeby z tego wszystkiego zrobił najlepiej użytek”.

Zbyt wiele serca włożył tu autor, zbyt płomienny jest jego protest, za wiele buntu przeciw kapitalistycznej rzeczywistości posiadają „Wierzy”, by mogły się podobać burżuazyjnemu smakoszu literatury. I, aby pomniejszyć wymowę autentycznych faktów, aby osłabić wrażenie, jakie robi na czytelniku tragiczny los głównych bohaterów powieści, Piwiński nie waha się im przypisać cech charakteru, których nie posiadają: robi z nich... niedołęgów i pechowców.

Cytujemy: „Pomimo wszystkiej rzeczy tragicznej i wzruszającej w miłości Jędrka i Józki, to sytuacja końcowa jest trochę komiczna. Oczywiście złożyło się na to wiele fatalnych zbiegów okoliczności; obojga bohaterów stale przesłađowały najrozmaitsze „pechy”. Byli to ludzie słabi, nieudolni i pechowi. A takim ludziom wszędzie i zawsze jest źle”.

Nie trudno przesłađzić i dowieść, iż jeśli chodzi o los głównych bohaterów — w żadnym wypadku nie mamy do czynienia z „fatalnym zbiegiem okoliczności”, „nieudolnością”, „pechowością”. Bohaterowie ci są ludźmi o mocnych charakterach, o niesamowitej wytrzymałości. Ale nieublagana rzeczywistość kapitalistyczna ma w sobie tyle jadu, tyle bezceństwa, że potrafi złamać opornych i najdonośniej uczucia zmieść z blostem. Jedyną „wadą” i zawadą w życiu bohaterów powieści jest ich uczciwość, a uczciwym ludziom w ustroju rządzącym się gwałtem i wyzyskiem jest rzeczywiście źle.

Powieściom tyle miejsca wycieczkom „historycznym” nie tylko dlatego, aby wykazać, jak mocno powieść Jana Wiktora oddcina się swoją wymową społeczną od „smaków estetycznych” okresu międzywojennego. Chodzi mi o rzecz o wiele ważniejszą: o wykazanie, że „Wierzy nad Sekwaną” stanowiąca dokument o rewolucjonizującej wymowie społecznej, że były one poczkiem wymierzonym w zakłamaną propagandę

„historycznym” nie tylko dlatego, aby wykazać, jak mocno powieść Jana Wiktora oddcina się swoją wymową społeczną od „smaków estetycznych” okresu międzywojennego. Chodzi mi o rzecz o wiele ważniejszą: o wykazanie, że „Wierzy nad Sekwaną” stanowiąca dokument o rewolucjonizującej wymowie społecznej, że były one poczkiem wymierzonym w zakłamaną propagandę

„Wierzbach”, że w każdym wypadku, gdy przychodzi do akcji bojowej, żywe postacie zanikają i zaczynają działać głosy (głosy buntu, głosy sumienia, głosy walki rewolucyjnej). Wybuch strajku, ma się rozumieć... zwiolił i od razu zaczyna się bezpostaciowa dyskusja, w ramach której można zamieścić tyle słów, ile się podoba. Czytamy więc na str. 101 (t. I) wiele różnych patetycznych zdań, a w nowym wydaniu jeszcze taki dodatek:

„Każdy bunt, każdy strajk, to zwycięski bój o pokój i wolność. Pożar rewolucji już się zbliża, a on spali wszystko zło i rozświetli dni nowego życia. Pożar rewolucji będzie słońcem po mrokach ucisku i niewoli. Robotnik francuski i polski muszą kroczyc w jednym szeregu do walki o wspólne dobro”.

Takich dodatków jest wiele. Czy zmieniają one w sposób istotny dzieło bohaterów powieści? Nie. Patetyczna publicystyka pusie realistyczną wymowę powieści i dlatego jest zbędna. Tysiąc przemówień nieznanego, pojawiającego się jak Jehowa z obłoków komunisty pozostanie bez znaczenia, jeśli nie zobaczymy człowieka z krwi i kości, człowieka nie z katalizacji, ale z życia. Jest niewybaczalna naiwnością postawienie epizodu pościgu za Jędrusem, winnym mordstwa popełnionego na policjanicy i jednocześnie skierowanego do komunisty Petera właśnie wtedy, gdy grozi mu strycalek i gdy staje się dla niego jasne, że nie ma już żadnej nadziei na szczęście osobiste (Józka żyje z Murzynem Jeanem). Wygląda to nie na świadomy akt woli, ale na akt desperacji. Właściwie więc autor osłabił i znieszczył wymowę ideologiczną, zamiast ją spotęgował.

Są to „Wierzy nad Sekwaną” i pozostaną dla nas dokumentem z ponurych lat międzywojennych, powieścią wymagającą treści trzej, która by mówiła o życiu dzisiejszym w Polsce Ludowej. Nie potrzebują one natomiast usprawiedliwiającego wstępu i anonimowego postawienia.

Ludwik Grzeniewski

Salomon Łastik

NOWOŚĆ

KSIAŻKA  
POCZTA

### CENTRALNA KSIĄGARNIA WYSYŁKOWA

Warszawa, ul. Sienkiewicza 14.

Realizuje zamówienia pocztowe na książki z terenu całego kraju. Zamawiać należy przede wszystkim takie książki, które trudno jest nabyć w miejscowych księgarniach, podając maksymalny termin, w jakim odbiorca życzy sobie książkę otrzymać.

Przy zamawianiu książek, których autor i tytuł nie jest odbiorcy znany, winien on określić przedmiot zainteresowania i cel, jakiemu książka ma służyć oraz wysokość sumy, za którą chce książkę nabyć. Zamówione książki są wysyłane za zaliczeniem pocztowym na koszt odbiorcy.

Zamówienie listowne traktowane jest przez Księgarnię Wysyłkową jako zobowiązanie do wykupienia przesyłki. Podobną działalność na terenach poszczególnych województw rozwijają Wojewódzkie Księgarnie Wysyłkowe. Księgarnie Wysyłkowe nie załatwiają zamówień zbiorowych większych odbiorców.

„DOM KSIĄŻKI”  
Przedsiębiorstwo Państwowe

BOGDAN BUTRYŃCZUK

# Sztuka Howarda Fasta

**G**rana równocześnie na kilku naszych scenach sztuka H. Fasta pt. „Trzydzieści srebrników” oznaczają się tą samą rzetelnością i śmiałością, co poczytane powieści tego pisarza: „Obywateł Tom Lane”, „Amerykanin”, „Clarkton”, „Droga wolności”. Mówi całą prawdą o szafarzanej Ameryce, demaskuje podstawy reżimu, który pod maską wolności i demokracji usaukjonował ucisk i gwałt.

„Trzydzieści srebrników” to sztuka pisana pod dyktando rzeczywistości, pozbawiona łatwych efektów, a przejmująca siłą dramatu rozwijającego się z nieubłaganą logiką faktów. Fabuła sprowadza się do dramatu rodzinnego, który rozgrywa się na samej powierzchni życia. Ale pod tą powierzchnią wyczuwamy istotny sens konfliktów społecznych, podkreślonych jeszcze pospolitą opinią obranego środowiska.

„Trzydzieści srebrników” to cena zdrady, fałszywe zeznanie Dave Grahama, złożone pod przymusem agenta Federalnego Biura Śledczego (FBI), Fullera, to cena bytu. Dave, człowiek tchórzliwy i słaby, został złamany. Wykazał w ten sposób swoją lojalność i zyskał prawo do pracy, ale utracił rodzinę, żonę, która zabrała z sobą dziecko.

Dramat rodziny Grahamów nie jest dramatem osobistym. Odejście Jane zawiera w sobie tylko pozornie jądrowy tragizm. W istocie jest jej wielkim zwycięstwem. Oznaka siły moralnej, przewycięzającej bierność, wyrazem buntu i wiary w przyszłość. Jane i młulka Hilda reprezentują większość narodu amerykańskiego, tę większość, która walczy przeciw rządzącej kliście gieldziarzy.

„Trzydzieści srebrników” posiada zwartą konstrukcję, która skupia wszystkie wątki wokół jednego, naczelnego konfliktu, podporządkowanego idei sztuki. Krytyka stanowi tu jedynie część prawdy rzutużonej w przyszłość. optymizm zakochania, do którego autor wiedezie swoich bohaterów z całą konsekwencją, jest bodajże sprawą najważniejszą.

Widziałem dwa przedstawienia sztuki Fasta\* — w Warszawie, reżyserowane przez Erwina Axera i w Katowicach w reżyserii Gustawa Holoubka. Oba zupełnie różne zarówno w opracowaniu dramatycznym, koncepcji reżyserkiej jak interpretacjach aktorskich.

Erwin Axer wysunął na plan pierwszy osobę Dave Grahama, w którym skoncentrował wszystkie nici konfliktu dramatycznego. Momenty załamania się Grahama zostały celowo podkreślone w układach sytuacyjnych i wydobycie sugestywną interpretacją Jerzego Duszyńskiego. Zanim Dave zdecydował się zadzwonić do Fullera, długą chwilę wpatrywał się w rodzinny portret, co w zupełnie wyraźny sposób naświetliło przyczyny decyzji podjętej po głębokiej walce wewnętrznej. W takim ujęciu Dave stał się bohaterem dramatu, który po-

głębił się jeszcze bardziej wskutek interpretacji roli Jane i — w pewnym sensie — Hildy. Jane w wykonaniu Ireny Eichlerówny poświęcała więcej uwagi Hildzie niż mężowi. Nie było w niej miłości, nie odczuwała się przywiązania do rodziny. W scenie, w której Dave podpisywał zeznanie podsunięte mu przez Fullera, cała postawa Jane, jej spojrzenie, wyraz twarzy — wyrażały idealną obojętność. A może zdziwienie? Ale przecież scena ta jest psychologicznie przygotowana. W ten sposób współczucie przynależne żonie zostało przy mężu, skazanym na samotną, więc beznadziejną walkę o zapewnienie bytu rodzinie. Również poza tekstem umieściła Irena Górska rolę Hildy, w której więcej było oświełej dumy niż ciężkiej godności i przywiązania do rodziny Grahamów, o którym sama mówi. Wrażną, surową sylwetkę Fullera nakreślił Andrzej Łapicki, ale scena badania Hildy, mimo całej brutalności, była raczej przykra niż wstrząsająca. Obraz demaskujący kulisy amerykańskiej „mityki” personalnej popow-\*

Stanisław Kwakowski w roli Carmichaela i Szczepan Baczyński jako Selwin. Dość konwencjonalną rolę Mildred z umiarem grała Janina Niczewska. Wydaje mi się, że zasadniczym błędem warszawskiej inscenizacji

było osłabienie zawartych w sztuce akcentów optymistycznych, co dało jednostronny, wyłącznie krytyczny obraz rzeczywistości i zacięnięto konflikt dramatyczny w wąskich ramach osobistej tragedii.

Innego typu zastrzeżenia mogą budzić niektóre rozwiązania sytuacyjne, wpływające na charakter spektaklu, a nie wynikające z celowych działań aktora. Ież to dialogów i scen rozgrywa Eichlerówna tyłem do widowni? Po powrocie z wizyty, w drugim akcie, mimo zmęczenia zajmuje bardzo niewygodną pozycję — ale tyłem do widowni. Najlepsza scena Hildy, scena badania przez Fullera, rozegrana została przez Górską również tyłem do widowni. Wpłynęło to na wydatne osłabienie ekspresji i wytworzył rodzaj jakiegoś specjalnej konwencji, sprawiającej niekiedy wrażenie niemiłego filmu. Wrażenie to potęgowały bardzo oryginalne dekoracje Jana Rybkowskiego, który jako tło umieścił szarą fotografię panoramy Waszyngtonu, zaś ciężar kompozycji obu wnętrz skoncentrował na umieszczonych w tym samym miejscu fotografiach. W domu Grahamów było to zdjęcie rodzinne, a w biurze Carmichaela fragment „kulturalowej rozmowy” dyplomatów.

Katowickie przedstawienie „Trzydzieści srebrników” przygotowane na otwarcie „Małej sceny” po trzyletniej przerwie jako pierwsza praca reżyserka Gustawa Holoubka miało zupełnie inne brzmienie — w sensie dosłownym i przenośnym. Bardziej dynamiczne od warszawskiego nie miało tej precyzji w wyznaczeniu punkty poszczególnych scen. Reżyser starał się raczej położyć nacisk na odszukanie pospolitosci środowiska i wyprowadzenie stał pewnych uogólnień, które miałyby szerszy zakres znaczeniowy — wyrażenie określonej wymowy społecznej. Z konieczności sztukę zubożono, usuwając ze sceny dwa epizody: Grace Langley i matkę Lorry. Ale idea przedstawienia była całkowicie zgodna z ideą sztuki.

Wątpliwości budzą poszczególne pozycje aktorskie, obsadzone kompromisowo. Ale dwie kreacje, mianowicie Holoubka w roli Fullera i Marii Velanek w roli Hildy są wybitnym osiągnięciem artystycznym. Omówiona już scena badania roz-



Ta sama scena z „30 srebrników” Fasta w inscenizacji Państwowego Teatru Śląskiego w Katowicach (Maria Velanek w roli Hildy i Gustaw Holoubek w roli Fullera) oraz w inscenizacji Teatru Współczesnego w Warszawie (Irena Górska w roli Hildy i Andrzej Łapicki w roli Fullera)

grywa się na proscenium, i chociaż obywateli bez bicia, sprawia wstrząsające wrażenie. Ewa Lassek i Adam Kwiatkowski tworzyli zbyt młodzieńcze małżeństwo i mimo słabości artystycznego przeżycia nie mogli ukazać wszystkich powikłań konfliktu. Ciekawie i na ogół konsekwentnie poprowadził rolę Selwina Jerzy Nowak. Władysław Brochwicz jako Carmichael oraz Irena Tomaszewska jako Mildred przekazyli swoje własne wyobrażenia o granich przez siebie postaciach, poprzestając na zbyt zewnętrznych środkach ekspresji. Świetną oprawę dekoracyjną dał przedstawieniu Wiesław Lange, który z dużą pomysłowością i smakiem rozwiązał trudność, jakie najmniejsza scena w Polsce stawia przed scenografem.

Na osobne omówienie zasługuje sprawa przekładu. W obu przedstawieniach różnice tekstu były tak istotne, że ponosiłem o egzemplarz. Okazało się, że przekład jest skądś dołączony, zaś ostateczny jego brzmienie musi być w każdym teatrze róż-



Foto COPA

ne, ponieważ reżyser wspólnie z kierownikiem literackim opracowuje w rezultacie tekst na nowo. W ten sposób trafiam na ślad pięciu wersji, podpisanych tym samym nazwiskiem tłumacza.

W zakresie przekładów literackich nie działają u nas najlepiej. Poruszono już ten problem niejednokrotnie. Jednak ostatnio, zwłaszcza w wyniku działalności Sekcji Przekładów przy ZLP, sytuacja na tym odrędnym wydanie jest poprawiła. Ale w teatrze w dalszym ciągu szaleje partyzantka samorodnych tłumaczy. Czy nie ma na to rady? Czy nie dałoby się tego stanu zmienić, choćby za cenę wyższą od trzydziestu srebrników?

Bogdan Butryńczuk

\* Państwowy Teatr Współczesny w Warszawie Howard Fast „Trzydzieści srebrników”. Reżyseria: Erwin Axer. Dekoracje: Jan Rybkowski. Przekład: Ryszard Ordynski. Państwowy Teatr Śląski w Katowicach, Howard Fast „Trzydzieści srebrników”. Reżyseria: Gustaw Holoubek. Dekoracje: Wiesław Lange. Przekład: Ryszard Ordynski.

# LITERATURA NA STRAŻACKIM WOZIE

(Dokończenie ze str. 3-4)

Jeśli z wyżej przytoczonymi cyframi zestawimy liczby podawane w komunikatach Oddziału Krakowskiego (patrz stała ruoryka w „Zyciu Literackim”), Oddziału Katowickiego czy też Gdanskiego, przekonamy się, że akcja wieców literackich zajmuje w organizacji życia kulturalnego dość poczesne miejsce przy jednoczesnym dużym wysiłku ze strony literatów. Zamykając te rozważania statystyczne należy nadmienić, że wiele instytucji zwraca się bezpośrednio do literatów, co nie znajduje odbicia w statystyce związkowej.

Sprawozdawczość jednak bywa często w sprzeczności z prawdą, oddając zaledwie cząstkę istotnego stanu rzeczy. Gdybyśmy bowiem przyrównali liczbę występujących z liczbą słuchaczy, optymizm sprawozdawczy musiałby solidnie zmaleć. Jakie więc czynniki wpływają na ten stan rzeczy? Związek Literatów zajmując się organizacją imprez literackiej od strony zmobilizowania twórców nie ma wpływu na organizację widowisk. Zajmują się tym bądź poszczególne instytucje bądź związki zawodowe. Ież to razy zdarzało się nam przyjść do jakiegoś zakładu pracy i zastać minimalną ilość słuchaczy, podczas gdy interwencja i należyta opieka nad imprezą ze strony Rady Miejskowej czy Podstawowej Organizacji Partyjnej mogłaby zapewnić imprezie należytą frekwencję. Ież to razy zdarzyło się nam uwiadomić zakład pracy o mającym się odbyć wieczorze literackim, gdy uprzednio Okręgową Radą ZZ zapewniali, że wszystko w porządku. W tej analizie musimy jednak wyróżnić dwa zasadnicze czynniki — miasto stołeczne Warszawa i prowincję. Z prowincją powiedzmy to sobie szczerze, mamy o wiele mniej partyzantki samorodnych tłumaczy. Czy nie ma na to rady? Czy nie dałoby się tego stanu zmienić, choćby za cenę wyższą od trzydziestu srebrników?

W czasie ostatniego wspólnego wyjazdu pisarzy na Dolny Śląsk nadarzyła się doskonała sposobność porównania i wyciągnięcia wniosków z przebiegu wieców autorских. Stan organizacyjny poprawiał się z dnia na dzień jak drużyna polska na Wyścigu Pokoju. Pierwszego wieczoru nasz wieczór odbył się w zespole PGR Machnice, pow. Trzebnica. Frekwencja nie była liczną, choć nie skandaliczną, przyjechała nawet amatorka orkiestra z Trzebnicy, aby swym wystąpieniem uszczęśliwić nasz wieczór. Nie udało się tylko dyskusja, która miała być głównym celem przyjazdu. Po prostu książka Kuśmierzka „Uważaj człowiek” za późno dotarła do Machnic. Lepiej już było następnego dnia, we wsł Opoczka pow. świdnickiego, gdzie parę osób zdążyło przeczytać Kuśmierzka, nie było jednak wielu chętnych do dyskusji. W pewnej mierze „zagwożdżony” ja oficjalne wystąpienia działaczy organizacji politycznych i społecznych, jak i zwyczajnie — nieprzeczytanie książki. Niezapomniany pozostanie fakt, że na wiadomości o przybyciu pisarzy na wieś utworzyły się w okolicy dwa zespoły amatorskie — chórny i taneczny, by tym sposobem podkreślić wagę naszego przybycia. Nie zawiodła organizacja, początek został zrobiony. Trzeciego dnia zajęliśmy się do spółdzielni produkcyjnej w Strudze, pow. Wałbrzyskiej. Dyskusja nad Kuśmierzem, jaka odbyła się po naszym wystąpieniu, zaskoczyła nas. Kuśmierzka traktowano w Strudze jak dobrego znajomego, podrzucone w czas dwadzieścia egzemplarzy jego książki spełniło swą rolę. W przeddzień naszego przyjazdu odbyło się w Strudze spotkanie z każdym słowem dyskusji, prawie sześciu mówców występowało zdając relacje, i to trzeba przyznać relacje niebanalne, z przeczytanej lektury. Dyskujący nawiązywali do własnych przeżyć, potrafili wykazać zarówno indywidualnym gospodarzom, jak i sąsiednim gromadom istotny sens walki o spółdzielczość, nawiązując do przykładu Kocika z opowieści pt. „Pozar”. Przyjazd nasz, wyczuwalny do dobrze z atmosfery na sali, wzbudził nie tylko zaciekawienie. Po raz pierwszy tak mocno odczułem swoją więź z tymi, którzy tworzą nowe życie. Najlepszym zaś podjęciem, jakie nas spotkało, był transparent w domu ludowym, gdzie odbył się wieczer, głoszący: Chłopi-spółdzielcy witają literatów polskich!

Sens spotkania w Strudze nie tkwił oczywiście w stronie dekoracyjnej naszego wieczoru lecz w obopólnych korzyściach, jakie były efektem naszego przyjazdu. Jedno mnie ciekawi, a nawet niepokoi, jaki był wpływ wieczoru literackiego na wzmoczenie się czwytelnictwa? A może ktoś ze spółdzielców w Strudze nam odpowie i ciekawość zaspokoi?

Sens spotkania w Strudze nie tkwił oczywiście w stronie dekoracyjnej naszego wieczoru lecz w obopólnych korzyściach, jakie były efektem naszego przyjazdu. Jedno mnie ciekawi, a nawet niepokoi, jaki był wpływ wieczoru literackiego na wzmoczenie się czwytelnictwa? A może ktoś ze spółdzielców w Strudze nam odpowie i ciekawość zaspokoi?

Lesław Bartelski

## STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

# Powrót Pani Dulskiej



„Pani Dulska na rozdrożu” A. Sterna w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu. Scena zbiorowa.

cjanowa jest tylko wykonawczynią tych praw, a nawet poniekąd ich ofiarą.

W „Pani Dulskiej na rozdrożu” — bohaterka utworu Hesi (zdziały już dojrzeć, a potem pochować po kolei trzech mężów) — została sprowadzona do formatu głupiej i nieprzyjemnej mieszczki, aprobującej jedynie łajdactwa dokonywane przez jej partnerów, działających na szerszej arenie. W komedii bierze udział trzech przedstawicieli typowych postaw reakcyjnych: ex-zeimianin Odrowąż-Mordęga, palający jawną nienawiścią do wszystkiego, co się w Polsce dzieje, dyrektor Sosik pragnący przede wszystkim obłowić się w każdym sposobie, a przy tym pakujący chętnie kij między sprzeczki demokracji, gdy okazja pozwoli, wreszcie Zbyszko Dulski, który nie chce słyszeć o jakimkolwiek zaangażowaniu się i radby tylko ochraniać swój sły i obojętny żywot. Sztuka dała dowcipną rewiew współczesnego kółtństwa z jego kłopotami, snobizmami, ugodobianiami, chytrościami i sposobkami. Pokazuje zarazem, jak wszystkie te godne przywilejów muszą nieodwołalnie zbankrutować w nowych warunkach społecznych.

Plastyka i żywioł postaci wyczerpuje się jednak przy tytach ujemnych. Bohaterowie pozytywni oddziałają najsłabsze pozycje też jeszcze jednej sztuki współczesnej. „Normalni i uczynni” inżynier: spacerująca w kombinie Jadzina: Stefka, która awansuje z pomocy domowej ekspedientki — wszyscy oni są figurami z plakatu, nie urozmaiceniym zgoda ani jednym nieschematycznym rusem. Autor może się bronić, że Zapsolskiej też brakuje chwytu do sympatycznych postaci, wpadających u niej najczęściej w kłiwko i melodramat. Ale byłaby obrona niewystarczająca.

Jeżeli mistrzynią a uczniem istnieją też różnice. Zapsolska zaczyna swoją sztukę od konkretnego, od bardzo zwykłej sprawy, która następnie pod jej piórem nabiera znaczenia sugestywnego symbolu. Stern wychodzi od symbolu, od postaci literackich obciążonych ogromnym balastem pojęciowym — angażuje je następnie w wypadki współczesne i konkretne sytuacje. Ta droga poniekąd odbiera utworowi posmak realizmu, przydaje mu pewien cudzoziw, który nie pomaga dramatyczności, sprowadza całą rzecz do żartu. Ale i ta linia nie jest utrzymaną konsekwentnie. Załamuje się w postaci matki Hesi, starej Dulskiej, dosyć patologicznej i niesamowitej, a w zakończeniu nabierającej wręcz jakichś cech niezniszczalności, prawie apokaliptycznych. Teatr w realizacji scenicznej może zresztą to naprawić — traktując trochę buffo owo zmartwychwstanie niemiłertelnej Dulskiej spod gruzów wysadzonego w powietrze domu razem z jej słowami: „Myśliście, że zginełam?... Nie...”

Autor chciał uprawdopodobnić w czasie całej historii „kontynuacji” dzieł Dulskich. A więc postaci mają u niego tyle mniej więcej lat — o ile postarzał się od czasu premiery Zapsolskiej Założenie takie jest oczywiście sztuczne i pedantyczne wobec tego, że sam pomysłu wskrzeszenia bohaterów literackich jest żartobliwym. Prowadzi to do pewnych błędów treściowych. Dulską Stern, sędziwa staruszka, ogłucha i sekretyniała, przebijająca chciwymi palcami dawno już wyście z obiegu banknoty — buźli raczej niechętną litosc. Trudno traktować ją jako niebezpiecznego wroga i gotować się do rozprawy.

Dzieło Zapsolskiej, choć z takim mistrzostwem uprawiane, krytykowane było nieraz właśnie od strony formalnej. O ile Sternowi udało się

**DOM KSIĄŻKI**  
ogłasza subskrybcję  
na  
**SŁOWNIK  
JĘZYKA POLSKIEGO**  
J. Karłowicza, A. Kryńskiego,  
W. Niewskiego  
w czasie od 16 maja  
do 30 czerwca b. r.

Prospektów ze szczegółami  
żądanymi w każdej księgarni  
Domu Książki

# NOWE PRZEKŁADY

## REWOLUCJA PRZED SĄDEM

Kiedy przed swój trybunał, sędziowie, wzywacie  
 Rewolucję sądzoną za to, że siepaczem  
 Była, że precz przegnała sowy i puszczyki,  
 Ze bez szacunku, biada, święte męczenniki,  
 Poszturchiwała mnichów, że skroń jej odkryta  
 Siata lek, aż czmychnęli księżdz i jezuita...  
 Gniew wzbiera w was, sędziowie.

Tak, bo od tej chwili  
 Człowiek-bóg ni bóg-człowiek więcej ni straszli;  
 Zbladły zjawy wojenne, zbladł upiór papieski,  
 Rozwiał mary i widma jakiś wiatr zwycięski,  
 A ty, wysoki sędzie, jesteś oburzony!  
 W żalobie! Bo krzew mroku łzami jest zroszony!  
 Święta żarłoczych nocy na zawsze przepadły!  
 Już rzezi świat ciemności: ileż zgonów nagłych!  
 Zgroza! Dzień jasny wstaje! Już niepotęperz osiepl,  
 Kuna z piskiem ucieka przed siebie na oslepl,  
 Gad stracił swoją pychę, lis skrzywdzony kwil,  
 Drapieźników, co na łów wychodzili w chwili  
 Gdy ptaszki zasypiały, chwytą rozpacz czarna,  
 A bezgraniczny smutek wilków las ognarna,  
 Prześniowane widma snują się bezradnie.  
 Jeśli światło nie zgaśnie, jeśli biaś nie zoiadnie  
 I prześladować będzie sępa, kruka, wrone,  
 To wampir w grobie ducha z pragnienia wyzionie.  
 Biaś schwyłł noc za gardło, nie rozluźnia ręki...

Zbrodnie, które sądzicie, to zbrodnie jutrzeński.

# LUNA

Franco, choć twardy sen cię zmożył,  
 Wygnany, ciebie przyzywamy!  
 Uco ciemności się otworzy  
 I krzyk nasz wiarę do otchłani.

Despotyzm chęci i niegodny  
 Luzy do życia zniechęca  
 Zamknął za czarną kratą zbrodni,  
 Opancerzoną zabobnem.

Kwiat męnych, wolność miłujących  
 W więziennych murach jest zamknięty.  
 Ale idea mur roztrząci,  
 Szarpięciem wylanie twarde pręty

I jak w dziewięćdziesiątym pierwszym  
 Nadobłocznego sięgnę wyżu,  
 Bo tak się wyrwie jak krzyk z piersi  
 Z żejznej klatki plak ze spłzu.

Na świat ciemności groza padła,  
 Ale idea oprzemieli,  
 Przemije blaskiem swego światła  
 Pośpne noce ślepiej ziemi.

Blask swój zawiesi jak latarnię,  
 By drogę wskazał nam w potrzebie;  
 Ona jest lampą ziemi czarnej,  
 Która zapala się na niebie.

Cierpiącej duszy goj rany  
 Przyjazna życiu dion łdci.  
 Złym wskaże ona klucz otchłani,  
 A sprawdziliwym port nadziei!

Gdy oczom smutnych ludzi droga  
 Idea wyrwie się z mgławicy,  
 I wschodni czysta i złowroga  
 Nad horyzontem tajemniczym.

Wtedy przed każdym progim ziemi  
 Fanatyzm, przemoc i nienawisć  
 Wyją, jak zwykły wyć hienu.  
 Kiedy się wdowi księżyc zjawił.

Patrzcie! Ideł czoło dumne  
 Przed wami, ludy, idzie wszędzie.  
 Patrzcie! Już dzisiaj widać lunę  
 Blasku, co jutro świecić będzie.

# STELLA

Nocą nad brzegiem morza snem usnąłem twardym.  
 Wiatr świeży mnie rozbudził, w żrenicach otwartych,  
 Z których marzenie pierzcho, stanęła jutrzeńska.  
 Promieniem jej wzruszona, nieskończenie miękka  
 Biel łagodnie rozlaza się na całym niebie.  
 Wiatr północny gwałtownie uciekał przed siebie.  
 Jutrzeńska w puch świetlisty rozbiła chmurę.  
 Jej blask miał jakby żywą, myślącą naturę:  
 Łagodził skąły, fale, zdało się że duszę  
 Widać przeświecająca przez perłową muszlę.  
 Jeszcze noc panowała pyszna i wyniosła,  
 Gdy niebiańskim uśmiechem zjaśniały niebiosą.  
 Brzask osrebrzył szczył masztu, którym fale chwiały,  
 Okręł był czarny jeszcze, lecz żągiel już biały.  
 Olbrzymi orzeł morski stojąc nad urwiskiem  
 Gwiazdę jak ptaka, który nie z piór jest lecz z iskier,  
 Ogłądał orlim wzrokiem, gdyż tak patrzy orzeł.  
 Do niej jak lud żarliwie podążało morze,  
 Pomrukiwało szeptem patrząc na jej łnienie,  
 Jak gdyby się lekko wypłoszył promienie.  
 Niewysłowna tkliwość wypełniła przestrzeń,  
 Trawa u stóp mych drżała i drżało powietrze.  
 Ptaki z wielkim przejęciem rozmawiały w gniazdach,  
 Kwiat mówił mi: Patrz, wstała siostra moja gwiazda.  
 A gdy ciemność podniosła już wszystkie swe żagle,  
 Wtedy słowa jutrzeński usłyszałem nagle:  
 Ja pierwsza z gwiazd się zjawiam, budzę ludzi, kraje,  
 Choć kładę się do grobu, zawsze zmartwychwstaję.  
 Świeciłam nad Tajetem i nad górą Synaj,  
 Mój blask odradzający zna każda ruina.  
 Jam kamiem ze złota i ognia, Mną z procy  
 Rzuca Pan Bóg celując w czarne czoło nocy.  
 Narody! Ja poezją gorejącą palam,  
 Mojżesz a Dantego myśli oświecałam,  
 Groźny lew oceanu miłością mnie darzy.  
 Przybywam. Zbudź się, wiaro! Cnoć, stan na straży!  
 Myśli, serca, na wieżach zacięgnijcie wartę!  
 Lśnij żrenico, powieki, bądźcie wciąż otwarte,  
 Ziemia wruszaj swą glebę, powstań z martwych, życie!  
 Zbudźcie się ze snu wszyscy, którzy jeszcze śpieli!  
 Bo idzie Pan mój! Przed nim już jasność ma zbladła.  
 Idzie Aniol Wolności, idzie Olbrzym Światła.

STANISŁAW LEM i ROMAN HUSSARSKI

# Licentia poetica, czyli kilka słów o przekładach wierszy Garcia Lorki



Federico Garcia Lorca

W ciągu ostatnich trzech lat ukazało się kilka przekładów wierszy i dramatów Federico Garcia Lorki, poety hiszpańskiego, który w okresie największego wzrostu twórczego został zamordowany przez faszystów.

Pierwsze pojawiły się „Romance Cygańskie”<sup>1)</sup> w tłumaczeniu Jerzego Ficowskiego. W rok później Czytelnik wydał „Wydor Wierszy”<sup>2)</sup>, spolszczonych przez Włodzimierza Słobodnika. Wreszcie niedawno pojawił się w księgarzach zbiór p.t. „Wiersze i Dramaty”<sup>3)</sup> w przekładzie Zofii Szleyen. Tym samym polskiemu czytelnikowi zostały udostępnione dramaty „Yerma” i „Rosita La Soltera”, oraz wiersze i romance, w których wyraźnie uderza tempo ludowej poezji hiszpańskiej. Zapewne w bliższej przyszłości ukaza się dalsze tłumaczenia. Utwory sceniczne Lorki silnie zarysowują kontykliki społeczne Hiszpanii i są od dawna wysławiane w Związku Radzieckim. O ile wiemy, nie został dotychczas przetłumaczony dramat „Krwawe Gody”. Nie ukazał się także najbardziej rewolucyjny tom wierszy — „Poeta w Nowym Jorku”, gdzie Lorca z gniewną pasją maluje krzywyć Murzynów i bezrobotnych w zarutę ziolem Ameryce.

Przy rozpatrywaniu tego, co ukazało się u nas, nasuwa się szereg zagadnień związanych z przekładami poetyckimi w ogóle. Z powodu ciasnoty ram niniejszego artykułu poruszymy tylko niektóre z nich. Nie łączymy również przypuszczać o szerszej analizie poezji Lorki, gdyż stanowiłoby to zadanie daleko rozleglejsze niż nasze zamierzenia. Moemy tylko stwierdzić pokrótce, że do najistotniejszych cech tej poezji należą: wielkie nasycenie strof realiami, ogromna kondensacja i zwięźłość metatery, która spina krótko pojęcia odległe, lecz mimo to pozostaje przejrzystą, zas pod względem formalnym — rytm pokrewny rytmowi pieśni andaluzyjskich, a także rymy o typie asonansowym. Tymi środkami Lorca, jak każdy poeta, buduje tylko jemu właściwe obrazy.

W jaki sposób usiłował to oddać nasi tłumacze? Ciękawym eksperymentem jest porównanie tej samej romancy „O Policji Hiszpańskiej” w trzech różnych przekładach.

Początek romancy w oryginale brzmiał:

Los caballos negros son.  
 Las herraduras son negras.  
 Sobre las capas relucen  
 manchadas de tinta y de cera.  
 Tienen, por eso no lloran,  
 de plomo las calaveras.  
 Con el alma de charol  
 vienen por la carroera.

W dosłownym przekładzie znaczy to:

Czarne są konie.  
 Podkowy są czarne.  
 Na oponicach świecą  
 plamy atramentu i wosku.  
 Mają, dlatego nie płaczą,  
 z otowiu czerepy.  
 Z duszą lakierowaną  
 nadchodzą szeroką drogą.

Zacznijmy porównanie od przekładu Jerzego Ficowskiego.

Czarne, czarne są ich konie  
 i czarne, czarne podkowy.  
 Na ich płaszczach plamy z wosku  
 i plamy atramentowe.  
 Czaszki mają otowiane,  
 dlatego płakać nie mogą.  
 Z sercem polakierowanym  
 nadchodzą szeroką drogą.

Zofia Szleyen tłumaczy to tak:

Czarne, czarne są ich konie  
 i podkowy mają czarne.  
 Ich szerokie peleryny  
 plami olej i atrament.  
 Mają czaszki otowiane,  
 płakać łzami więc nie mogą,  
 dusze ich lakierowane.  
 Wyszli. Idą, idą drogą.

I wreszcie Włodzimierz Słobodnik.

Czarne, czarne ich konie  
 Czarne jest od nich, czarno.  
 Wosk i atrament poplamit  
 Szorstkie płaszcze zandarmom.  
 Zandarmi nigdy nie płaczą.  
 Ich pysk — otowiana maska,  
 Serca lakierowane.  
 Wpadają z tyłu zniacka.

Z powyższych przekładów najszlachetniejszy wydaje się przekład Ficowskiego. Jest on najwierniejszy treściowo, jak i formalnie, a to jest chyba ideałem tłumaczenia. W pozostałych zatracca się rytm oryginału, lub daje się zaobserwować proces gubienia realiów. Tak np. konkretny obraz „mają czarne podkowy” Słobodnik zmienia na mniej określone „czarno jest od nich, czarno”. Tak w tym, jak w innych tłumaczeniach Słobodnika, zwracają uwagę próby zastrzeżenia, jeśli tak można rzecz, obrazów Lorki. Wypadło to korzystnie w wierszu „Archanioł Gabriel”. W przytoczonym fragmencie romancy o Policji Hiszpańskiej przykładem może być metafora: „Ich pysk — otowiana maska”, niepotrzebnie przerysowująca obraz oryginału.

Nasuwa się pytanie, czy doprawdy trzeba Lorca dodawać ekspresji?

Na ogół w przytoczonym fragmencie spotykamy zgodność środków użytych przez tłumaczy. W innych przekładach różnice stają się większe. Niejednokrotnie, zwłaszcza u Zofii Szleyen, uderza wypełnienie strofy watą poetycką, tak bardzo obcą Lorca, a służącą jedynie względom pozatextowym, a więc, by zachować rytm, czy też dociągnąć do uupragnionego rymu.

Nikt nie może wymagać od tłumacza niwielniczego trzymania się oryginału. Przekład słownikowo doskonali bywa niejednokrotnie również zły jak przekład dowolny, gdzie bez widocznej potrzeby tłumacz wprowadził nowe wartości poetyckie. I tu tkwi zasadniczy problem: istotne jest bowiem nie przekazywanie słów, ale obrazów i pojęć środkami zbliżonymi do tych, jakich użył poeta.

W rozpatrywanych przekładach dowolności są nieraz niczym nieuzasadnione. Skutek jest taki — jeśli sięgniemy po porównanie w dziedzinie malarstwa — że wydaje się, jakbyśmy mieli przed sobą kilka reprodukcji tego samego obrazu, a partie białe na jednej odpowiadają... czerwonym na innej.

Tak, na przykład, u Ficowskiego miasto cygańskie w „Romancy o Policji Hiszpańskiej” jest miastem „cierpienia i pizma”, gdy to samo miasto u Zofii Szleyen jest miastem „słodkich ciastek, jasnych wspomnień”. U Słobodnika przychodzi „robotnicze fabryczne” („Święty Michał”), u Zofii Szleyen — „madrzyckie panienki”. U Ficowskiego w „Romancy o Księżycu, Księżycu” — księżyc pojawia się w „białej mantyli z tuberoz”, u Słobodnika „cały w jaśminach”. Itd. itd.

gorzej jest, kiedy wyraźnie odkształcona zostaje intencja poety. Spotykamy to w dialogu Yermi z nienarodzonym dzieckiem.

Yerma zapytuje:

Quando mi nino vas a venir?  
 (Kiedy przybędziesz dziecię moje?)

Nienarodzone odpowiada:

Quando tu carne hue la jazmin.  
 (Kiedy twoje ciało zapachnie jaśminem)

Zofia Szleyen sprowadza to do monologu:

Kiedy przyjdiesz dziecię moje,  
 kiedy dlonie me ukoję  
 jaśminowym ciałkiem twoim?

W tejże „Yermie” tłumaczką zamienia trzy róże ofiarowane przez kobietę mężowi (piosenka praczek) — na dwie.

El me trae una rosa y yo le doy tres.

Nie należy chyba sądzić, że Lorca napisał to „tak sobie”.

Całkiem nowy problem wylania się, gdy od wyboru tłumacza zależy użycie jednego z licznych znaczeń, jakie to samo słowo ma w obcym języku. Tutaj zdany jest on wyłącznie na swą intuicję. Sięgniemy raz jeszcze do śpiewu praczek w „Yermie”.

Por el aire ya viene  
 ni marido a dormir.  
 Yo alhelios rojos  
 y él rojo alheli.  
 Hay que juntar flor con flor  
 cuando el verano seca la sangre  
 del segador.

Co oznacza:

Idzie poprzez wiatr  
 mój mąż, aby spać.  
 Ja (jestem) czerwone lewkonie  
 on czerwony lewkonia.  
 Niech się łączy z kwiatem kwiat  
 gdy lato pragnieniem rozpala  
 krew kosarza.

Może właśnie użycie drugiego znaczenia słowa „secar” — „mieć pragnienie” (pg Diccionario Castellano Enciclopédico) lepiej oddałoby myśl Lorki niż słowo „wysuszać”, a więc „wyjaławia”. Przez użycie bujnej płodności, ożywiającej przyrodę, poeta tym głębszy czyni dramat Yermi — bezpłodnej.

Zofia Szleyen daje następujący przekład:

Razem z wiatrem mąż mój leci  
 do domu wraca spać.  
 Ja czerwony mak mu daję  
 on mi da czerwony mak.  
 Niech się kwiat łączy z kwiatem  
 kiedy słońce suszy krew rolnika  
 latem.

Sprawa użycia rozmaitych znaczeń słowa to rzecz do dyskusji. Trudno natomiast zrozumieć, dlaczego lewkonie zostały tu zastąpione makami. Być może tłumaczka chciała przybliżyć nam utwor przez umieszczenie w nim kwiatów dobrze znanych z naszej wsi. Czy nie jest to jednak niebezpieczna droga, która może zaprowadzić do zmienienia romancy cygańskich np. w nasze kujawiaki?

Jeśli zaś lewkonie zostały poświęcone dla rymu, to lepiej było po prostu z niego zrezygnować.

I jeszcze, mówiąc o doborze słów, zacytuujemy początek monologu Yermi:

Ay, qué prado de pena.

Zofia Szleyen tłumaczy to jako:

Żal, żal, ocean żalu.

„Prado” oznacza właściwie: łąka, pole, błonie, ugor. A może było lepiej użyć któregoś z tych znaczeń?

Zdajemy sobie sprawę z trudności tłumaczenia utworów poety tej miary co Lorca. Nieraz jedno niecelne słowo zmienia skończony obraz poetycki w banal. Pomimo tych usterek przekłady dramatów stanowią najlepszą pozycję Zofii Szleyen. Dialog jest żywy, lakoniczny, często trafny w lapidaryczności, właściwych Lorca powiędzeniach, dla których tłumaczka umiała znaleźć polski równowaznik. Szkoda, że niektóre partie, zwłaszcza wstawki poetyckie, zostały uproszczone. W „Rosita La Soltera” poeta mówi w wierszu o Zmiennej Róży:

se pone blanca con blanco  
 de una mejilla de sal;

(staje się biała białością  
 policzka z soli).

Ma to na celu ukazać, jak będzie blada twarz Rosity, skazanej na samotność. Nie oddają tego słowa:

blednie róża, bieleje  
 biała staje się jak sól.

Wątpliwości budzą również przekształcone porównania, jak np. „nocna zapada i w stalowy swój dmie róg”, gdy u Lorki „nocną porę wygrywa watły róg z metalu” (y cuando toca la noche blando cuero de metal).

Ostatnie zagadnienie — to błędne zrozumienie przez tłumacza znaczenia słów oryginału. Nie ustrzegł się przed tym Ficowski w swoim dobrym przekładzie romancy o „Tamarze i Amnonie”.

Quando los quatro cascacos,  
 eran cuatro resonancias,  
 David, con unas tijeras,  
 corto las cuerdas del arpa.

Dosłownie:

Kiedy cztery kopyta  
 stały się czterema echami,  
 Dawid nożycami  
 przeciął struny harfy.

„Casco” oznacza wprawdzie zarówno czaszkę jak kopyto, ale obraz staje się przejrzysty dopiero przy użyciu drugiego znaczenia. Zdanie „I kiedy już cztery czaszki czterema echami zamarzyły” — jest w kontekście romancy niezrozumiałe.

Tyle o usterekach w tym krótkim przeglądzie. Nie będziemy na tym miejscu omawiać sztuki „Mariana Pineda”<sup>4)</sup>, przetłumaczonej i adapatowanej przez Zofię Szleyen, gdyż warto by poświęcić tej pracy osobny artykuł. Wspomniemy tu tylko, że sztuka została okrojona, głównie przez usunięcie ballady, która stanowiła jak gdyby jej oś artystyczną. Okaleczyły ją to poważnie, gdyż jedną z podstawowych cech drama-

4) Federico Garcia Lorca, Mariana Pineda, Książka i Wiedza, 1950 r.

Stanisław Lem i Roman Hussarski

# ZBIGNIEW SZYMAŃSKI W PIĘTNASTOLECIE ZAMORDOWANIA PRZEZ FASZYSTÓW FEDERICO GARCIA LORKI

Znam tutaj każdy krzak i drzewo,  
 Znam każdy dom i chłupów śpiew,  
 Znam pracę ich, radość i gniew,  
 Słyszę jak dudni, tnie ulewa  
 I hućy grom w upalny dzień.  
 Znam szary tuman kurzu, cień  
 Pełznący za mną białą drogą  
 I znam tu najniebezpieczniejszy dom  
 Zapadły w ziemię. I znam trwogę  
 Wiszącą groźnie nad Grenadą.  
 Czekam, by znów uderzył grom —  
 Zandarmi depczą moim śladem.

Zabyły wracam, tworzę pieśnią,  
 Która przewija się wśród wsi  
 I ulic gniewnej Barcelony.  
 Za wcześniej, wrogu mój, za wcześniej  
 Zapamięć plamy mojej krwi,  
 Zapomnieć echo salwy, którą  
 Na wiek mi chciano zamknąć usta.  
 Widzę jak ręnie świt czerwony,  
 Słyszę jak strzały hućą w górach  
 I miastach, które zda się puste  
 Do sroku przęją się. W ulicach  
 Słychać już krok powstańczej armii. —  
 Na próżno wężąc wiersz policja  
 Pragnie odnaleźć ślad drukarni.

Bo niedościgły wiersz mój, w górze  
 Jak bystry jastrząb się kolyse  
 I groźnym cieniem swoich skrzydeł  
 Mym wrogom wieści grom i burzę,  
 Walkę i triumf towarzyszą.  
 Słyszę już krok zwycięzców, idą  
 Z gór niedostępnych, z miast i więzień,  
 Widzę jak kruszy się i pada  
 Odwieczny kłamstwa gmach i nędzy.

Ko! sze się mój wiersz jak jastrząb  
 Nad miastem moim, nad Grenadą,  
 Lec: słowa me nie tym co klaszczą  
 W lożach teatru, którzy z nudów  
 Biją leniwie senne brawa,  
 Za sfłszony wiersz mój. Słyszę,  
 Jak on ożywa w pieśniach ludu —  
 Co wyległ groźnie na ulice.

1) Federico Garcia Lorca, Romance Cygańskie, Książka i Wiedza, 1949 r.  
 2) Federico Garcia Lorca, Wybór Wierszy, Czytelnik, 1950 r.  
 3) Federico Garcia Lorca, Wiersze i Dramaty, Książka i Wiedza, 1951 r.

BOHDAN CZESZKO

Ilustrował JERZY SKARZYŃSKI

# CZTERY OPOWIADANIA

## O PIĘKNEJ SZTUCE PISANIA LISTÓW

**J**a prawie krzycałem pełen gorczy i złości, której nie chciałem tłumaczyć. On pochylił głowę nad stołem i plakał płaczem suchym, podobnym do czkawki. Wykonywał zbytnie cbszerne, kabotyńskie gesty, jak czynią pijani. — Wywłoko — mówiłem — gdzie twoja legitymacja partyjna. Zgubiłeś ją na rozstajach krzywych dróg, jakimś polubiłeś lazić pod ramię z swą boską niezależnością i zdolnościami. Pawiu pełen nonszalanii. Przyjrzyj się sobie — krzyknąłem głośniejsz. — Renegat — oto kim jesteś.

Miałem dosyć. Nie mogłem dłużej słuchać jego idiotycznego chlupania, nie mogłem słuchać bezustannego buczenia zabawy, dzierganej kobiecy smiechem, mierzzonego głuchymi razami bębna. Nabierając na buty pełno zwitków serpentyn wyszedłem do szatni. Oto koniec roku, koniec noworocznej zabawy, której wiry wydobylły go diabli wiedzą skąd i wyrzuciły jak topielca akurat przy moim stole.

Poszedłem ulicą w dół ku Wiśle i pod odlanym z brązu, przypiętym śniegiem posągim syreny, co cięła mieczem północny wiatr na dwoje, skręciłem w lewo. Minąłem elektronicznie dymiącą szeregiem blaszanych, okrągłych kominów niby pracowity łamacz lodów, i szedłem wzdłuż rzeki do siebie na Mariensztat. Wiatr rozniósł po zamrażniętej powierzchni wody delikatne welony śniegowego kurzu. Była to owa srebrna pora, kiedy w łonie nocy budzi się miłość do dnia. — A jednak nie mogłem się go pozbyć.

Monologowałem w myśli: Opo wiem ci przeżył człowieka, który był naszym wspólnym przyjacielem, a pozostał moim. Poszedł na wojnę. Stali wówczas na kwaterych w wiosce, której nazwa — jeśli przetłumaczysz — będzie brzmiała: „Łaka kwecistego siana”. Jedną z tych długich niemieckich nazw. Rozmieścili się w domach pomiędzy wzgórzami. W domach próżnych i rozpapranych, pozostawionych w u-

wieczorami pisano listy. Kuciun dyktował Zajączkowskiemu: „Ojcu pokłon i mamie. Hańci miłej pozdrowienia...”. „Hańcia — to twoja dziewczyna?” — pytał Zajączkowski. — „Baba moja” — odrzekł Kuciun. — „Pod koniec kwietnia, jak liczyliśmy, będzie dziecko”. — Zamilił na chwilę. Zajączkowski pokręcił obsadkę w palcach, pośinił stalówkę, umoczył w kałamarzu i pisał: „Ojcu pokłon i mamie. Hańci stonczku mojemu miłe pozdrowienia”. — Skoro pisał, chciał pisać pięknie.

Przyjaciel mój siedział wiosną sam na progu kwatery, patrzył na opar zalegający jezioro pełne rybiej miłości, na czerwony krag wschodzącego nad bezładną ziemią księżycy. Tęgi wieczora napisał pierwszy z kilku bardzo osobistych listów, jakie wysłał z frontu na adres Komitetu Partii w swoim mieście.

Równie dobrze jak ja wiesz, że mu zabili wszystkich. „Tęgo samego wieczora — opowiadał mi — poszedłem do pisarzy kompanijnego i powiedziałem: — Napisz w rubryce kogoś z awiadomić — Komitet PPR w N. Do tego dnia — mówił — ta rubryka była pusta. Czekalem na cud, ale umarli milczą”.

Zatrzymałem się przy poręczy żelaznej, gromadzącej skarpe bulwaru. Odkąd sięgnę pamięcią, poręcz zawsze była ta sama, choć wszystko w mojej dzielnicy jest nowe. Po nowym moście jedzie z wielkim rabanem pierwszy tego dnia tramwaj. Wiem o tym, że jeśli stoję tu nieco dłużej, znów będzie mi wstyd, ponieważ z nasypu kamiennymi, zavianymi śniegiem schodami zaczną iść na zmianę do elektryczni robotnicy. Nachuchalem w dlonie poprzez przeźręte rekawiczki i teraz tkanina przywarła do mroźnego żelaza poręczy. Ponieważ nie ma jeszcze nikogo na ulicy, ponieważ nie ma nikogo na rzecze stojącej lodem, ponieważ wiem, że wiatr i tak zabierze moje słowa jak nasiona ostu, urągam na cały głos mówiąc:

desek huśtała się samotna lampa. Ciągnęło chłodem, niebo czerniało na deszcz.

— Dziś byki słabo będą się odbywać — powiedziałem. — Franciszek zgrzyta zębami. Został sam w kniei. Przyjdzie plucha, szafas cieknie. Jeszcze trzeba, żeby wilki diabli przyniśli na rykowisko...

— Nie mogę zostać — zahuczał Jan Nepomucen. — Za dwa tygodnie mam colloquium z inferny, materiał muszę powtórzyć. Polowanie, polowanie... już mnie opieprzili w kole wydziałowym powiadają: feudalne naleciałości... a ja, gdy przyjdzie wrzesień, miejsca sobie znaleźć nie mogę. M: tka mówi, że przez sen porykuję. Albo ponowa w grudniu. Upadnie ten cholerny śnieg, jest białe i czyste. Siedzę na wykładzie, a w duszy widzę trop szablatego knura na śniegu. Psy grają... a on ci wyjeżdża z kepy świerków — czarny, garbaty, najeżony, kurzy śniegiem. No

stary i podtrzymywał brzuch cienkim rzemieniem. Czapkę miał zsuniętą na tył łysej głowy. Zobaczył obcych i starał się zapiąć mundurową kurtkę. Niemrawo gmerał palcami wokół guzików. Woniał wódka. Jan Nepomucen mrugnął ku mnie, pociągnął nosem znacząco i skrzywił się zgrzyliwie. Kasjerka podała mu nasze bilety i popatrzyła nań ni to z żalem, ni z prośbą.

— Panowie dokąd jadą? — spytał kolejarz, który przyszedł podpity.

— Do Warszawy — odparł Jan Nepomucen takim samym niewprawnym, pijanym głosem.

— Ile policzyłaś, Ziułka? — spytał kolejarz.

— Po 84 złote, bo panowie w Re-speszach łapia pośpieszny.

— Pośpieszny... Pośpieszny. Ile to ja pośpiesznych przepuszczałem. Raz na dobę szedł kurier Lizbona — Władystyosk — nie stawał, tylko mignął jak kometa. Ale musiał przechodzić

do godności starych malowideł, gdzie pod warstwą splekanych werniksów koloru szlachetnym głosem grają swe odwieczne pieśni.

Rzeźby na frontonach trwają w niezmałonych niczym gestach, które przed laty nadał artysta wyobrażony przez siebie postaciom. Ulice pełne s' gwaru ludzkiego za dnia i wieczorem, a ze wszystkich okien bije światło. Nikt nie odarł z galęzi wielkich drzew w parkach, dają jak dawaly cień w letnią spiekotę i lagodną zielenią bezlistosne, białe światła słońca rodzącego wino twojego kraju. Twoje miasto jest pełne urody i nietknięte.

Miasto usypiało w miarę mojej wędrowki. Zbliżałem się, nie pytając odnalazłem właściwą drogę, nie spieszylem wcale. Wracalem z pokazu tańców ludowych. Kipialy mi w głowie narastające aż do zapamiętania rytmy melodii ni to słowiańskich, ni turekch, ni cygamskich, granych na prostych instrumentach. Kipialy mi w głowie kolory strojów, wodospady i wiry kolorów splecionych z muzyką.

Przy moście kupilem pęk róż. Były pąsowe i pachnące, o płatkach delikatnych i przytulnych jak dionki dziecięce. Były bardzo tanie w tym słonecznym kraju.

Za rzeką, w dzielnicy gdzie mieszkalem, pnowala już cisza nocna. Noc nie wygasila spiekoty dnia, lecz przytumlila ja nieco. Rzadkie tchnienia wiatru ciągnącego znad rzeki, skoro przemijały ludząc chłodem, potęgowały żr bijący z nagranych murów i kamieni. Niebo drżało od dygotu bilionów gwiazd. We wszyst-

kich szparach bruku i cegieł, w ogrodach kopających zapachami nocą rozkwitających kwiatów dzwoniły bełzlosnie cykady. Wyobraziłem sobie, że pomiędzy ich liczbą a liczbą gwiazd — że pomiędzy drzącą melodią ich głosu, a drganiem gwiazd jest jednolitość panująca tej nocy wszczehwaldnie.

Po przeciwległej stronie opodał domu, w którym zamieszkałem, dziewczyna podlewała kwiaty rosnaće w skrzynkach na balkonie. Tylko nas dwoje było w pustej, gorącej ulicy. Pochylała się mł...wym, pełnym gracji ruchem. Włosy miała upięte w suty węzeł. Była naga i... mój Boże, jaka piękna.

Wyciągnąłem rękę przed siebie. Wykonałem bezradny obronny gest. Oto noc tutejsza rozgromila mnie.

Dziewczyna zauważyła mój ruch i moją sylwetkę, cofnęła się poza zaslonę. Wtedy spostrzegłem, że w wyciągniętej dloni trzymałem różę. Bolałem nad tym, że mogła się śmiać z mojego gestu uznając go za głupio adorujący. — A gdyby tak było, a gdyby nawet tak było — myślałem później. — To cóż z tego? Zresztą nie jest pewne, czy śmiała się. A później jeszcze myślałem o tym, że dobrze jest, iż nie przyjeżdżają tu więcej i nigdy już przyjeżdżać nie będą nadziani forsa, przeżyci nababowie, aby moczyć swoje sflaczałe cielska w siarce tutejszych źródeł. Ta myśl — był to także głos gniewnej zazdrości o dziewczynę. Bo przecież ja — myślałem — nie jestem turystą, nie jestem nawet kuracuzsem. Jestem dla tego kraju i jego spraw, dla ludzi tutejszych i jej... żu — przyjacielem.

## WIELKA BUDOWA I STARY CZŁOWIEK

**D**o tego miejsca nie dojeżdżesz niczym, ponieważ położone jest daleko, za szeroka, wartko płynąca rzeka, na kepie pomiędzy bagnistymi jeziorami, które powstały w ciągu długich, długich lat. Niesforna rzeka Złobita sobie koryto, porzucała je przenosząc wodę, w coraz inny meander zaplatała swój bieg. Pozostała jeziora zasilane źródłami bijącymi z bagnistego gruntu.

Pomiędzy jeziorami pozostawiła w spokoju osiedle przodków Mateusza, a później i jego samego. Dwa niewielkie jeziora przedzielone groblą należą do Mateusza, posiada on tak-

wych opowieści, ani nałogów, ani chorób, lecz własnie drwiną niewiarę, która w tej bądż o bądż religijnej okolicy mogła mu zaszkodzić najbardziej. Ożenił się, nie biorąc ślubu kościelnego. Tak długo szculli jego kobietę, aż uciekła. Od tego czasu jest sam. To opowiadał mi jeszcze mój ojciec.

— Po wojnie cyził stawy z wodorostów. Pomagałem mu nawet, bo lubię go od czasów dzieciństwa, kiedy budził we mnie lek i przyjaźń zarazem, niby ucielesniona bajka o „złym”. Przeziębł się wówczas i roboty nie dokończył. Chorował miesiącami. Kiedy wyszedł po chorobie i spojrzal na swoje jeziora, uśmiech-



co ja poradzę — jęknął w niekłamej rozpaczy. — Nałogowiec jestem. Kliniczny przypadek. E... chodź — kupimy bilety. Miejscowa luks-torpeda nadciągnie za kwadrans.

W izbie dyżurnego ruchu było zacisznie. Żółto świeciła lampa, pachniało pastą do podłogi, podzwaniał telefon. Zastępujący urlopowanego zawiadowcę młody kolejarz chwytal słuchawkę, dmuchał w mikrofon i wykrykiwał słowa kolejarzkie.

Zona urlopowanego spełniala jak zawsze funkcję kasjerki. Gdyby nie tartak, nikt by nie wysiadał na tej stacyjie, ani nie wysiadał. Obliczenie ceny biletu do Warszawy trwało długo. Stukala liczydłami i napominała malego chłopca, który tarmosił jej sukienkę i mówił: — „A jak pan Wladek wypuści pociąg do Skawy, to pójdiesz już do domu, co? Pójdiesz do domu?...” W dloni trzymał nadgryzioną wielką gruszkę ociekającą sokiem. Drzwi wejściowe skrzywnęły i na środek izby zatoczył się — uderzony po oczach nagłym blaskiem lampy elektrycznej — tegi kolejarz w rozpiętym mundurze. Był

przeze mnie. A tu — dwa bumelzugi dziennie — ciuchcie wahadlowe...

— ... I wątrobą pewno pobolewa — dodał Jan Nepomucen — prawda, panie zawiadowco?

— Jak pan ma urlop, panie Józefie — powiedział młody kolejarz spod okna — to niech pan ma ten urlop...

Pociągnąłem Jana Nepomucena ku wyjściu. Poszedł za mną i powiedział na cały głos: — Ulenił się dzisiaj staruszek...

Światło rozhuśtanej nad tartakiem lampy ślizgało się po szynach tam i z powrotem. Las zasumiał od nagłego uderzenia wiatru. Nad naszymi głowami jęknęły druty telefonu, zaszeleściło w uwiedłych liściach dzikiego wina, obrastającego budynek stacji. Jednocześnie kropła zimnego deszczu jesieni ukuła mnie igielką w policzek.

— Czego się wyglupiasz? — powiedziałem. — Człowiek poszedł na kominki i palę nieco zaproszył. Czemu drwisz? Polowanie, polowanie... Posiedź tu rok i puszczaj dwa pociągi na dobę. Posiedź tu rok pomiędzy lasami...

## SCENA BALKONOWA

**B**yło to kiedyś piękne miasto bogatych turystów. Przyjeżdżali i odchodzili. W laźniach z kąpielami siaroko-wodorowymi odnajdzie pan ich tablice, a na każdej podziękowanie za kurację. Napisy są arabskie, łacińskie, gotyckie, a każdy z podpisem. I co? Proszę spojrzeć na róg. Był tam dom towarowy braci Szenerle. Teraz, proszę, zamknijcie. Napisano REMONT. Będzie tam dom towarowy, jak mówią, ale już nie braci Szenerle, lecz państwowi. Oni reklamowali się jednym z najbarwniejszych neonów w naszym mieście. Neon już zdjeto. A jaka to była fortuna. Panie miły, co za obroty, jaka organizacja... Remont... remont, panie...

Mówił do mnie tak, odważając kilogram pięknych brzoskwiń, mały, czarny właściciel kiosku owocarskiego umieszczonego opodał Opery. Tkwił tu od lat za swoją wagą o szalkach cynkowej blachy, tkwił tu od lat opodał braci Szenerle, podziwiał, zazdrościł, miał ambicję, przestał mieć ambicję, współczuł, lecz zaklepił się w swym kiosku pełnym gestego zapachu owoców, uznając, że w dobie wielkiej przemiany nie wyszedł źle na swej małości. Tak oto banalnie i zgola schematycznie wyobraziłem sobie uczucia rządzące nim, kiedy mówił wartko złym niemieckim językiem, gestykulując nadmiernie i wrzucając ruchami kuglarza zamznowa kule brzoskwiń do torby.

Jego zmartwienia denerwowały mnie nieco, ponieważ jako drobno-mieszczanin powinien teoretycznie odczuwać jeśli nie nienawiść, to bodaj — strach wobec braci Szenerle, wobec ich domu towarowego, którego wrota ziały nań, niby paszcza olbrzymiego rekina, przy calej żyćcie.

— Czy było to kiedyś piękne miasto? — powiedziałem odbierając owoce. — Przecież jest.

— Zniszczone, panie, przez wojnę. Zwłaszcza po drugiej stronie rzeki...

— Mieszkam po drugiej stronie rzeki — powiedziałem i u uśmiechem kiwałem głową. On wziął to za gest pożegnania i gibnął się w ukłonie pomiędzy przyma wielkich brzoskwiń i przyma jednego winogron, ponad wagą o szalkach z cynkowej blachy. Odszedłem włąc w stronę rzeki. Szedłem w bezustannej ulewie kolorowych światel, bijących z neonowych



że kawałek olchowego lasu rosnącego na bagnisku przy wodzie, kawałek grząskiej łąki i dwa hektary ziemi na górze. Olchy na bagnie nieprzydatne są na nic. Ich drewno jest rzadkie jak marchew, kora obłazi płatami, odsłaniając sparciałe pnie. Niektóre drzewa jeszcze żyją. W stawach roi się od loszczy i dzikich karpki. Kiedy słońce prześwielił powierzchnię wody i nagręje jej lustro, ryby gromadnie unoszą się z dna i stoją w okach pomiędzy wodorostami. Rośliny przerosły już dawno wodę w stawach, wydaje się, że woda tam jest po to jedynie, aby nasycić ich gąbczastą masę — oplecioną na kanwie nenufarowych łodyg zbity wołok moczarki kanadyjskiej. Można stawy oczyścić. Trzeba w dwie łodzie ciągnąć łańcuch lub stalową linkę, pomagając widłami, aż wyczerpa się wszystkie wodorosty, i później dbać, pilnować moczarki jak najgorszego wroga.

Jest ziemia na górze. Czy może być dobra ziemia na wznieśieniu pomiędzy bagnami? Jest to piaszczysta ziemia, czerwony lity piach. W roku 1951, kiedy przyszła susza, i nawet w tych rozpadlinach, gdzie zawsze stała woda, zabrakło jej, a smugi n-d zalewiskami zrudziały, Mateusz chodząc po swoim kartofliku i uśmiechał się obracając w palcach wygrzebany z gorącego pachu ziemniak, tak mały jak orzeszek. Szedł brudną, strącał cholewami gumowych butów zmumifikowane słonecznym żarem liście, przybliżał ziemniak do oczu हुआjącego go na dloni i mruczył oczy w uśmiechu.

Jest ziemia na górze. Czy może być dobra ziemia na wznieśieniu pomiędzy bagnami? Jest to piaszczysta ziemia, czerwony lity piach. W roku 1951, kiedy przyszła susza, i nawet w tych rozpadlinach, gdzie zawsze stała woda, zabrakło jej, a smugi n-d zalewiskami zrudziały, Mateusz chodząc po swoim kartofliku i uśmiechał się obracając w palcach wygrzebany z gorącego pachu ziemniak, tak mały jak orzeszek. Szedł brudną, strącał cholewami gumowych butów zmumifikowane słonecznym żarem liście, przybliżał ziemniak do oczu हुआjącego go na dloni i mruczył oczy w uśmiechu.

— Czemu się uśmiecha? — spytałem Tadeusza. — Przecież wypaliło mu kartofle.

Tadeusz zna tutejszych ludzi i ich sposoby zachowania się. Wierzę m., bowiem jest mądry i szczerzy. Odpowiedział:

— On się wadzi z Bogiem. To człowiek światowy — jak mówią. W młodości nosiło go po obcych i dalskich krajach. Wrócił uciszony i smutny na swoje uroczysko. Nie przywiózł ani dolarów, ani cieka-

nał się tak samo jak dziś. Przeroniłte były świeżą moczarką. Powiedział mi wtedy: „Bóg mnie sobie upodobał, panie Tadku, skoro mnie tak morduje”. Ludzie go omijają. Naprzędli wokół niego tyle kłamstw i bredni, iż utworzył się nieprzyjemny kokon. O starym, samotnym człowieku siedzącym na uroczysku, pomiędzy dwoma stawami, wiele można nabzdurzyć w długie, zimowe wieczory. On sam jest mrukiłwy. Mówi dwa słowa w tygodniu. Jego beczuch i wdzięki zawsze koczają się z widokiem leniwa, którego ogłądałem w menażerii poznańskiej. W ciągu dziesięciu minut zwierzę to przesunęło łapę o kilka centymetrów.

— Mateusz żyje w przyjaźni ze zwierzętami. Wyda ci się to błaga, kiedy powiem, że widziałem pewnego dnia, jak młody zając obwachiwał but Mateusza stojącego pośród pola. Zwierzę uciekło na mój widok. Uśmiech jego jest zapewne drwiący. Być może w gestniejącej coraz bardziej z upływem jego lat biedzie, w nagromadzeniu cierpienia, jakie były zapewne udziałem jego młodości, Mateusz szuka potwierdzenia swej niewiary, lub znajduje je.

Tyle opowiedział mi Tadeusz. Wieczorem powracaliśmy obok zagrody Mateusza. Wstąpiliśmy, aby napić się mleka i kupić rybę na kolację. Ryby nie miał. Podał nam dżban starczym, oszczędnym ruchem. Trzymał go pieczołowicie w dloniach, przypominających drewniane narzędzia wypolerowane i odkształcone długoletnim użytkowaniem.

— Ryby nie mam. Nic chwytł się. Statki nie te... — powiedział cicho ukazując zełtłe sieci wiszące pod okapem dachu.

Zabrał siekierę opartą o ścianę, gwizdnął na psa i poszedł z nami.

Kiedy mineliśmy olchowy zbuniał las i wyszliśmy na pełną światła wielką równinę smugów nadrzecznych, w niebie nad nami zaturkotały motory dwóch kukuruź-dokończenie na str. 11)



cieczce. Wśród wzgórz było jezioro pełne szczupaków, które dawały się łatwo łowić, ponieważ akurat był dla nich czas godowy. Tary się w trzcinach aż woda wrzała.

Przesilało się ku wiosnie. Dowódcą batalionu chodził o lasce, ponieważ zaczynały mu dolegać źle zaogone odłamki, które niósł w mięśniach nóg gdzieś od Stalingradu. Uszarpał się w długim marszaku, ociepłało się, rany odtajały. „Niedługo będzie już czas na kurację” — mówił. — „Ciut jeszcze pociesniemy i będzie koniec”. Później poległ nad Nysą.

## NOE CZYLI O PRZYJACIELSKIM STOSUNKU DO LUDZI

**T**am kraj był lekkuchno sfa-lowany, lasy i wrzosiwska. Starodrzew utrzymał się brzegami, pierścieniem otaczał na nowo na spaleniaskich siejącej się sosenki, kepy podrosłych zbitych jak file za-gajników i kwatery ciągnące z siłą ku górze tyckowiny, której gałęzie usychały dołem. Na wrzosiwskich szczytach na kości wybielone słońcem i deszczami szkielety spalonych młodych sosen. Las nie zamykał ci się nad głową, lecz wszędzie miałeś niebo.

O szarówce, kiedy zorze stajały, a cń nieba mżyło zamierające światło, odzywał się „organista”), któremu zaraz — to bliżej, to dalej — wtórowały inne jelenie.

Wiedziałem go po raz pierwszy pewnego wieczora. Stał w kotlinie na wrzosiwisku, powoli odchylił łeb do tyłu, położył krzaczaste rogi na grzbiecie i wythnął wraz z basowym, wibrującym porykim kłap pary gęstej, gorącej od jego krwi.

Ostatni raz widziałem go o świcie, kiedy wyszedłem poźegnać się z knieją. Stał w tej samej kotlinie, brodził w porannej mgle, co osiadała bilionami diamentów na pięknych koronkach pajęczy zasnuwających wrzosiwiska i gałęzie wszystkich drzew. Był brodasty i rudy jak ogień smolnego polana. A kiedy zwołna obracał głowę, słońce zapalało iskry na wyszlifowanych końcach jego bogatych rogów.

Tęgo samego dnia zdaliśmy z da-

chu budy lby zastrzelonych jeleni. Trzymaliśmy je na dachu przed myszami, które pozostawili nam w spadku wraz z budą pszczelarze. Koczowali tu w porze kwitnienia wrzosiów, a teraz, kiedy nastali przymrozki, uszli stąd, ponieważ pszczoły morzył sen.

Obładowani ekwipunkiem i trofeami szliśmy piaszczystym traktem ku kolei. Jan Nepomucen szedł przede mną. Miarowo, mocno odpychał drogę stopami długich muskularnych nóg. Kolyśał torsem pod ciężarem wieńca gniotącego mu barki. W tym kolebaniu była kocia prężność — leniwa siła, co nie lubi się okazywać.

Pamiętam go, kiedy wrócił do szalasu po udałym podchodzie. Franciszek siedział na progu i ociarał strzelbę z porannej wilgoci, ja dmuchałem w ognisko. Jan Nepomucen wyszedł spomiędzy drzew, wielki, w rozpiętej koszuli. Rekwamy miał zakasane po łokcie, w dloniach niósł wątrobę i rozbite pociskiemi serce jelenia. Chybiał rzadko. — „Strzeliłem kapitalnego” — powiedział. — „Na tych wzrosach, na nizinie nie będzie już lepszego”.

Zaczerpnął wody z wiadra, pił długo i łapczywie. Strugi wody ciekły po jego podbródku, pokrytym złotym zarostem, po szyi, kropłe osiadały na kuldytę piersi.

Do zagubionego w tutejszych lasach przystanku kolejowego dobiłm się wieczorem. Siedliśmy szeroko i wygodnie na ławie dostawionej do ceglanego budynku stacji. Po przeciwległej stronie toru pykał miarowo motor tartaku, ponad sztalbami

\*) Jeleń-byk rozpoczynający zew na rykowisku.

MAHMUT MAKAL

N A S Z A W I E Ś

O SOBIE SAMYM

**N**otatki te piszę w czasie pracy na polu zasadzonym warzywami, kiedy prażące słońce wyciska kropkę potu. Zbiory dojrzają. Ojciec mój pracuje teraz sam i nie mogę mu nie pomóc. Ale kiedy pracujemy oddzielnie, idąc w pole zabieram z sobą książkę i papier. Teraz, tak jak wszyscy, okopujemy razem z matką arbuzy. Upał jest straszliwy. Nie mogę go zniesić i kładę głowę w cieniu niewysokiej kukurydzy. Kiedy piszę, dochodzi mnie głos śpiewającej matki.

Dokola ciągnie się szary, w pełnym tego słowa znaczeniu, step. Nie mogąc znaleźć pożywienia między grudkami zeschniętej ziemi, stada bydła ciągną do wsi na udój — głodne. Krowy w wymionach nie mają mleka.

Zapada mrok i wracamy do domu. Jutro trzeba będzie obrzuwać groch — znów zajmijemy nam to sporo czasu. Kolo naszego przeznaczenia obraca się wciąż tak samo jak przed tysiącem lat i miele nasze życie...

Ach, gdybym tak zdołał mym piórem opisać całą tę prawdę o naszym życiu! Gdzież są nasi artyści? Oni to powinni przypatrzyć się jej własnymi oczyma... Jakież arcydzieła powstało mogąc z płynącego strumienia mi potu...

MOJA MATKA

Nadszedł miesiąc Ramazan<sup>\*)</sup>. Moja matka, choć przestrzegająca surowych zasad postu, pracowała razem z nami ze słowami „nadzieja nasza w Allahu” na ustach.

Wychła jak szczapka. Kiedy patrzy, jak w tych warunkach ciężko haruje, cierpię podwójnie.

Kiedy się weźmie pod uwagę, że większość chłopów pracujących przy zbiorze przetrzeźnia postu, można powiedzieć, że go tania w tym roku okupiliśmy: tylko jeden młody człowiek zmarł z pragnienia pod stertą zboża.

Inaczej wygląda sprawa z małymi dziećmi. Podczas gdy rodzice pracują w polu, bezlitosna śmierć kosi ich dzieci. Codziennie mieliśmy we wsi jeden lub dwa wypadki śmierci dzieci w wieku od jednego miesiąca do roku. W ciągu pierwszych piętnastu dni liczba zgonów wyniosła dwadzieścia dwa.

Czasem, kiedy pytamy matkę o jakąś drobną sprawę, odpowiada krótko: „Nie mam siły mówić...”. Ale jednak potrafi bez ustanku śpiewać pobożne pieśni. W zmie, kiedy szej-kowie głośno odmawiają modlitwy, kobiety cieni się do drzwi i — chociaż dygocą z zimna — starają się nauczyć na pamięć zasłyszane słowa.

— No dobrze, mam, ale czy ci się usta i język nie zmęczą, gdy tak ciągle śpiewasz pieśni? — spytałem kiedyś matki.

— Co też mówisz, synu! — odpowiedziała. — Od tego miałyby się zmęczyć usta? Przecież w tych modlitwach są imiona Allacha i Proroka. Czy potrafiłabym zmieść ten żar, gdybym ich nie śpiewała? Dzięki temu tylko nie umieram z głodu i pragnienia...

Do studni, która jest na skraj wsi, mamy godzinę drogi... Kie-ty przyniesiemy dwa czy trzy dzbanki wody do picia, matka wylewa ją sobie na popekane, spieczone nogi, głowę i piersi. Stopy ma zupełnie poranione. Kiedy jej kupiliśmy parę lanych butów, powiedziała:  
— Kto by je tam nosił!

WIEJSKI DOM

Kiedy mówię: dom, nie wyobrażajcie sobie domu wiejskiego, w którym jest drewniana podłoga, z jednej strony pokoje, osobno kuchnia, szafka, łazienka, toaleta i inne potrzebne urządzenia.

Wiejski dom to jedna cuchnąca dymem izba mieszkalna, w której się gotuje, je i śpi... Ma ona gliniane, pokryte warstwą sadzy klepisko wyłożone dokoła kamieniami.

Prawie wszystkie domy są tego rodzaju. W takiej jednoizbowej chałupie mieszka cała rodzina. Dziury w ścianach pełne są zatkniętych w nie żerdzi, na których się wiesza rozbite, nie nadające się do niczego garnki albo jakieś zakopcone szmaty.

Kiedyś powiedziałem do matki:

— Mam, trzeba to powyrzucać, czy to jeszcze może się na coś przydać?

— Tylko nam kłopoty na głowy sprowadzasz, synu. Lepiej idź już sobie od nas. Nie pozwalasz nam nic położyć na swoim zwykłym miejscu, nie dajesz nam mówić tak, jak zwykliśmy mówić... Czy ci się w głowie pomieszalo, czy co?

TANDYR

W środku tej jednej izby znajduje się dziura podobna do dołów kopanych dla sadzenia młodych drzewek. Nazywają ją tandyr. Zimą rozpala się w niej ogień raz na dzień każdego ranka. Na pierwszy rzut oka człowiek nie może pojąć, jak się w tej jamie może palić ogień, bowiem powietrze niezbędne do utrzymania

ognia dochodzi przez dziurę podobną do kreciej nory, zrobioną pod ścianą domu i prowadzącą do dna tandyru. Po skończeniu palenia zewnętrzny wyłot dziury zatyka się szmatą, aby powietrze nie wystąpiło z pozostałego żaru.

— Mamo, to taka uciążliwa i brudna robota — mówię do matki. — Kupmy lepiej piecyk.

— A co to jest takiego?

Objaśniam. Zrozumiała i powiada:

— Taka rzecz nie jest dla nas odpowiednia. Jak się człowiek nie zarządzie do połowy w tandyrze, to się i nie rozgrzeje...

W tandyrach pali się tylko suszonym nawozem, a do rozpalania służą drobne, pokruszone kawałki słomy. W czasie palenia cała izba pełna jest sadzy.

Po ugotowaniu jedzenia w tandyrze i wstawieniu garnków z kolacją, przychodzi kolej na grzanie się. Dla utrzymania ciepła aż do wieczora ustawia się nad tandyrzem coś w rodzaju trybuny na czterech nogach i przykrywa się ją z wierzchu kilimami albo jakimiś innymi szmatami. W zimowe dni cała rodzina zbiera się wokół tandyru i pozostaje tam aż do wieczora. Kiedy jakaś stara kobieta zacznie opowiadać budzące grozę bajki, dzieci ze strachu chowają pod trybunę głowy.

Wieczorem, kiedy przychodzi pora spania, rozkłada się pościel wokół tandyru w ten sposób, że nogi sięgają do niego. Jeżeli na przykład rozłożono cztery matrace, to spać na nich będzie co najmniej osiem osób (w licześniejszych rodzinach sypia nawet na trój, czworo dzieci na jednym materacu). Znaczy to, że przy tandyrze przypieka się szesnaście róg.

OŚWIETLENIE

W naszych wielkich miastach wspomina się lampę naftową jako przestarzały sprzęt dawnej epoki. Natomiast w większości naszych wsi to szczytowe osiągnięcie cywilizacji nie zostało jeszcze wprowadzone.

W dniu, w którym wbiłem drewniany kołek w obłepioną nawozem i sadzą z łuczywa ścianę naszej zakopconej chaty i po raz pierwszy zapalitem zawieszoną na nim naftową lampę, poczułem się jak wódz dumny po odniesionym zwycięstwie.

Dzieci były zdumione:  
— Mamo! Patrz, patrz! Pali się od środka, a nie od końca jak nasze łuczywko.

Teraz, kiedy nie ma mnie w domu, w ogóle tej lampy się nie zapala.

— Tato, mamo, czemu jej nie używacie? — zapytałem.

— Gdy wrócisz latem w czasie wakacji do domu, to będziesz ją sam zapalał. Czy w obecnych czasach można do niej nastarczyć nafty? A jeszcze upadnie i rozbije się. Na co nam ona potrzebna?

ACH, TA POCZTA!

Początkowo nie mogłem tego zniesić, ale później się przyzwyczailę, że list, gazetę lub inną przesyłkę nadaną na pocztę latem otrzymywałem jesienią, a nadaną w jesieni — zimą lub na wiosnę. Teraz uważam to za coś naturalnego. Do czegoż się człowiek nie przyzwyczai...

A zresztą, dobre i to. Gdybym nie podał pewnego pośredniego adresu w powiatowym mieście, wszystko by poginęło. Na pocztę jest szafa, do której składa się nadeszła korespondencja. Czekam tam ona całym tygodniami i miesiącami...

To, że odbieram pocztę przez pośrednika, trochę mi ułatwia sytuację, chociaż z drugiej strony przychodzące do mnie książki i czasopiisma dostają się do jego rąk, on zaś je otwiera i czyta, a nawet rozdaje kolegom i znajomym. Gdy jestem w powiecie, muszę je odszukiwać i zbierać po jednej sztuce. Wszystkie moje listy są otwierane i czytane. Jeśli wśród czasopism znajdzie się numer, który się specjalnie podobna — ginie zupełnie. Jeżeli poproszę któregoś z chłopów, żeby przyniósł moją korespondencję, zwalają wtedy winę na niego. Dopiero kiedy poszedłem sam, zobaczyłem, jak się rzecz przedstawia.

Pewnego razu wyraziłem z tego powodu niezadowolenie:

— Jeżeli już chcecie, to czytajcie i otwierajcie sobie książki, nic na to nie mówię, czytajcie! Ale nie niszczone ich i nie gubcie, przecież szkoda!

Rozgniewali się:  
— Nie zwracaj nam już więcej głowy, bo za następnym razem w ogóle nic nie dostaniesz.

28 kwietnia wysłano ze Stambułu list polecony na moje nazwisko. Gdy otrzymałem następny list, w którym zapytywano o odpowiedź r a pierwszy, sam poszedłem na pocztę. Po dokładnych poszukiwaniach znalazłem list pod szafą. Gdybym nie poszedł i sam go nie odszukał, w ogóle bym go nie dostał. Zresztą może by się i tak znalazł w czasie przeprowadzki albo remontu poczty. Ale po ilu latach?

— Dlaczego tak długo przetrzymujecie korespondencję? — zapytałem urzędnika pocztowego. Odpowiedział z wyrzutem:

— Myślisz, że nie mamy nic innego do roboty, jak tylko zajmować się twoimi listami,

Nazwisko Mahmuta Makala, młodego tureckiego nauczyciela, nie jest zupełnie obce czytelnikowi polskich czasopism. Pisał o nim Jan Reychman w tygodniku „Wieś” (13.VIII.50) i w „Nowej Kulturze” (2.II.51), a obszerne wyjątki z jego książki „Nasza Wieś” („Bizim Köy”), która uczyniła go znanym również poza granicami Turcji, zamieściła także „Wieś” w numerze z dnia 3.XII.50 r., oraz „Nowe Czasy” w numerach 30 i 31 tegoż roku. Oba fragmenty były tłumaczeniami z drugiej ręki: pierwszy oparty na przekładzie bułgarskim, drugi — rosyjskim, i zawierały zrozumiatale w takich wypadkach błędy i skrót. W Związku Radzieckim książka Makala została przetłumaczona z tureckiego na rosyjski przez W. Krymskiego i A. Pakajewa, i w ubiegłym roku pojawiła się na półkach księgarskich zaopatrzona obszerną przedmową jednego z tłumaczy („Nasza dziejowina”, Moskwa, 1951). Przekład polski — jako jedna z pierwszych pozycji współczesnej literatury tureckiej tłumaczonej bezpośrednio z oryginału — przygotowywany jest do druku przez „Książkę i Wiedzę”. Zastanawiając się nad przyczynami popularności, jaką zdobyła sobie ta — pisana często nieporadnym stylem — książeczka ubożego nauczyciela z zapadłej anatolijskiej wiosczyny, nie trudno jest dojść do przekonania, iż tkwiła ona w prawdzie, z jaką Makal potrafił przedstawić życie swej rodzinnej wsi, w autentyzmie jego notatek. Pisane w formie korespondencji nadsyłanej mieszczykowi „Varlık” notatki Makala są ustraszającym dokumentem ponurej nędzy wsi tureckiej, która pod rządami kemalistów czeka na próżno na reformy. Ogłoszona w 1945 roku reforma rolna, która zachowała wielką własność ziemską, nie rozwiązała palących problemów tureckiej wsi. Szerokie masy chłopskie stanowiące przeważającą większość narodu uginają się pod ciężarem podatków idących na zbrojenia. „Nasza Wieś” wysła spod pióra siedemnastoletniego chłopca, który otrzymał skromniutkie wykształcenie w zakresie „Instytutu Wiejskiego” — niższego zakładu kształcącego nauczycieli, przeczytał w ciągu całego swego życia pięć czy sześć książek i nigdy nie był w większym mieście. Fakty te, których na ogół nie zalicza się do okoliczności sprzyjających karierze literackiej, nie przeszkodziły Mahmutowi w realistycznym ujęciu obserwowanej rzeczywistości i wypowiedzeniu sporej liczby dojrzałych sądów. Nie wiadomo, czy młody Mahmut Makal zostanie literatem, czy stanie w rządzie bojowników o nową turecką ojczyznę, takich, jak Nazim Hikmet czy Sabahattin Ali. Rząd turecki bowiem, który zaraz po ukazaniu się „Naszej Wsi” zaarrestował jej autora dopatrując się w niej oskarżenia skierowanego pod swoim adresem, niedługo potem — celem uspokojenia burzliwej opinii publicznej — przyznał Makalowi stypendium i umożliwił mu wyższe studia. W każdym jednakże razie „Nasza Wieś”, której — jak pisze w przedmowie do pierwszego wydania tureckiego książki postępowy literat Jaszar Nabil — „nie należy czytać jak zwykły utwór literacki, ale jak sprawozdanie napisane w celu podźwignięcia wsi tureckiej i nadania chłopcom tureckim ludzkich praw, a nawet — jeśli chcecie — jak akt oskarżenia”, pozostanie cennym przyrzeczeniem do historii walki o nową Turcję, o postęp i sprawiedliwość społeczną.

Edward Tryjarski

KLÓTNIE I BÓJKI

Jeżeli będziecie się doszukiwać przyczyn licznych klótni i bójk, często kończących się zabójstwem, zobaczycie, że chodzi zwykle o drobiazgi. Tymczasem uważa się za rzecz naturalną, że najdrobniejsza nawet klótnia kończy się wyciągnięciem rewolweru albo noża, „rozbiciem głowy czy utratą oka. A potem ciągnie się krwawy spór nie wiadomo przez ile pokoleń. Jeden mówi drugiemu: „Wtedy a wtedy twój wuj zrobił mojemu wujowi to a to. Teraz ja go pomścę na tobie”. Nawet dzieci, które nie jeszcze nie rozumieją, od najmłodszych lat rosą w takiej atmosferze. Często samo podtrzymanie stanowiska jednej z zaangażowanych stron pociąga za sobą zbrodnie.

Na przykład odbywają się zaręczyny Deli Mehmeta. Koledzy nie odstępają go i domagają się, by im urządził przyjęcie. Ten stara się wykręcić, mówi, że teraz nie może, że ugości ich innym razem — nic nie pomaga. W końcu Mehmet wypro-

wadzony z równowagi ciąglymi naleganiami i docinkami, chwytając za brytwę i wbił ją w szyję Ahmeta, syna Molly Hasana. Powstaje hałas, zamieszanie... W rezultacie, aby uniknąć rozprawy sądowej, jedna ze stron płaci okup, a druga udaje się do szpitala i podaje, że rany są wynikiem nieszczęśliwego wypadku.

POŁOŻENIE KOBIECI

U nas młodzi odnoszą się do starszych z wielkim szacunkiem; lecz strach i szacunek, jaki odczuwa kobieta w stosunku do swego męża, jest niepomniernie większy. W przeciwieństwie do pozycji, jaką zajmują kobiety w świecie cywilizowanym, na naszej wsi nie ma on prawie żadnego znaczenia. Kobieta interesuje mężczyznę jedynie przez krótki czas po zawarciu małżeństwa.

Kobieta staje się niewolnicą swego męża i spełniać musi jego zachcianki. Mąż leży wyciągnięty na łóżku i daje polecenia: „zrób to, zrób tamto...”, a kiedy ją napomina, mówi: „ej, ty głupia, to ma być zro-

bione tak a tak!” Moralność i wartość kobiety mierzy się stopniem jej szacunku dla męża. Mąż bije żonę, doprowadzając ją do leż, obrzuca wyzwiskami, sprawia jej ból, a ta nie odzywa się ani słówkiem. Stara się tylko nie robić tego, co jej mąż zakazał. Ale ponieważ mąż często bije żonę bez żadnej przyczyny, albo z najmniej istotnych powodów, kobieta już sama nie wie, jak właściwie ma postępować.

Mężczyzna na wsi nawet nie wyobraża sobie, że istnieje takie pojęcie, jak towarzyska życia. Z biegiem lat, kiedy ustaje pociąg zmysłowy, przestaje się kobietą interesować zupełnie.

Kobieta musi zakrywać usta, co też czyni przy pomocy końca chustki noszonej na głowie. Odkrycie ust wolno jej tylko w czasie jedzenia. Zresztą mężczyźni i kobiety, nawet należący do jednej rodziny, jadają osobno. Kobięcie jest również zakazana rozmowa, nie może więc rozmawiać z napotkanym człowiekiem. Zwłaszcza dziewczyna albo młoda mężatka nie może, choćby kiwnięciem ręki czy głową, wyrazić swego życzenia wobec starszego od siebie mężczyzny czy kobiety, szczególnie krewnych. Nie może też patrzeć im w twarz. I jeżeli jest prawdą, że każde westchnienie na tym świecie zostanie wynagrodzone na tamym, to większą kobietę czeka dużo szczęścia.

MAŁŻEŃSTWO

Dziewczyny wydawane za mąż mają często poniżej piętnastu lat. Biedna dziewczyna wychodzi za mąż zanim dojdzie do wieku, w którym by cośkolwiek o życiu wiedziała. Ledwie wyjdzie za mąż, wpada w chorobę i w ciągu dwu lat się starzeje. Wiele z nich choruje rok, dwa i umiera. W takich wypadkach mówi się, że ona na pewno już dawniej była chora, tylko że choroba uewnętrzną się dopiero po wyjściu za mąż.

Dla rodziny chłopca małżeństwo — to katastrofa materialna. Jak przy sprzedaży była targ o dziewczynę rozpoczynają się tysiąca funtów, a dobija się go kolo pięciuset. Tych, którzy nie mogą zapłacić tyle pieniędzy, nazywa się „cuchnącymi” i żaden ojciec dziewczyny na takiego nawet nie spojry. Rodzina, w której jest chłopiec chcący się żenić, w obawie, by nie zyskał on podobnego przewiszka, wpada po szyję w dług, ale nie ociąga się z zapłatą żądanej sumy... Mężczyźni, którzy nie mogą jej zapłacić, zostają starymi kawalerami.

Zdarza się, że rodzice żenią syna, gdy jest on jeszcze dzieckiem. Po kilku latach chłopak wprowadza do domu dziewczynę, którą pokochał, a pierwszą — która mu się nie podoba — wyrzuca lub pozostawia przy sobie uważając, że od przybytku głowa nie boli. Oczywiście u nas nie nie wiedzą o ślubach cywilnych i każdy bierze ślub u imama<sup>\*\*</sup>). Ale wzięcie do domu drugą żonę mogą tylko ci, co mają trochę pieniędzy. Większość nie może nawet myśleć o niczym innym, jak tylko o kłopotach związanych z wyżywieniem rodziny.

URODZENIA I ZGONY

Na podstawie informacji uzyskanych u sołtysa i osób dobrze poinformowanych sporządzone zestawienie zgonów i urodzeń za okres czterech lat we wsi N., w której ucze, i we wsi D., w której się urodziłem. Mam tabelę z wypisanymi na nich po kolei nazwiskami ojców rodzin. Uważam, że lepiej będzie, gdy podam same wyniki niż długi szereg imion.

We wsi D. w 350 rodzinach urodziło się w ciągu czterech lat 226 dzieci. Spośród tych dzieci zmarło w ciągu czterech lat 81, a pozostało przy życiu 145. W ciągu tego samego okresu zmarły 53 osoby urodzone wcześniej, czyli na 226 urodzeń przypada 134 zgony, a więc liczba mieszkańców wsi zwiększyła się w ciągu czterech lat o 92 osoby.

Znaczna część dzieci zmarła przed ukończeniem pierwszego roku życia. Część przy urodzeniu, pozostałe w ciągu pierwszych miesięcy — z braku odpowiedniej opieki.

Śmiertelność wśród dzieci urodzonych w okresie tych czterech lat wynosi we wsi D. 36 proc., a we wsi N. — 41 proc. Jak widać, stosunek dośyć wysoki.

NASZA SZKOŁA

Tutejsza wieś liczy blisko 700 mieszkańców. W tym roku otwarto w niej po raz pierwszy szkołę. Rada Starszych zdecydowała, aby wzniesiono na szkole cztery ściany pokryte szpieszem, byle jak, trzciną i słomą. Bała się, że władze nie zgodzą się na położenie takiego dachu. Do pośpiechu przybłągano także to, że dotychczas obrabialiśmy lekcje w części meczetu. Ściany szkoły zbudowano w 1945 roku i gdyby teraz nie zostały pokryte dachem, rozpadłyby się na deszczu. Podobnie w 1936 roku wzniesiono na szkole cztery ściany, ale ponieważ nie można ich było pokryć, zaczęły się rozpadać i kamienie z nich chłopcy rozebrali między siebie. Czy mi sami tego nie mówili?

— Efendi, jeżeli by ciebie w tym roku nie przysiali, tak samo byśmy je zburzyli. Znów by upłynęło pięć albo dziesięć lat.

Zanim pokryto dachem budynek szkoły, nasze lekcje w mecie były poważnym problemem. Imam opierał się i mówił, że nie otworzy meczetu dla gjaurskiej szkoły. A co powiedział imam, to powtarzali i inni. Mało brakowało, a byłoby chłopów przekonano. Na szczęście — jak mówiono — nauczyciel da się lubić, ma dobry charakter, jest miły, nie patrzy na dziewczęta ani młode mężatki, brunetki czy blondynki, jest prawym człowiekiem. Na tym się skończyło.

W mecie uczyliśmy się dwa miesiące, a potem przeniesiliśmy się do pokrytej szkole. Czy przynajmniej urządzenie szkoły jest w komplet? — zapytacie. Nic podobnego. Czytamy siedząc na rozłożonych skorach — o ławkach czy o tablicy nie ma nawet mowy. A przecież nie wszystkie kłopoty kończą się wraz z otwarciem szkoły. Trzeba przecież jeszcze namawiać rodziców, żeby posłali do niej dzieci.

NAMIOT ROZŁOŻONY W SZKOLE

W ciągu pięciu dni, od 15 do 20 kwietnia bez przerwy padał deszcz. Dach szkoły przepuszczał deszcz jak sito. Kapiąca brudna woda utworzyła wewnątrz żupanie jezioro. Jedną ścianą szkoły rozwalila się. W końcu musiałem odesłać dzieci do domów. Dobrze będzie, jeśli uda mi się uratować siebie i swoje rzeczy. Iść do wsi nie mam po co, bo tam wszędzie jeszcze gorzej.

Biedny człowiek ma rzeczy niewiele. Wszystkie należące do mnie przedmioty złożyłem pod oknem i częściowo je uratowałem. Ponieważ w naszej szkole jest gliniane klepisko, wygrzebałem posrodek dziurę, w której zaczęła się zbierać kapiąca woda. Następnie nakopałem trochę suchej ziemi, przyniosłem ją w blaszance od popiołu i nasympałem w jednym z kątów. Tu ułożyłem swoją pościel. Nogi łózka zglałem, postawiłem łózko pod oknem i aż do śniadania rozciągnąłem przecieradio. Spelnia ono rolę namiotu, a ja pod nim — chociaż zgięty we dwoje — chronię się przed kapiącą wodą. Siedząc tak zauważyłem, że wody w jeziorku przybywa i że podpyłwa ona powoli do namiotu. Musiałem wstać i bańką wylewać ją na dwór.

Tymczasem nikt do mnie nie zachodzi. Każdy ma swoje kłopoty i ja zajmuję się swoimi. Siedząc pod namiotem na brzegu „jeziorka” i obserwuję, jak obłtzymi kropie spadają do niego z pluskiem, rozpryskując się na ściany i tworzą na powierzchni wody kola. Od ciągłego siedzenia w skurczonyj pozycji drętwieją mi nogi. Od czasu do czasu muszę je wyciągnąć wprost pod spadające kropie...

Niebawem okazało się, że ja jeszcze najmniej ukierpiałem w czasie tych dżdżystych dni. Wieśniacy uciekli w góry — większość ich pochowała się w górskich pieczarach. Deszcz rozmył większość glinianych domów. Jeden dom i dwie obory zostały zapornane z ziemią.

RADIO

Isa Czawusz uczy w tym roku dzieci we wsi B. Wczoraj przyszedł do nas, żeby odwiedzić swoje rodzinne strony. Okazuje się, że nie wierzy on w istnienie radia.

— Daj spokój, efendi — powiedziałem. — Czy można się zgodzić, żeby to tak naprawdę było? Jak można tutaj usłyszeć modlitwę czytana w Egipcie? Przecież na świecie rozbrzmiewa w ciągu jednego dnia tyle różnych głosów. Dlaczego w tym radio nie slychać ich wszystkich?

Chociaż tłumaczyłem mu na wszystkie sposoby, jak się to odbywa, nie dał się przekonać.

— Ktoś tam siedzi pod ziemią i mówi. On mówi, a ludzie tylko się oszukuje.

Niemal ludzi myśli tak samo jak on.

GAZETY

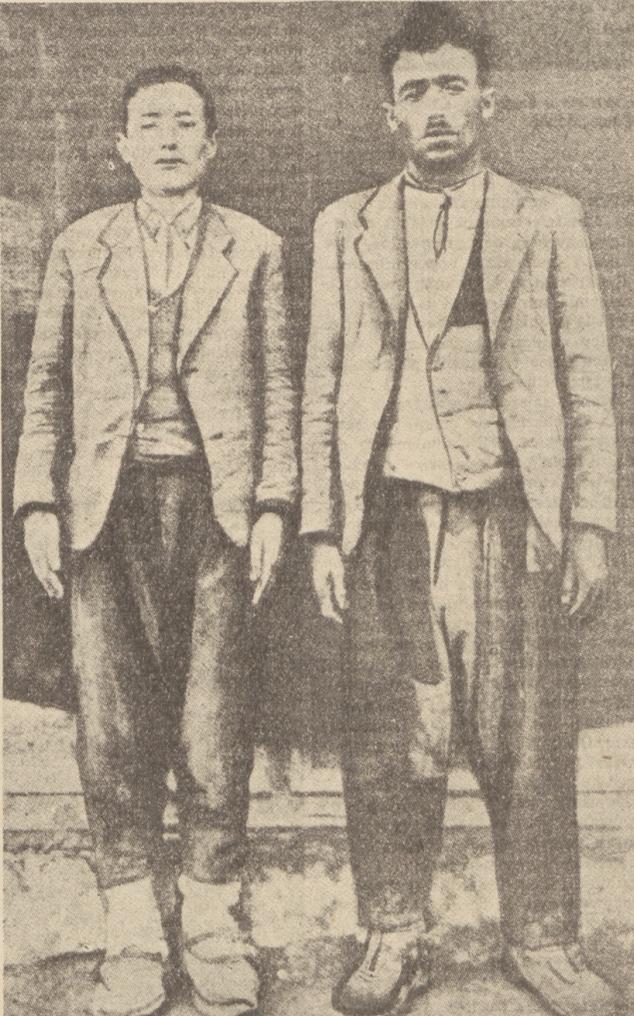
Między rzeczami w swoim mieszkaniu najwięcej miałem gazet. Teraz nie znajduję już ani jednej cioby na lekarstwo. Ledwo uratowałem te kilka sztuk, którymi owijam swoje rzeczy przed kurzem. Wraz z gazetami zapready mi artykuły, które miałem zamiar wyciąć i zachować. Chłopi zabierają mi po trochu nawet czasopiisma — szczególnie wielkim popytem cieszą się te większych rozmiarów, jak „Varlık” i „Köy Posiasi”. Zapytacie, co chłopci robią z tymi gazetami. Oczywiście nie czytają ich, by powiększyć swą wiedzę, ale... z kluczykimi okna. Kiedy mnie spotkają, proszą:

— Na miłość boską, panie nauczycielu, dajcie gazetę! Dzieci nam giną z zimna...

— A jak sobie zazwyczaj radziliście?

— Efendi, zawsze zatykaliśmy okna szmatami. Ale teraz, kiedy widzimy, jak niektórzy zaklejują je papierami, my też chcemy tak samo. To przecież wygląda trochę ładniej!

z oryginału tureckiego tłumaczyli Stanisław Kałuzyski i Edward Tryjarski



Mahmut Makal z swym ojcem (zdjęcie z postępowego pisma tureckiego „Varlık”)

<sup>\*)</sup> Duchowny muzułmański, który zarządza meczetem i przewodniczy wiernym w piątkowych modlitwach.

FRANCISZEK FENIKOWSKI

# Reportaż o dzielnym trampie



Wiosną 1951 roku przeczytałem w „Twórczości” wiersz Międzyrzeckiego. Była w nim mowa o załodze pewnego statku, który — aby terminowo wykonać plan — skruszył „lodową obcę”, więżąca rudowłosego polskiego w jednym z skandynawskich portów:

„Rude żelazny statek wiózł. Rude, Wiedzieli z „Kolna” chłopcy. Czekają na nich Rzeźbił mróz na szybach kajut — dźwigów linie. Oni opancerzali okręt: pancerny — natrze i wypłynie, lody przebijie dziobem mocnym”.

Czytając te wiersze, nie przypuszczałem, że po kilku miesiącach spotkam się z ich bohaterem. Duży, ociężały, czarna między żelaznymi ścianami doku gdynijskiej stoczni, w pejzazu rudych gmachów stoczniowych, gliniastej wody portu, wysokich dźwigów, odcinających się ostro od mglistego zarysu Kępy Oksywskiej i brudnego, zadykowanego nieba. Rudowłosego, unieruchomionego jak chory na stole operacyjnym, ukazywał swe zawieszony nad głową w wodzie dno, ster, śrubę — wszystkie części, znajdujące się poniżej jego czerwono malowanej linii zanurzenia. Pracujący przy nim stocznicy wydawali się mali jak karły przy stole — kaszubskim olbrzymie.

Po śliskich, żelaznych stopniach doku i chybliwym trampie dostałem się na pokład. Kilka słów wyjaśnienia i usmolony marynarz zaprowadził mnie do „pierwszego”, czyli do starszego oficera, którym obecnie jest na SS „Kolno” Mikołaj Domaradzki, pierwszy powojenny kapitan gdańskiego portu, opisany przez Koźniewskiego w „Żywiolach”.

— Nie wytrzymałem na lądzie — opowiada mi. — Oczywiście, że pracą, zwłaszcza z początku, kiedy uruchamialiśmy port, była pasjonująca. A jednak — wciąż ciągnęło mnie na morze. Dopiero teraz dobrze się czuję.

Domaradzki po swym powrocie na morze pływając do Indii. Na „Kolno” zastępuje obecnie „starego” (tak żałoga każdego statku nazywa od niepamiętnych chyba czasów swego dowódcę), który zachorował.

— Ledwie zwinęliśmy do portu — mówi pierwszy oficer — zaraz złapał to przeziębienie. Poszedł do lekarza, tyka przepisane lekarstwa i... nic mu nie pomaga. Ale nie szkodzi. Niech tylko wyjdziemy na morze, zaraz wyzdrowieje.

Przypomina mi się Conradowski kapitan B., również chorujący ilekroć jego statek zbliżał się do lądu.

Siedzimy w salonie „Kolna”, wykładanym boazeriami. W kątach stoją tu szafki z książkami, obok znajduje się piękne radio z adapterem, a na ścianach wiszą dyplomy przedwodnictwa. Wszystko to świadczy, że salon spełnia na statku rolę świetlicy. Patrząc na dyplomy, głoszący że Związek Zawodowy Transportowców RP, Główny Komitet Morskiego Współzawodnictwa Pracy, nadał załozę SS „Kolno” za wyniki osiągnięte w pierwszym etapie współzawodnictwa P. M. H. w roku 1950 tytuł przodującej załogi, że to samo wyróżnienie spotkało statek w drugim etapie roku 1950 i w drugim etapie roku 1951.

Studiuje oba dyplomy pierwszej przodującej załogi i jeden drugiej, poznając coraz to nowych marynarzy, wchodzących do kajuty i mieszających się do rozmowy. Ze wspomnień, fragmentów okrętowego dziennika układa mi się powoli jak barwna mozaika historia walk i zwycięstw SS „Kolno”, czyli, jak się to zwieże mówi w języku marynarskim, dzieje „dzikich rejsów” dzielnego „trampa”.

## „DZIKIE REJSY”

Język marynarski różni się nieco od mowy lądowych szczerów. Powoduje to nieraz śmieszne omyłki. Np. dzwoni pewna warszawska redakcja do gdańskiego dziennikarza, proponując mu, aby natychmiast zrobić wywiad z załogą „Siedmiestkiego”.

— „Siedlecki” w morzu — odpowiada fachowo mieszkaniec Wybrzeża.

— Utonął? Niemożliwe! — wołają przerażeni warszawiacy, nie zrozu-

miawszy jednego z najprostszymi morskimi określeniami.

Podobnych omyłek mogłoby zaistnieć więcej. W języku morskim bowiem statek nie pływie, lecz „idzie”, „przychodzi”, względnie „wychodzi” w morze, nie zarzuca kotwicy, lecz „staje” na kotwicy i t. d. Również słowo „tramp” nie oznacza tu Londonowskiego włóczęgi, lecz po prostu każdy statek, który uprawia żeglugę nieregularną, czyli chodzi w t. zw. „dzikie rejsy”. Trampy greckie czy norweskie wychodzą nieraz w morze na kilka lat, pływając do tych portów, gdzie trafiały się im najkorzystniejsze ładunki.

Tramp SS „Kolno” nie od razu nosił nazwę mazowieckiego miasteczka, z którego miał rzekomo pochodzić poprzednik Kolumba, sławny odkrywca brzegów Labradoru, żeglarz Jan, zwany przez stare kroniki „Scolnusem”. Rudowłosek ten „urodził się” w roku 1937 i jako SS „Nordlicht” pływał w służbie niemieckiej aż do końca wojny. Wtedy to przejechali go Anglicy, którzy zgodnie z międzynarodową umową o podziale hitlerowskiej floty handlowej przekazali go Związkowi Radzieckiemu. Przez pewien czas pływał jako SS „Armarvir”, by wreszcie stać się jednym z pierwszych statków, otrzymanych w ramach reindustrializacji przez Polskę.

Przekazanie rudowłosego odbyło się w bardzo serdecznej atmosferze. Starszy mechanik „Armarviru” przekazał inżynierowi Janowi Cyglerowi maszynownię, marynarze radzieccy pokazywali polskim kolegom, jak należy podnosić i zamykać cztery przykrzywkowe, po 15 ton każda. Kapitan i starszy oficer radziecki zdali polskiemu kapitanowi wszystkie urządzenia statku. Podpisano protokół i powiewającą na rufie banderę radziecką zastąpiła biało-czerwona flaga P. M. H. Było to 21 kwietnia 1947 roku w porcie gdyniskim. W życiu statku rozpoczął się nowy okres.

Już w pierwszym roku eksploatacji „Kolno” wyróżniło się krótkimi postojami w portach, uniknięciem

jakiegokolwiek awarii i przewiezieniem większej ilości ładunku niż planowano. Statek przewoził nie tylko węgiel i rudę. Fracht za drobnicę jest kilkakrotnie wyższy, toteż kapitan bez wahania przyjmował każdy ładunek drobny, a załoga nie szczędziła trudu, by rudowłosek nie okazał się gorszy od drobnicowca. Dokładnie oczyszczając luki, wykładała je papierem i zabierała z portów szwedzkiej do polskiej margaryny, telefony, aparaty Ericksena. Aby zabrać partię wysokogatunkowego, sławnego wina „Samos” z zupełnie zniszczonej wojną przystani w Carlovasi na wyspie Samos, starszy oficer, Pinno, z kilku marynarzami wpłynął na szalupie w marcia przystań, naszkicował na podstawie sondażu plan portu, podając w przybliżeniu głębokości i powierzchnię manewrową wody i SS „Kolno” jako pierwszy po wojnie statek zawinął bez pilota do Carlovasi, zabrało ładunek i wyszło ponownie w morze bez najmniejszej awarii.

Albo taki powrót z Ballangen. „Kolno” zawinęło tam po piryry. Czynniki, nieprzyjazne naszemu ustrojowi, postarały się, aby charakter party opiewał jedynie na 1800 ton. W takim stanie rzeczy „Kolno” musiałoby przebyć trasę Północnego Atlantyku od Szpicbergu niemal do Gdańska z półładunkiem, co zwłaszcza w sztormowej porze zimowej jest bardzo niebezpieczne. Pod uderzeniami długiej, atlantyckiej fali wynurzają się wówczas z wody śruby i kingstony, co oczywiście bardzo utrudnia manewrowanie statkiem. Podczas ostatniej wojny transportowiec, który po dostarczeniu ładunku na Pólnoc, miał wrócić przez tamte morza z pustą ładownią, ładował choćby piasek, byle uniknąć przejazdu bez balastu. Rejsy balastowe są jednak również bardzo kłopotliwe, ponieważ załoga nie tylko traci czas na ładowanie piasku, ale także musi później przed zawinięciem do przystani cały ten ładunek wrzucić do morza.

Dzięki energii i inicjatywom marynarzy i oficerów SS „Kolno” udało

się jednak tych kłopotów uniknąć i mimo przeszkód zdobyć pełny ładunek. Gospodarka nasza zyskała na tym 20 tys. dolarów. Ponadto uzyskano dzięki pełnej ładowni całkowite zanurzenie rufy i śruby. Powrót wzdłuż skalistych wybrzeży norweskich, po wodach, gdzie niegdyś żeglował Jan z Kolna, wykazał, jak bardzo przydała się ta zapobiegliwość. „Kolno” zanurzało się w huczających i ociekających pianą falach niczym łódź podwodna. Po 7 dniach takiej żeglugi, walczącej z mrozem i sztormem, lecz nie zważając po drodze do żadnej przystani, dzielny tramp, obmarznięty lodem, wpłynął w ujście Wisły. Marynarze wrócili zmęczeni, lecz dumni, że rejs ich przyniósł rzetelną korzyść Ojczyźnie.

Zbysław Frąckowiak, młody Ślązak, pełniący na „Kolnie” funkcje oficera k. o., przynosi mi dziennik okrętowy. Odrzucam kartki i porządkuję go w lekturze.

## WSRÓD MIN I LODÓW

„Dnia 8 listopada 1949 roku, godz. 19.15 — usłyszano daleki wybuch i detonację z prawej burty. Jakiś parowiec... wyrzucił pocisk rakiety i nadawał SOS. Maszynę zatrzymano i zarządzono alarm ratowniczy i szalupowy dla całej załogi.

Godz. 19.17. Określono ponownie pozycję... i zbliżono się na 1 kabel do alarmującego statku. Był to parowiec szwedzki „Kattegat”.

Godz. 19.30 — 19.45. Zbliżono się tuż do SS „Kattegat” i nawiązano pertraktacje. Załoga „Kolna” wszystkich przygotowała do akcji ratowniczej. SS „Kattegat” wpadł na jakąś minę i został uszkodzony jej wybuchem.

Godz. 19.50. Wyjaśniono, że SS „Kattegat” zostaje na kotwicy... i czeka na holowniki ze Szwecji, dziękując i odmawiając przyjęcia naszej pomocy dla ich załogi, jak to: wzięcia rannych, dania lekarstw lub prowiantu; bądź dla statku: holowania lub asystowania.

ANNA GRABSKA

## „...Nasz monument surowy, nasz fronton koronkowy...”



Plaskorzeźba barokowa do sali koncertowej Instytutu Chopina (dawny pałac Ostrogskich)

Przy placu Zwycięstwa znajduje się grupa baroków. Z wnętrza dochodzi stuk młotków, a przez otwartą bramę podwórza widać bloki kamienne, rzeźby figuralne, fragmenty architektoniczne, rzeźby o nie wazony. Pod dachami letnich szop i wewnątrz baroków mieści się pracownia rzeźbiarska K.A.M.-u (Konserwacja Architektury Monumentalnej). Dotychczas wykonane tutaj prace to komplet zniszczonych figur Ogrodu Saskiego, parków w Wilanowie i Natolinie, parku i pałacu w Łazienkach, kilku kamienie Starego Miasta, fasad pałaców Potockich, Zamojskich, Czertwyrńskich i Branickich, Zamku Królewskiego, zamku Ostrogskich (obecnie Instytut Chopinowski), Kościoła św. Krzyża, co łącznie dało około 140 figur i plaskorzeźb, oraz około 200 sztuk detali rzeźbionych.

W chwili obecnej w opracowaniu jest 81 rzeźb — są to lukarny i akroteria do pałacu Branickich, oraz szereg rzeźb zamku Ostrogskich i kościoła św. Krzyża.

Olbrzymi to materiał i trudne zadanie dla rzeźbiarza. Musiał się on wczuć w epokę rekonstruowanych prac, odmienną technikę, przestać na całkowicie inne myślenie plastyczne.

Zniszczenia, jakim uległy rzeźby dekoracyjne związane kompozycyjnie z fasadami, są dwójakiego rodzaju: mechaniczne, od uderzenia pocisków lub upadku, i termiczne, spowodowane ogniem pożaru. Zniszczenia te o charakterze i nasileniu dają niespotykanym stworzyć całkiem nowe zagadnienia w rekon-

strucji. Normalne zniszczenia rzeźby powstałe wskutek działań atmosferycznych są bardzo powolne, znikome i przeważnie powierzchowne. Wystarczyło tu kitowanie, nasycenie kamienia, lub w wypadku daleko posuniętego zniszczenia powierzchni, i groźby zaniku formy, można było rzeźbę zdjąć i postawić w muzeum lub lapidarium.

Wobec zniszczeń wojennych metoda ta okazała się całkowicie nie wystarczająca. Kitowaniem nie da się uzupełnić brakujących rąk, głów czy nóg, które jako najbardziej wystające zostały najczęściej zniszczone. Trzeba tu uzupełnić brak materiału i odtworzyć na nowo formę. Poza tym doświadczenie wykazało, że uzupełnianie nawet małych wyrw kitem stwarza na rzeźbie klekasy, wyróżniające się innym materiałem i nie pasujące kolorem. Natomiast wszystkie wstawki z dobrze dobranego kamienia w krótkim czasie pokrywają się patyną i zrastają z całością. Nie następuje tu trudności sama technika obróbki kamienia, która jest bardzo stara i od czasu baroku właściwie nie zmieniła się. Używamy dziś tych samych co wówczas materiałów i tych samych narzędzi pracy. Zmieniło się natomiast samo podejście do zagadnień formy. Pierwsze rzeźby barokowe były kute bardzo śmiało. Kuł je sam artysta wykańczając dokładnie partie najważniejsze, a drugoplanowe zostawiając w stanie bardziej surowym. W XVIII i XIX w. śmiałość kucia zaczęła przechodzić w precyzyjny techniczny opracowania, ztracając świeżość formy. Przy czym tego było powolne przechodze-

nie kucia w kamieniu z rąk artysty w ręce rzemieślnika. Dziś rzeźbiarz robi model rzeźby, który przekazuje kto inny. W baroku prawa anatomii podporządkowywano prawom perspektywy, potrzebom kompozycji, dekoracyjności rzeźby i jej wyrazowi. Barok operował formą bogatą i żywą. Stwarzał on bardzo wrażliwy kontur, powierzchnię dającą bogatą wibrację i silne kontrasty światłocienia, oraz wyrazisty rysunek.

Zadania rekonstrukcyjne stawiane rzeźbiarzom są bardzo rozmaite — zależnie od stopnia zniszczenia rzeźby oraz znalezionej dokumentacji. Przy dużych lub całkowitych zniszczeniach rzeźby podstawą jej odtworzenia są fotografie, rysunki Tirregaille'a, obrazy Canaletta. Poważną pomoc w poszukiwaniach dokumentacji okazały pracownicy Główny Urząd Konserwatorski i Urząd Konserwatorski na m. st. Warszawy. W wypadku całkowitego zniszczenia i braku dokumentacji, rzeźbę komponuje się na podstawie znajomości stylu.



Supraport barokowy (pałac Ostrogskich)

Godz. 19.55. Odwołano alarm szalupowy i ratowniczy i kontynuowano dalszą podróż do Szczecina.

Ale nie był to jedyny egzamin, który przeszli zwycięsko. Jeszcze ciekawszą i znamienitszą próbę przeżyli w fiordzie Harsham, w jednym z małych, skandynawskich portów. Zawijanie do tych przystani nie jest rzeczą łatwą. Takie bowiem „porty” jak Husum, Domsjō, Kopmanholmen czy Harsham, to po prostu krótkie, zmurszałe pomoście o chwylających się palach, stojące w pobliżu jakiejś samotnej fabryki papieru czy tartaku i robotniczego osiedla, którego domki widniejące wśród skał i lasu przypominają raczej siedziby trólów — legendarnych skandynawskich królów. W przystaniach tych nie ma żadnych udogodnień technicznych. Statki rozładowuje się przeważnie windami pokładowymi. Gdy wieczna zima zakoscy tam statek, trzeba telegraficznie zwołać łodolamacz z Sztokholmu, Oslo czy Bergen, co jest oczywiście bardzo kosztowne.

Kiedy podczas takiej przedwczesnej zimy „Kolno” zawinęło do przystani Harsham, marynarze zobaczyli uwięzione tam przez lody fiordu trzy polskie statki: „Wisłę”, „Brygadę Makowskiego” i „Kutno”. Załogi ich na widok zbliżającego się „trampa” wylęły na pokłady.

— Czekaliśmy was jak zbawienia. Połamiecie lód, żebyśmy mogli wyostać się z tej pułapki! — wołał z pokładu „Wisły” stary wilk morski, Tuleja.

Marynarze są solidarni i chętnie pomagają sobie w potrzebie. Tym razem jednak w Harsham nie chodziło o zwykłą, koleżeńską pomoc. Od tego, czy polskim rudowłosem uda się wyzwolić z lodowej obcęży, zależało terminowe wykonanie planów. Załoga nie wałęsała się ani chwili. Teżące lody nie były dla rudowłosego groźne SS „Kolno”, przystosowane do żeglugi północnej, ma silne maszyny i specjalne przeciwładowe wzmocnienia.

Załogi „Wisły”, „Kutna” i niedawno spuszczonej z pochylni gdań-

skich „Brygady Makowskiego” z zapartym ichem siedzieli ostrożnie na nowej „Kolna”. Z kapitańskiego mostku rudowłosek biegł do „maszyny” rozkaz za rozkazem. Ludzie w maszynie wykonywali je szybko i sprawnie. Statek to posuwał się naprzód, to cofał, wykonując jakby figury jakiegoś tańca: zwinęto i niebezpiecznego Drobna nawet niedokładność w wykonaniu któregoś z tych „tancecznych ewolucji” mogłaby przecież skończyć się awarią. Mijały godziny, tramp pracował niestrudzenie. Łód rysował się, pękał i łamał z przejmującym chrzęstem. Z rozszarpanych się szczylin tryskała pluskocząca, ołowiana woda. Wielkie kry, sycające w ściekłości, rozstępowały się przed stalowym dziobem statku.

Lodowa obcęży, więżąca „Wisłę”, popuściła. Pierwszy z transportowców mógł wyjść ze swym ładunkiem na pełne morze. Ale rudowłosek nie przerywał pracy. Kiedy na horyzoncie ginał już dym „Wisły”, SS „Kolno” ciągle jeszcze łamał lód dokoła „Brygady Makowskiego” i „Kutna”, aby i one po załadunku mogły odplynać do kraju. Dzięki dzielnej załodze, nie zważającej na mroz i niebezpiecznym, umożliwiono trzem polskim statkom wydobycie się z matni i wykonanie planu, a Państwu zaoszczędzono znaczne sumy, gdyż sprowadzenie do tych odległych stron szwedzkiego łodolamacza pociągnęłoby za sobą duże koszty w dewizach.

Ludzie z „Kolna” opowiadają o przebiegu tej akcji ratowniczej niemal tak samo sucho i lakonicznie jak dziennik okrętowy o wydarzeniu na traswersie Rugii. W ich zwierzyńskich zdaniach daremnie by szukać napięcia i barwy tamtych trudnych chwil.

## TAJEMNICA JUBILATA

Rozmowa naszej towarzyszy bezustanny stukot młotków, „Kolno” bowiem odbywa właśnie z gdynijskiej stoczni swój czteroletni „urlop zdrowotny”, w ciągu którego zgodnie z wymaganiami Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Lloyd” dokonuje się generalnego remontu statku i naprawy najdrobniejszych nawet uszkodzeń. Stocznicy ostukują jak dzielnicy każdy centymetr stalowych blach kadłuba.

— Tym razem — wyjaśnia Frąckowiak — nasz pobyt w stoczni, trwający dość długo, jest podyktowany wymaganiami „Lloydu”. Jeśli bowiem chodzi o zwykłe remonty, to załoga stara się zaoszczędzić stocznicom roboty. Kiedy podejmiemy zobowiązania produkcyjne, jak np. ostatnie zobowiązania dla uczczenia święta 1-majowego nikt się nie wymigię od roboty, pomaga nawet steward gospodarczy. Konserwujemy bloki, opukujemy blachy z rdzy.

— Nie zapomnijcie powiedzieć o Mufce — wtrąca Domaradzki.

I znów dowiaduję się nowej historii. Płynąc z ładunkiem drobny na Morze Śródziemne, „Kolno” natknęło na Zatocze Biskajskiej straszliwy sztorm. Ogromne fale kołysały statek tak mocno, że cement, zalaszowany w papierowych workach w ładowni, pozwał w czasie gwałtownych przechyłów lasunek i osunął się na dno, pokrywając ładunek żelaza, przeznaczoną do Aleksandrii, pierwszego portu, do którego miał nasz tramp zawinąć w swym rejsie.

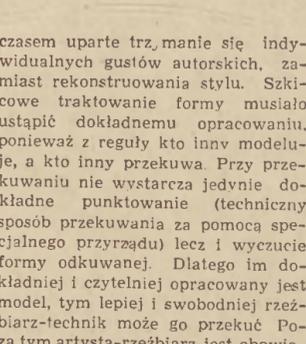
Kiedy sztorm minął, trzeba było powziąć trudną decyzję: czy iść w takim stanie do Aleksandrii, stracić tam co najmniej trzy doby na porządkowanie ładunku, zapłacić postojowe i wysoką robociznę ludziom z łądu, czy też zaryzykować natychmiastowe otwarcie ładowni? A podnoszenie przy wysokości fali 15 tonowych przymyki lukowych nie jest ani łatwe, ani bezpieczne. Mimo to ludzie z „Kolna” postanowili na naradzie otworzyć luki i uporządkować ładunek Statek kołował się mocno. W mrocznej ładowni stukłogramowe worki cementu jakby ożyły. Przesuwały się od burty do burty, próbowały wymykać się z rąk. Robota była ciężka i niebezpieczna. Trzeba było wyciągać całą uwagę, aby uskok czy na czas przed sunącym z groźnym szelestem cementowym pocięciem, aby nie dać się przynieść, aby nie potknął się przy przechyle statku...

I tu właśnie niezmiernym pracownikom okazał się bosman Mufka. Nawet wieczorem, kiedy inni odpoczywali już po trudnym dniu, on przygotowywał w ładowni dodatkowe „stropy” i „talie”, czyli uchwyty linowe, na których układa się worki warstwa za warstwą. Kolejczy jego, stanowiący następnego dnia znowu do niebezpiecznej pracy, mnił już robotę ułatwioną i mógł szybciej wykonać swe zobowiązanie. Odbiorca w Aleksandrii otrzymał do swej dyspozycji towar nie tylko uporządkowany, ale nawet oczyszczony z kurzu cementowego.

— Wtedy to zdobyliśmy po raz pierwszy przedchodni propozycję przewodnika PMH — wspomina ktoś z załogi.

„Kolno” może poszczycić się w swym bilansie niejednym takim osiągnięciem. Kiedy w czermu tego roku tramp ukończył swą setną podróż, przewodniczący ZMP na statku, Frąckowiak, przewertował 17 tomów okrętowego dziennika, aby stwierdzić, do jakich wyników doszedł „jubilat”. Okazało się, że przewiózł on 208 tys. ton ładunku, w tym 22 tys. ponad plan, że przeżył 110 969 mil morskich, co odpowiada 5-krotnemu okrążeniu równika, że przeż-

Popiersie barokowe (pałac Ostrogskich)



czasem uparte trzymanie się indywidualnych gustów autorskich, zamiast rekonstruowania stylu. Szcikowe traktowanie formy musiało ustąpić dokładnemu opracowaniu, ponieważ z reguły kto inny modeluje, a kto inny przekazuje. Przy przekazywaniu nie wystarcza jedynie dokładne punktowanie (techniczny sposób przekazywania za pomocą specjalnego przyrządu) lecz i wyczuwanie formy odkuwanej. Dlatego im dokładniej i cztelniej opracowany jest model, tym lepiej i swobodniej rzeźbiarz-technik może go przekuć. Poza tym artysta-rzeźbiarz jest obowiązany do nadzoru nad przekuciem modeli. Stwarza to współpracę rzeźbiarza modelującego z przekuwającym, bardzo korzystną zarówno dla dzieła jak dla obu współpracujących stron. Kierownikiem pracowni jest inż. Andrzejko. Nadaje on pracownikom kierunek, łącząc zrozumienie zagadnień techniczno-stylowych ze społecznym podejściem do zagadnienia. Zachęca artystów nie tylko do studiowania rekonstruowanej epoki, lecz i do jak najdalej idącej współpracy z rzeźbiarzami-technikami. Inicjuję wspólne dyskusje i referaty podnoszące poziom ogółu Pracowni wciągając do pracy młodzież wychowując i kształtując nowe, wartościowe kadry artystów. Otwarcie wystawy na terenie pracowni rzeźbiarskiej K.A.M.-u daje społeczeństwu możliwość zobaczenia nie tylko wykończonych już rzeźb, lecz i samej pracy. Zwiedzający będą więc mogli zaznaczyć się z zagadnieniami rekonstrukcji, a także zorientować w do robku kilku lat pracy i wspólnego wysiłku zespołu.

Anna Grabska

JERZY BRONKIEWICZ

# Pamiętnik lat młodości\*

**K**ażdy biograf marzy zazwyczaj o odnalezieniu i odczuciu pamiętników swego bohatera. Marzy o tym, by pamiętnik mówił prawdę, mówił jak najwięcej o bohaterze i jego czasie, by tłumaczył życie człowieka i odbił obraz epoki. Gdy brak pamiętnika, rękopisów, listów, jego początków, spójniczek, wspomnień, opowiadań, anegdoty — materiały losną, obryzają, tworzą gmachy erudycji, które w końcu, przy wadliwej konstrukcji, walą się z trzaskiem, grzebiąc pod swymi gruzami bohatera biografii, autora biografii i wszystkie ich wspólne sprawy.

Historia biografii Chopina liczy sobie takich kataklizmów zadziwiająco ilość. Czy ich autorzy mają na swoje usprawiedliwienie niezmierzony doświadczenia — nie wiem. Jak bowiem ogólnie wiadomo, innych materiałów jest dość. A poza tym... poza tym pamiętnik Chopina istnieje!

Informacja ta jest pózornie tylko sensacją, ogłoszona po raz pierwszy. Do pamiętników Chopina miały dostęp już od dzieciństw ludzi setki tysięcy jego entuzjastów — mówiąc po prostu: mieli dostęp do całej jego muzyki. Ona bowiem była owym pamiętnikiem, który mówił prawdę, mówił jak najwięcej o bohaterze i jego czasie, tłumaczył życie człowieka i odbił obraz epoki. Chronologia dzieł chopinowskich jest już dość dokładnie ustalona — należy sądzić, że znamy niemal wszystko co napisał. Nie znamy wszakże jego improwizacji, ale śmiem sądzić, że (wbrew wielu historycznym opiniom) nie jest to strata największa. To co wiemy o metodzie pracy Chopina każe nam po prostu wątpić w jego improwizację.

Ow pamiętnik zaś jest podczas lektury dziełem tak wymownym, tak pełnym, wręczającym bogactwem swych treści i porównującym swym patosem, że każdy kto go czyta, powoli, z uwagą, kartą po karcie, zrozumie wszystko to, co należy i co można mówić o Chopinie. Inna już sprawa — czy mógłby opisać „Młodość Chopina” — przemawia językiem owego właśnie pamiętnika. Węgieć: bo opowiadając tylko o latach młodości jest równocześnie skrótem, jest metaforą całego życia. Jeszcze więcej: bo w sposób pełny i piękny przemawia owym samym językiem. Z miejsca wyjaśniam, że nie myślę tu wyłącznie o znakomitych nagraniach Czerny-Stefańskiej. Od każdego zresztą nagrania zawsze będzie lepszy żywy koncert. Myślę o spotkaniach muzyki z obrazem i dramatem filmowym — doskonałych i pięknych spotkaniach.

Film jest tym uprzywilejowanym rodzajem sztuki, w którym (m. in.) można stosunkowo najpełniej ukazać wielką muzyczną indywidualność twórczą. Sprawa zresztą i tu jest bardzo trudna — nowa dramaturgia filmowa nie znała dotychczas cytatów muzycznych. Przelamują ją, gaszą, czasem tną — czasem dochodzą po prostu do zwykłych kurtyzacji. Twórca filmowy może odnieść się z pełnym szacunkiem tylko do większej miniatury muzycznej — do wielkiego dzieła cyklicznego nigdy. Dzieło takie zawsze musi ulec łagodniejszej lub surowszej tyranii dziejących się na obrazie spraw, cichnie wobec głośnego dialogu, traci się za siódmą górą czy dziesiątą ścianą. Tak zresztą w filmie fabularnym zawsze było, jest i będzie — i mowa tu nie o koncercie e-moll w „Młodości Chopina”. Prawa wyłącznie do koncertów, sonat, symfonii itp. pozostają na zawsze przy estradzie (bez względu na to, czy ową estradę udawać będzie jakikolwiek sprytny imitator w rodzaju płyty czy taśmy).

## Cztery opowiadania

(dokończenie ze str. 6)

ników. Ciągnęły nad rzeką, wzdłuż niej biegu powolnym, jakby nieprawym lotem. Samoloty oddaliły się i sładly daleko przed nami na łąkach. Ładowały ciężko jak gęsi.

— A to co? — spytał Tadeusz.  
— Do widzenia, panie Mateusz — powiedział Tadek, i kiedy oddaliliśmy się, odpowiedział mi na moje pytanie.

— Także... — powiedział Tadeusz i dodał po chwili: — Już myślałem o tym. On dostanie odszkodowanie. Będzie mógł zostać wartownikiem lub nawet magazynierem gdzieś na tej budowie. Potrzeba będzie masę ludzi... Stary nie jest analfabeta. Będzie mu łatwiej niż teraz...  
— Tak, tak — powiedział Mateusz. — Tak, tak, oczywiście.

Bohdan Czeszko

W „Młodości Chopina” twórcy spotkał muzyki z obrazem i dramatem poświęcili ogromną uwagę miniaturze muzycznej. Że zaś karty chopinowskiego pamiętnika mówią swą prawdą najpełniej i tak, że językiem miniatur — mieli pełne prawo do takiego właśnie wyboru. Najważniejsze zaś jest to, że dokonali go znakomicie.

Wymienia punkty najważniejsze: polonez, mazurek, dwie etudy. Historia tych form w twórczości Chopina jest zbyt bogata, by ją tu choćby szkicować. Ważne w filmie staje się to, że wybrane z młodości Chopina i ukazane w „Młodości Chopina” miniatury opowiadają historię rozwoju chopinowskiej muzyki — historię rozwoju jej treści, czyli jej wielkości. Filmmowy skrót Wielkiego Pamiętnika rozpoczyna się bardzo jeszcze młodzieńcym, konwencjonalnym, podziwianym ówczesną modą polonezem. Po polonezie — mazurku. Bogaty w prawdziwą lirykę, doskonały w formie, własny. Dalej zaś rozwija się już w pełni historia dochodzenia od modnego stylu bruliantu i od delikatnej, poetyckiej, lecz sentymentalnej jeszcze liryki do wartości w dziele chopinowskim największych: do dramatów — do tego, co Schumann nazywał „grozą i dzikością”, i co było istotnie wspaniałą grozą i dzikością walk epoki, walk, na które Chopin parzył, których głos posyłał sercem i talentem, którym dał później świadectwo niemal w wszystkich formach swej twórczości — od mazurków do sonat.

Historię „Młodości Chopina” zamykają dwie etudy, właśnie pełne „grozy i dzikości”. Tak więc wraz z opowieścią biograficzną rozwija się i dokonuje dramat twórcy.

Krytyka wspominała już o zaletach scenariusza. Należy jednak podkreślić raz jeszcze największą może zasługę scenarzysty i reżysera zarazem: siłą związków pomiędzy rozwojem opowieści o życiu młodego geniusza a jego rozwojem twórczym. Te bowiem spotkania obrazów życia z ich muzyką odbiciem stanowią najcenniejszą wartość „Młodości Chopina” i są wielkim sukcesem Aleksandra Forda.

Wiemy, jak pracował Chopin. Mówią o tym zarówno jego współcześni, naczyni świadkowie jego trudów — jak świadkowie po dziś dzień najmłodszej: manuskrypty pełne skreśleń, poprawek, nawrotów, dopracowywań się do najjaśniejszej myśli i najdoskonalszej formy. Proces twórczy dokonujący się z niezwykłym, boleśnym trudem. „Wielki improwizator” był w istocie zawziętym, z mazurem upartym cyzelatorem.

Jak oddać w filmie, jak ukazać ów trud? Dramaturgiczne prawa domagają się skrótu — metafory. Domagają się zresztą słusznie. Jakiej więc użyć metafory? (Przypo-

## W ZSEKCYJ TWÓRCZYCH ZLP

### O FILMIE „MŁODOŚĆ CHOPINA”

Dn. 5 maja br. w ramach prac sekcji dramatu odbyło się zebranie dyskusyjne, poświęcone filmowi „Młodość Chopina”. Referaty wygłosili Jerzy Bronkiewicz i Jerzy Topolitz. Pierwszy z referatów zajmujący się ogólnymi problemami muzyczno-artystycznymi, drukujemy powyżej.

Jerzy Topolitz poświęcił swój referat analizie filmowej „Młodości Chopina”. Główny nacisk położony został na zasadnicze pierwiastki nadające charakter filmowi, a więc na powiązanie twórczości kompozytora z muzyką ludową, na sposób ukazania atmosfery wizeruna rewolucyjnego, w której dojrzewa twórczość Chopina, na momenty dotyczące osobistego życia kompozytora, wreszcie sprawy jego postaci w filmie oraz plastycznej koncepcji filmu. Osobnym zagadnieniem zarówno w referacie jak i dyskusji była sprawa koncepcji sekwencji paraskiej.

W dyskusji zabierali głos: Jerzy Bronkiewicz, Aleksander Ford, Leon Kruczkowski, Jerzy Plątecki, Irena Miż, Piotr Borowcy, Jerzy Topolitz oraz jeden z widzów filmu, student Uniwersytetu Warszawskiego.

Naczelny problem dyskusji stała się sprawa postaci Chopina takiej, jaką ukazał ją film Forda, sprawa dramaturgii filmu, oraz zagadnienie zakończenia filmu. Mówiąc o postaci Chopina zarówno Jerzy Bronkiewicz jak i Topolitz z dyskusyjantów wskazywali, że Ford nie pokazał w swoim filmie charakterystycznych rysów błyskotliwej inteligencji Chopina, zubożając w ten sposób rysunek jego postaci. Odpowiadając na to zarządził, że Ford stwierdził, że w jego pojęciu Chopin nie powinien w filmie być człowiekiem, który światem podziwiał w swojej analizie. Pojęcie Chopina miało wyrażać funkcje polityczną w swojej epoce. Słuszny jest podział jej na dwa okresy, jaki sugerował Lichniak. Trzeba jednak uwzględnić, jakie było idowe podłoże przemian tej postaci. Weźmiemy twórcę sztuki przedwojenną, w którym zaniepokojenie, inteligentnego indywidualizmu i zbliżania w chaocie idei okresu międzywojennego. W miarę narastania faszyzmu następuje wyraźna radykalizacja postawy artysty. Jest to w dalszym ciągu postać indywidualistyczna, i młodość artysty, która nie daje się łatwo zmieścić w nurtu tego protestu, który i począwszy od roku „Okno bez krat” wiąże twórczość Słonimskiego wyraźnie z naszą literaturą realizmu krytycznego w okresie międzywojennym.

Referat Ławła podkreślił, że koncepcja Słonimskiego jest przedwojenną, którą Słonimskiego tkwiły w idealnym realizmie, od którego poeta poradził jednak po latach odejść. Przymiarnie kilka zamyśleń pod tym względem wierszy Słonimskiego („Hamletyzm”

Najwyższej dyskutowana była sprawa budowy dramatycznej filmu. Jerzy Plątecki w swoim wystąpieniu bronił stanowiska, że „Młodość Chopina” pozostaje dziełem wewnętrznego dramatu, spinające całość utworu — w zdecydowane klamry. Potwierdzające z tym stanowiskiem Irena Miż wskazywała na szereg konfliktów dramatycznych zawartych w poszczególnych scenach filmu. Piotr Borowcy dyskusi, a reż. Ford w podsumowaniu poddał krytyce twierdzenie o bezkonfliktowości tego filmu, wskazując jednocześnie, że zaawanturowany był dramat, którego ujęcie wynikało z tematu i materiału jakim posługuje się film, w którym osobiste przeżycia bohatera nie grają roli decydującej, natomiast dramat dojrzewa w rozwoju muzyki oraz towarzyszącej temu wizerunkowi filmu.

Wiele uzasadnionych zastrzeżeń wzbudziło zakończenie filmu, tzw. sekwencja parajska. Zarówno referent J. Topolitz jak i dyskusjanci zauważyli, że wprowadzenie tego zakończenia do filmu jest niecelowe z punktu widzenia kompozycji całości dzieła. Jednocześnie sama sekwencja parajska obciążona jest elementami symboliki, które zakłócają realistyczny wizerunek rewolucji. Odpowiadając na te zarzuty i broniąc swego stanowiska reż. Ford podkreślił, że jego zdaniem etiuda rewolucyjna, stanowiąca końcówkę, najwyższy akord filmu może być należycie zrozumiana przez widza dopiero na tle wypadków paraskich 192 r., kiedy w ich tle można należyte pojąć jej ideowy ładunek.

Na zakończenie należy stwierdzić z przykrością, że dyskusja dobiegła końca przy prawie zupełnej nieobecności literatury.

K. T. T.

**O TWÓRCZOŚCI POETYCKIEJ ANTONIEGO SŁONIMSKIEGO**

Tematem obrad sekcji poezji w dniu 7.V br. była twórczość poetycka Antoniego Słonimskiego. Paweł Herzig w zagajeniu dyskusji omówił to historycznie ne twórczości wiążąc ją z tradycją Jerzy Bronkiewicz i podkreślając odrębność stanowiska Słonimskiego w ramach grupy poetyckiej „Skamandria” oraz więzi z poetów dwudziestolecia międzywojennego. Ująwszy dość ogólnikowo humanistyczny charakter poezji Słonimskiego oraz jej doskonałość formą, referent określił ściśle jej funkcje ideowej i artystycznej na tle epoki współczesnej Słonimskiemu. Omawiając nową jenną i powojenną twórczość poety, Hertz postawił tezę, że jest ona nową zapieżd do twórczości okresu poprzedniego, wyrazem harmonijnego rozwoju artysty.

Dyskusję rozpoczął Zygmunta Lichniak, który podzielił twórczość Słonimskiego na dwa okresy. W pierwszym, młodzieńczym podkreślił rozdźwięk między pewną romantyczną deklamacyjnością i patosem wypowiedzi a tona i treścią, która w rzeczywistości nie usprawiedliwiała pretenzji poety do postawy romantycznej. „Przywódcy duchowego” społeczeństwa. W drugim okresie, znanionymu jako dojrzałość twórczą Słonimskiego, cechuje

za zanikają i poezji Słonimskiego cechuje harmonia między treścią a formą. Ryszard Matulewicz zaakcentował konieczność umiłowienia poezji Słonimskiego w ramach epiki, czego nie uczynił Hertz ani Lichniak w swojej analizie. Pojęcie Słonimskiego miało wyrażać funkcje polityczną w swojej epoce. Słuszny jest podział jej na dwa okresy, jaki sugerował Lichniak. Trzeba jednak uwzględnić, jakie było idowe podłoże przemian tej postaci. Weźmiemy twórcę sztuki przedwojenną, w którym zaniepokojenie, inteligentnego indywidualizmu i zbliżania w chaocie idei okresu międzywojennego. W miarę narastania faszyzmu następuje wyraźna radykalizacja postawy artysty. Jest to w dalszym ciągu postać indywidualistyczna, i młodość artysty, która nie daje się łatwo zmieścić w nurtu tego protestu, który i począwszy od roku „Okno bez krat” wiąże twórczość Słonimskiego wyraźnie z naszą literaturą realizmu krytycznego w okresie międzywojennym.

Referat Ławła podkreślił, że koncepcja Słonimskiego jest przedwojenną, którą Słonimskiego tkwiły w idealnym realizmie, od którego poeta poradził jednak po latach odejść. Przymiarnie kilka zamyśleń pod tym względem wierszy Słonimskiego („Hamletyzm”

Najwyższej dyskutowana była sprawa budowy dramatycznej filmu. Jerzy Plątecki w swoim wystąpieniu bronił stanowiska, że „Młodość Chopina” pozostaje dziełem wewnętrznego dramatu, spinające całość utworu — w zdecydowane klamry. Potwierdzające z tym stanowiskiem Irena Miż wskazywała na szereg konfliktów dramatycznych zawartych w poszczególnych scenach filmu. Piotr Borowcy dyskusi, a reż. Ford w podsumowaniu poddał krytyce twierdzenie o bezkonfliktowości tego filmu, wskazując jednocześnie, że zaawanturowany był dramat, którego ujęcie wynikało z tematu i materiału jakim posługuje się film, w którym osobiste przeżycia bohatera nie grają roli decydującej, natomiast dramat dojrzewa w rozwoju muzyki oraz towarzyszącej temu wizerunkowi filmu.

**W**iele uzasadnionych zastrzeżeń wzbudziło zakończenie filmu, tzw. sekwencja parajska. Zarówno referent J. Topolitz jak i dyskusjanci zauważyli, że wprowadzenie tego zakończenia do filmu jest niecelowe z punktu widzenia kompozycji całości dzieła. Jednocześnie sama sekwencja parajska obciążona jest elementami symboliki, które zakłócają realistyczny wizerunek rewolucji. Odpowiadając na te zarzuty i broniąc swego stanowiska reż. Ford podkreślił, że jego zdaniem etiuda rewolucyjna, stanowiąca końcówkę, najwyższy akord filmu może być należycie zrozumiana przez widza dopiero na tle wypadków paraskich 192 r., kiedy w ich tle można należyte pojąć jej ideowy ładunek.

Na zakończenie należy stwierdzić z przykrością, że dyskusja dobiegła końca przy prawie zupełnej nieobecności literatury.

K. T. T.

**O ZASADACH DOBRĘGO PRZERĘADU**

Na zebraniu sekcji przekładów w dniu 6 maja kol. Krystyna Tarnowska omawiała deinię i klasyczne już zasady sztuki dobrego przekładu, opublikowane przez angielskiego teoretyka z drugiej połowy XVIII w. Aleksandra Frazera Tyllera. Tezy te brzmią:

- 1) w przekładzie powinny być zawarte wszystkie myśli dzieła oryginalnego.
- 2) styl przekładu winien odpowiadać stylowi oryginału.
- 3) przekład powinien mieć wszystkie cechy sztuki oryginalnej, jej swobodę i naturalność.

Referentka rozwinęła szczegółowo każdą z tych tez z osobna, nawiązując przykładowo do pracy tłumacza w epoce współczesnej. Zarówno punkty tezywne interesującego referatu jak i uwagi marginesowe w sprawie przekładu, w dużym stopniu wzbudziły dyskusję, w której zabierali głos kol. kol. Bechczy-Rudnicka, Kowalewska, Komarnicka, Bułakowska, Mautersberger, Wisłowska, Szleyenowa i inni.

M. W.

## PROBLEMY BIBLIOTECZNE

(Dokończenie ze str. 3-ej)

W broszurze pt. „Co pisał i mówił Lenin o bibliotekach”, wydanej w 1950 r. w polskim tłumaczeniu przez „Książkę i Wiedzę”, Nadeżda Krupka przytacza słowa Lenina, wypowiedziane w rozmowie z Modestowem: „Włodzimierz Iljicz wyraził pogląd, że biblioteka i świetlica przez dłuższy czas, szczególnie na wsi, służą będą jako główne źródło i prawie jedyna instytucja do politycznego wychowania mas. oraz że praca w nich jest nader interesująca i jednocześnie odpowiedzialna”.

Bibliotekarzom polskim dobrze znane są te słowa. Obecnie bowiem jedną z najważniejszych spraw, stojących przed organizacjami zrzeszającymi bibliotekarzy, stanowi akcja wychowawcza, polegająca na wpojeniu świadomości — jak wielką polityczną rolę ma bibliotekarz do spełnienia. Bibliotekarze polscy korzystając z bogatych doświadczeń swych radzieckich kolegów stoją coraz chętniej, coraz powszechniej, nowe formy i metody pracy z czytelnikiem. Jak np. organizowanie wieczorów autorskich, wystaw, konkursów itp.

Nie znaczy to jednak, że w pracy naszych bibliotekarzy nie ma błędów, że idzie ona jak należy. Jest jeszcze bardzo dużo błędów, dużo niedociągnięć, pokutują starą nawykami. Jest co skrytykować w stanie bibliotekarstwa. Chodzi jednak o to, by krytyka pracy bibliotekarskiej była żywa, i — pomocna bibliotekarzowi.

Dziś, jeśli chodzi o niedomagania bibliotekarstwa, warto przypomnieć słowa Krupskiej, słowa pisanego w 1929 r. „Dobrze zająłmy sobie sprawę, jak ogromną wagę przykładał Lenin do sprawy bibliotek i świetlic, ale są towarzysze, którzy studiując dokładnie artykuły i przemówienia Lenina, zazwyczaj opuszczają te właśnie artykuły, a działają w terenie na każdym kroku ucinają złoźnie każdą kopiękę przeznaczoną na zakup książek, na utrzymanie biblioteki i bibliotekarzy”.

Słowa te są dla nas aktualne. Bo gdziekolwiek idziemy, słyszymy i nas niezrozumiało obwołują dla spraw bibliotekarstwa. Jak wytłumaczyć sobie takie fakty, że wiele Prezydium Rad Narodowych przypomniało sobie o istnieniu bibliotek wiedy, kiedy potrzebują pracowników do wydziałów lub referatów administracyjnych.

O niedocenianiu roli bibliotek i odpowiedzialnej pracy bibliotekarzy świadczą takie fakty, jak odbieranie bibliotekom lokalni na inne cele. W Gdyni zlikwidowano bibliotekę dziecięcą, a na jej miejscu otworzono jadalnię, gminnym bibliotekom odbiera się lokale na kancelarie sołtysów i wójtów, w lokalach bibliotecznych urzędnicy psunęli się psunęciem psów przeciwko wściekłości, wykorzystując się na rozdawnictwo bonów mięsno-huszczykowych itp. Był okres, że fala „rągów” bi-

bliotecznych przybrała w terenie takie rozmiary, że trzeba było zarządzenia II Zespołu przy Prezydium Rady Ministrów przypominającego Prezydium Rad dohosie znaczenie pracy bibliotecznej i zabraniającego tego rodzaju praktyk. Zarządzenie to nie wszędzie jednak jest przestrzegane. Już po jego ukazaniu się Zarząd Główny Związku Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich otrzymał listy z terenu, w których wskazywano na dalsze praktykowanie „rągów”.

od ich zajęć do prac takich jak liczenie główek kapusty, jak to miało miejsce w roku ub. w województwie gdańskim, żąda się oddegolowania „wg rozdziałnika” na kursy szkoleniowe, nie mające nic wspólnego z ich zawodem itp. Ten rejestr dziwołagów nie świadczy, że tak jest wszędzie. Świadczy on jednak, że na ogół terenowe władze i organizacje za mało rozumieją zadania bibliotek, nie pomagają bibliotekarzom w ich pracy nad krzewieniem czytelnictwa Fakty takie, jak podane wyżej, demobilizują bibliotekarzy, zniechęcają ich i są m. innymi przyczyną „ucieczki” od zawodu. Przepływowość kadr bibliotekarskich przybiera bowiem katastrofalne rozmiały. Wystarczy podać, że z 6000 bibliotekarzy gminnych przeszklonych na kursach organizowanych przez Centralny Zarząd Bibliotek pracuje za ledwie 2000 osób. Miejska Biblioteka im. L. Waryńskiego w Łodzi wymieniła w przeciągu 2 lat prawie 100 proc. personelu. Biblioteka Publiczna m. st. Warszawy notuje za rok 1951. przepływ kadr wynoszący ponad 60 proc.

Ten stan rzeczy musi w możliwie najkrótszym czasie ulec zmianie. Od przeszło stuetycznej reszsy bibliotekarzy i pracowników bibliotecznych należy wymagać wyżej, ale jednocześnie bibliotekarzy trzeba otoczyć opieką. Z bibliotekarzy musimy wykształcić nie tylko pedagoga, ale też pracownika politycznego. W tym celu należy moim zdaniem:

- 1) określić minimum wykształcenia ogólnego do pełnienia zawodu,
- 2) rozbudować zawodowe szkolnictwo bibliotekarskie,
- 3) dla bibliotekarzy pracujących już w zawodzie zorganizować szkolenie zawodowe i ideologiczne. Szkolenie to winno być zakończone egzaminem państwowym, tak jak to ma miejsce w zawodzie nauczycielskim,
- 4) trzeba wreszcie przystąpić do opracowywania na szerszą skalę pomocy metodycznych jak plany czytania, bibliografie zalecające, pomoce poglądowe itp.

Przydya Rad Narodowych winny być zobowiązane do dostarczania lokalni na potrzeby biblioteczne, tak jak są zobowiązane do dostarczania lokalni na potrzeby szkolne. Należy zerwać z błędnym mniemaniem, że biblioteka może mieć się byle gdzie, w suterenie czy dawnym prywatnym sklepiku. Trzeba pamiętać, że biblioteka tylko wtedy spełni swoje zadanie należycie, kady będzie miała odpowiednie warunki lokalowe. Dziś większość naszych bibliotek wykonuje zaledwie część tych zadań, jakie ma do spełnienia, właśnie z braku odpowiednich lokalni. Np. z tego względu, że większość wielkich bibliotek nie dysponuje obecnie odpowiednimi możliwościami „powierzchniowymi” trudne jest gromadzenie księgozbiorów. W takiej sytuacji są np. trzy największe biblioteki w Warszawie: Narodowa, Uniwersytecka i Publiczna.

\*

Na zakończenie tegorocznych „Dni Oświaty, Książki i Prasy” Centralny Zarząd Bibliotek i Zarząd Główny Związku Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich organizuje w dniach 29 i 30 b. m. ogólnopolski zjazd bibliotekarzy. Zadaniem zjazdu będzie podsumowanie dotychczasowych osiągnięć w dziedzinie organizacji sieci bibliotek powszechnych oraz przedyskutowanie stanu i potrzeb naszego czytelnictwa. Zjazd zastanowi się również nad stosowanymi do tej pory formami i metodami pracy bibliotekarskiej w upowszechnianiu książki i czytelnictwa, wskaze niedomogi tej pracy i wytyczy kierunki przyszłego działania.

Dalszym zadaniem zjazdu, w którym udział wezmą również przedstawiciele Związku Literatów Polskich i Centralnego Urzędu Wydawniczego, będzie nawiązanie ściślejszej współpracy bibliotekarzy z pisarzami oraz wskazanie na konieczność większej niż dotychczas koordynacji planu wydawniczego i polityki czytelnictwa i z zapotrzebowaniem czytelnika.

Bibliotekarze przywiązują ogromną wagę do tego zjazdu. Pozwoli on bowiem podsumować i krytycznie ocenić dotychczasową pracę oraz wysunąć postulaty, których realizacja będzie nieodzownym warunkiem dalszego rozwoju bibliotekarstwa.

Zbigniew Kempka

## KORESPONDENCJA

### O KSIĄŻKACH Z DWORSKICH ZBIORÓW

Moja — mówiąc „górnie” — służba książeczka zaczęła się w połowie października 1944 roku po wyzwoleniu naszych terenów. A było to tak. Wszędzie wstępne prace, zmierzające do przeprowadzenia reformy rolnej. Rezydenci opuszczają dworskie pokoje, komitety folwarcze działają pobieżniczo: posiadłości, meble, naczynia, narkotyki. W tymuym ongijs pokojach dworu w Czudcu dawna służba folwarcza, robotnicy dwórkowi, odbywają swoje narady, omawiające sprawiedliwy podział dworskiego mienia.

Ja — zabezpieczyłem cudzemu księgozbiór. Podobną robotę miałem w Bazyli, tylko że bezrozpoznawczy był większy i bardziej wartościowy. Po prostu cały pokój zawalony książkami. Warunki pracy zaoblegawczej trudniejsze. Snują się po pokojach różne intrygi, należy uupłynie, zaczepnie, jacyś wstąpieni spoj paa przedfrontowego. Przejrzałem przeto wszystkie księgi, wybrałem jedne bogużadłe. Nie czas zaliczać róż, kiedy lasy płoną”, Grube tony, „Die Kunst”, „Encyklopedii” Brockhousa, bajecznie ilustrowane zeszyty „L'illustration” są dobrą podstawą pod przykrótkie nogi starego fotela, spieniąją w niewłaściwe Lasory.

Przygotowuję w tym czasie, w roku akademickim 1944/45 przy Uniwersytecie Warszawskim Instytut Studiów Filozoficznych. Absolwenci tego studium otrzymują tytuł magistra i zgodnie z zamirowaniem przędą do pracy praktycznej lub pogłębiać będą naukę w dziedzinie nauk filozoficznych. Program studiów uwzględnia konieczność poznania podstaw nauk matematycznych i przyrodniczych i społeczno-historycznych przy równoczesnym pogłębieniu znajomości jednej z szczególnych nauk Studia filozoficzne siedzą w ramach filozofii na dw. etapach po 5 semestrów każdy, etap ogólnokształcący i etap specjalizacyjny. Po rzetelnym przygotowaniu ogólnofilozoficznym student będzie mógł specjalizować się w obranej przez siebie gałęzi filozofii. Zagadnienia specjalizacyjne jest studentem w charakterze aspiranta.

Program studiów uwzględnia konieczność poznania podstaw nauk matematycznych i przyrodniczych i społeczno-historycznych przy równoczesnym pogłębieniu znajomości jednej z szczególnych nauk Studia filozoficzne siedzą w ramach filozofii na dw. etapach po 5 semestrów każdy, etap ogólnokształcący i etap specjalizacyjny. Po rzetelnym przygotowaniu ogólnofilozoficznym student będzie mógł specjalizować się w obranej przez siebie gałęzi filozofii. Zagadnienia specjalizacyjne jest studentem w charakterze aspiranta.

Ocalaliśmy księgozbiorem należało zabezpieczyć przed jego wywiezieniem. Przetrzeźniłem grubo ponad dwa tysiące, z trzech dworów: Babicy, Czudca i Nowej Wsi Czudeckiej. Ktoś tam przyjechał, ogoladł, coś tam zabrał, poleciał zwinentować i na tym koniec. Zapewniam jedynie, że książki powędrują na wyższe uczelnie, nie razże trafiły nieuzasadnio do rzeszowian, nie razże trafiły nieuzasadnio do rzeszowian. W okresie tegorocznego marca. W okresie prawie trzyletnim rozmawiałem o ich losie z kierownikiem Referatu Bibliot. w Rzeszowie, lecz bez wyniku. Podobno w całym Rzeszowie nie było miejsca na ich przechowanie. Sprawy były więc w Szkole Ogólnokształcącej st. II, bądź też ich przetrzyli gabinet Urzędu Stanu Cywilnego w Czudcu. Nareszcie na wiosnę tego roku nastąpił przełom. Przynożyła zbierał instruktor KW PZPR, wbrał kilkanaście dzieł, ilustrujących stosunki społeczno-polityczne w poprzedzonym okresie od połowy XIX wieku aż do końca II wojny światowej. Zobowiązał się zainteresować księgozbiorem te czynniki, które w tej dziedzinie miały głos decydujący. Istotnie za kilka dni zjechała kuusobowa ekipa z Woj. Referatu Bibliot. i... od razu miejsce na książki się znalazło.

M. W.

### O ZAŁOŻENIACH I PROGRAMIE STUDIUM FILOZOFICZNEGO

Jednym z warunków socjalistycznej przebudowy naszego kraju jest upowszechnienie filozofii marksistowskiej jako wytyczonej działalności mas ludowych. Tym się tłumaczy wstępujące zapobiegowanie na każdy wysoki kwalifikacyjny wieloletni, wznoszący się do poziomu — marksistowskiej. Pracownicy tacy poszukiwani są przez wszelkiego typu placówki szkoleniowe, przez szkoleniowo średnie i wyższe, instytucje wydawnicze i prasowe. Przed pracownikami tymi otwierają się szerokie możliwości twórczej pracy naukowej.

Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego uruchamia w roku akademickim 1944/45 przy Uniwersytecie Warszawskim Instytut Studiów Filozoficznych. Absolwenci tego studium otrzymują tytuł magistra i zgodnie z zamirowaniem przędą do pracy praktycznej lub pogłębiać będą naukę w dziedzinie nauk filozoficznych.

Program studiów uwzględnia konieczność poznania podstaw nauk matematycznych i przyrodniczych i społeczno-historycznych przy równoczesnym pogłębieniu znajomości jednej z szczególnych nauk Studia filozoficzne siedzą w ramach filozofii na dw. etapach po 5 semestrów każdy, etap ogólnokształcący i etap specjalizacyjny. Po rzetelnym przygotowaniu ogólnofilozoficznym student będzie mógł specjalizować się w obranej przez siebie gałęzi filozofii. Zagadnienia specjalizacyjne jest studentem w charakterze aspiranta.

Program studiów uwzględnia konieczność poznania podstaw nauk matematycznych i przyrodniczych i społeczno-historycznych przy równoczesnym pogłębieniu znajomości jednej z szczególnych nauk Studia filozoficzne siedzą w ramach filozofii na dw. etapach po 5 semestrów każdy, etap ogólnokształcący i etap specjalizacyjny. Po rzetelnym przygotowaniu ogólnofilozoficznym student będzie mógł specjalizować się w obranej przez siebie gałęzi filozofii. Zagadnienia specjalizacyjne jest studentem w charakterze aspiranta.

Stanisław Król

Jerzy Rudzki

# U PRZYJACIÓŁ

W jednym z filmów na przykład scena spotkania kochanków zakrawa na parodię. Nie widzieli się pięć lat. Chłopiec na froncie pewnie nieraz rozmyślał, czy sądzone mu będzie objąć ukochaną? I kiedy wreszcie oboje spotykają się, po krótkim i czysto formalnym powitaniu, ukochany mówi coś w tym rodzaju: „Witaj, moja droga. Jakli tu wspomniał owies?”

Można z góry przewidzieć zarzut: miłość w utworach literackich przedstawiana jest bezbarwnie, dlatego że autorzy najwięcej uwagi i wysiłku poświęcają zasadniczemu problemowi: wielkiemu budownictwu.

Czy takie przeciwnie jest słuszną? Czyż radość kochania nie pomnaża sił, nie uskrzydla każdego z nas — i murarza, i profesora?

Na łamach pism literackich w ZSRR toczy się obecnie gorąca dyskusja nad zagadnieniem obojętności krytyki wobec sprawy jakości dzieła sztuki. Na łamach „Literaturnoj Gazety” głos w tej dyskusji zabiera S. Gajarian.

— Gdzie tu ocena jakości pracy pisarza? — pyta czytelnik przeglądający niektóre wystąpienia krytyków w prasie.

Rzeczywiście krytyka często pomija milczeniem zagadnienia formy artystycznej, uważając je za trzeciorzędne, albo też traktuje je pośpiesznie i marginesowo.

Obok krytyki, która unika (przez kumoterstwo albo z lekku) dawania konkretnej oceny utworów, nie mniejszym złem jest krytyka obojętna wobec zagadnień artystycznych.

Jeśli krytyk pierwszego rodzaju stara się nie zauważać braków, to drugi nie widzi w ogóle spraw jakości. Jeżeli w pierwszym wypadku krytyk jest bojaźliwy, to w drugim jest zapalczywy i uparty w swoim dogmatyzmie. Krytyk taki będzie bardzo starannie zestawiał tematy, omawiać je, ale przy tym nie powie ani słowa — o artystycznej stronie pracy.

Kiedy czyta się podobne krytyczne artykuły, nigdy nie można poznać, czy dobra jest książka, o której mowa, czy zła, w czym jej wdzięk, czym różni się od innych, na czym polega kunszt pisarza, jakie są granice jego talentu i miejsce w literaturze?

Ignorując specyficzne zagadnienia sztuki, krytyka zmniejsza swoje własne możliwości. Zważa się pole widzenia krytyki, co w końcu zabuza i prymitywizuje poglądy na literaturę. Zapominając o specyfice formy artystycznej nie rzadko doprowadza krytyków do niesłusznej oceny utworu. Przykładem takiej krytyki są niektóre artykuły zamieszczone ostatnio w miesięczniku „Zwiewda”. Np. I. Konstantinowa („Zwiewda nr 2” w artykule „O konfliktach prawdziwych i rzekomych” zinnu) i surowo przygotowuje powieści i opowieści, rozpatrując je tylko jako zbiór tematów i konfliktów...

Krytyka, która pomija milczeniem zagadnienia formy, się skłodziła w dwu względach: po pierwsze żarząca fałszywymi poglądami czytelników, a po drugie — nie jest żadną pomocą dla pisarza.

A przecież, kończy swój artykuł Gajarian, obowiązkiem i zadaniem krytyki jest pomagać pełnemu i głębokiemu odzwierciedleniu piękna życia w sztuce.

## Na Ukrainie Partia opiekuje się młodymi pisarzami

Z roku na rok szeregi ukraińskich pisarzy powiększają się o młodych prozaików, poetów, dramaturgów i krytyków. Nie dzieje się to jednak żywiołowo. Ogromną rolę w kształtowaniu nowych kadr odgrywają liczne Koła Młodych Pisarzy. Tu właśnie uczą się i rosną ideowo młodzi pisarze.

Życie pokazało, że organizowanie młodych pisarzy przy oddziałach Związku — to jedna z dających najlepsze rezultaty form pracy z młodymi autorami. W latach powojennych jeden tylko oddział w Dniepropietrowsku wychował takich pisarzy jak O. Gonczar, laureat Nagrody Stalinowskiej, S. Zawgorodnyj, F. Isajew i wielu innych.

Organizacje partyjne Ukrainy okazują wielką troskę o wychowanie młodych kadr literackich. Z inicjatywy Winnickiego komitetu KP(b)U kilkakrotnie czytano i dyskutowano wśród kołchoźników i pracowników partii sztuki miejscowego młodego dramaturga P. Zarudnego. Dyskusje te pomogły autorowi w udoskonaleniu swoich utworów zarówno pod względem ideologicznym, jak i artystycznym. Podobnych przykładów można przytoczyć bardzo wiele. A właśnie takiej troski o młodych początkujących pisarzy brak często ze strony Związku Głównego Zw. Literatów Ukrainy i komisji do spraw pracy z młodymi kadrami.

Wychowywanie młodych pisarzy, pomoc organizacyjna i twórcza dla organizacji literackich powinna stać się przedmiotem codziennej i gorącej troski ze strony Związku Pisarzy Ukrainy, wszystkich jego oddziałów i każdego pisarza oddzielnie — twierdzi M. Stelmach w „Literaturnej Gazecie”.

## Sprawa miłości w literaturze radzieckiej

Słynna lotniczka i pisarka radziecka W. Gerasimowa pisze w artykule pt. „Wielka Miłość”:

W jednym z opublikowanych w „Literaturnej Gazecie” listów czytelnik Z. Chmielecki, wykładow-

ca wyższej uczelni, wyraża zdumienie, dlaczego „w sztukach naszych często bywa tak: „Bohater czy też bohaterka pokazani są żywo i ciekawie... póki zajmują się sprawami zawodowymi. A jak tylko zacznie taki bohater mówić o miłości... od razu na oczach widza robi się mdy i nudny”.

Można tę uwagę adresować do autorów najprzeróżniejszych utworów.

## W KRAJU

### WIEJSKI FESTIWAL MUZYKI PIEŚNI I TAŃCA

odbył się z okazji Dni Oświaty Książki i Prasy w Brzegu na Opolszczyźnie. Obok wieloletniej rzeszy autochtonów ogromny amfiteatr wypełniły delegacje z wielu innych województw — łącznie zebrano się 20 tys. widzów. Minister Kultury i Sztuki — Dybowski w przemówieniu swym zobraził dorobek kulturalny Polski Ludowej. W Festiwalu wystąpił m. in.: zespół artystyczny Liceum Pedagogicznego z Opola, orkiestra symfoniczna Polskiego Radia pod dyrekcją G. Fitelberga oraz zespół ludowy pieśni i tańca „Mazowsze”.

### W POLSCĘ NA 1 BIBLIOTEKĘ PRZYPADA 2800 MIESZKAŃCÓW, W USA — 20.331

— zajmujemy w skali światowej drugie miejsce po ZSRR (2.197 osób). W Anglii na 1 bibliotekę przypada 4300 mieszkańców, w Japonii — 70 tys.

### OK. 2300 TYS. EGZ. WYNOŚI DZIŚ NAKŁAD PRASY MŁODZIEŻOWEJ I DZIECIĘCJ

— tzn. tyle, ile w Polsce przedwzrostowej osiągał ogólny jednorazowy nakład dzienników i czasopism. Ogólny nakład jednorazowy prasy w Polsce Ludowej wyniósł w r. 1949 — ok. 10 mln. egz. (z tego na wieś przypadało 2,5 mln. egz.), w r. b. — ponad 16 mln. egz. (z tego na wieś przypadało ponad 5 mln. egz.)

### NARADA KOLPORTERÓW PRASY

z powiatu i miasta Kielce wykazała, jak wielki wpływ na wzrost liczby prenumeratorów wywiera działalność kolporterów i listonoszów. Oto np. kolporter Kieleckich Zakładów Wyrobów Metalowych, Franciszek Meła, zdobył w r. b. 3.163 prenumeratorów „Trybunu Ludu”, „Woli Ludu” i „Głosu Pracy”. Ponad 1.000 nowych prenumeratorów — chłopów — taki jest wynik pracy listonosza wiejskiego Piotra Wojtyły z Masłowa. Kolporter — ZMP-owiec W. Krypczyński, zobowiązał się dla uczczenia Złotu Młodych Przewodników - Budowniczych Polski Ludowej, zdobyć do 22 lipca b. r. — 250 nowych prenumeratorów „Sztandaru Młodych”.

### „WZRUSZENIE MNIE OGNIA NA MYŚL, ŻE JA, SYN CHŁOPA PANSZCZYŹNIANEGO, DOZYŁYM CZASÓW, W KTÓRYCH NA MIEJSCU DAWNYCH KARCZEM I OBERŻY STAWIANE SĄ DOMEK KULTURY,

w których książki i gazeta staje się chlebem powszednim każdego z nas” — powiedział 89-letni chłop malorolny Antoni Ślędz, najstarszy mieszkaniec wsi Kamiona pow. Skiernewicka, podczas uroczystości otwarcia w tej wsi wzorcowej świetlicy gromadzkiej. Świetlic takich otwarto ostatnio w województwie łódzkim osiem.

### KUTEK CZY KUTER?

Do opublikowanego w 16/17 nr Nowej Kultury artykułu pt. „Literatura marynistyczna” wkrađo się parę błędów.

Wyliczam: 1) W jednym zdaniu literat-marynista nazywa się Tułega, a w drugim Tułega, podczas gdy w rzeczywistości nazywa się zupełnie inaczej, bo Tułaga. 2) Bohatera broszury — racjonalizator Madyckiego autor nazwał Madryckim. 3) Autora książki „Oczyma marynarza” Bałcerka nazwano Bałcerzkiem, podając przy tym, że pochodzi on z zawiera barwne reportaż o tematyce zaczerpniętej głównie z rejsów śródziemnomorskich”. Zapytuję: czy Szwecja, Brazylia, Argentyna, Indie, Leningrad, Gdańsk i Chińska Republika Ludowa — położone są nad morzem Śródziemnym? Zapytuję dlatego, że ze wspomnianych krajów pochodzą reportaż zawarte w tej książce. To nie wszystko.

Przewertowałem wszystkie listy i Wybrzeź słowniki morskie, skłajając bez skutku znaczenia wyrazu „morskie” — k u t e k. Bowiem — wg wersji, zawartej w omawianym artykule — powieść dziennikarza gdańskiego Badkowskiego nosi tytuł „Kutek na strażdzie”. Po szeregu drastycznych nieco różnów na ten te-

# TYGODNIA

### W CIĄGU JEDNEJ GODZ. SPZEDANO 5 TYS. LOSÓW LOTERII KSIĄŻKOWEJ

podczas kiermaszu książki i prasy w Radomiu w dniu 11 b. m.

### STOISKA Z KSIĄŻKAMI W KOPALNI IM. THOREZA

w przerwach między zmianami obiegane są przez górników. Ostatnio w ciągu 2 godz. popołudniowych rozsprzedano tam książki na sumę 1.500 zł.

### KOLEGIUM REPERTUAROWE

przy Centralnym Zarządzie Teatrów, Oper i Filharmonii powołał Minister Kultury i Sztuki. Do zadań kolegium należy m. in. opiniowanie i kwalifikowanie sztuk teatralnych, ze szczególnym uwzględnieniem polskich sztuk o tematyce współczesnej oraz współpraca w opiniowaniu planów repertuarowych. W skład kolegium wchodzi: J. Pański — przewodniczący, O. Axer, W. S. Balicki, E. Csato, B. Dąbrowski, J. Iwaszkiewicz, J. Kott, J. Pomiąrowski, L. Schiller, A. Tam i J. Wilczek.

### FESTIWAL FILMÓW CZECHOSŁOWACKICH

rozpoczął się 15 b.m. W okresie do 28 b.m. 26 kin wyświetla wyłącznie repertuar festiwalowy. Ponadto w 652 kinach miejskich i wiejskich wyświetlane są inne filmy produkcji CSR.

### 220-OSOBOWY ZESPÓŁ ARTYSTYCZNY ARMII CZECHOSŁOWACKIEJ

przybył 15 b.m. do Polski. Zespół składa się z chóru, baletu i orkiestry. Nosi on miano Víta Nejedlégo, który w r. 1942 przy tworzących się na ziemi radzieckiej pierwszych jednostkach odrodzonej Armii Czechosłowackiej utworzył zespół artystyczny.

Obecnie kierownikiem zespołu jest ppłk. Rohan. Program zespołu zawiera m. in. obok czeskich i słowackich pieśni ludowych i żołnierskich — pieśni radzieckie i polskie („Marsz I Korpusu” oraz ludowe piosenki: „Fużarka”, „Pognała wołki” i „Umarł Maciek”). Zespół taneczny rozwija m. in. nowy rodzaj sztuki tanecznej — tańce żołnierskie. Zespół wystąpił już w Warszawie, następnie występy odbędą się we Wrocławiu, Szczecinie, Gdańsku oraz na letnich obozach jednostek WP.

### OBCHÓD 45-LECIA PRACY ARTYSTYCZNEJ WALERIANA BIERDIAJEW

jednego z najwybitniejszych polskich dyrygentów — odbył się 20 b.m. w Poznaniu. Jubileusz był połączony z premierą „Straszego dworu” Moniuszki w nowej inscenizacji L. René.

### SPROSTOWANIE

W sprawozdaniu „O poetę żydowskiej w Polsce” (Nowa Kultura, nr 19 (111) z dnia 11.V.1952) zakradł się błąd. Autorem wiersza pt. „Stalin przysięgł i leninowi” jest Lejb Morgentau, a tłumaczem Juliusz Saloni. Autor wiersza miał udział w posiedzeniu, na którym został Safirin wiersz wymieniony recytował. Lejb Morgentau Juliusz Saloni



### RÓŻNICE PRAWNE (Les Lettres Françaises)

Amerykański aktor filmowy Errol Flynn podał do sądu miliardera amerykańskiego Duncana Mac Martina, który uderzył go kilkakrotnie po twarzy będąc w nietrzeźwym stanie.

Errol Flynn zażądał 80 milionów tytułem odszkodowania za poniesioną stratę moralną. Znaleźli się jednak świadkowie, którzy zeznali, iż miliarder tylko „poklepał go przyjaźnie po policz-

ku”. Wobec tego Flynn otrzymał tylko 14 milionów odszkodowania. Kosztowna przyjaźń.

### OSTATNI RAPORT BECKA

Panowie Michał Lubiński i Tadeusz Schaezel, podczas ery bekowskiej najwieźniejsi urzędnicy biurokracji, wydali w Edition de la Baconnierre w Neuchatel grubą książkę, na którą obok ich wstępów oraz licznych cytatów z dokumentów urzędowych składają się

### „DZIEŃ RADZIECKIEJ LITERATURY”

organizowany corocznie przez Związek Pisarzy Radzieckich odbędzie się 1 czerwca w Centralnym Parku Kultury i Wypoczynku im. Gorkiego w Moskwie. Około 100 pisarzy wygłosi tego dnia prelekcje na temat udziału świata kultury w walce o pokój, oraz zapozna czytelników ze swoimi nowymi utworami.

### POWIEŚĆ WŁADYSŁAWA ORKANA

pt. „Komornicy” ukazała się w przekładzie rosyjskim nakładem Państwowego Wydawnictwa Literaturnego Pięknej ZSRR.

### AKADEMIĘ NAUK

postanowił utworzyć rząd koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Specjalna Komisja przystąpiła do prac przygotowawczych. Otwarcie Akademii nastąpi 15 sierpnia b.r.

### W BERLINIE ZACHODNIM

Tow. Krzewienia Współpracy Kulturalnej i Gospodarczej z Polską im. Helmuta von Gerlach zorganizowało wieczór artystyczny, poświęcony Polsce. Członkę delegacji niemieckiej, która odwiedziła w marcu b.r. Polskę, Oskar von Armin, opowiedział zebrałym o swoich wrażeniach z pobytu w Polsce, następnie wybitni artyści berlińscy wykonali utwory kompozytorów polskich, a aktorzy scen berlińskich recytowali wyjątki z dzieł pisarzy polskich.

### PARYSKI TEATR L'AMBIGU

przygotował do wystawienia nową sztukę Rogera Vailland pt. „Pulkownik Foster przyznaje się do winy”. Sztuka, którą reżyserował Louis Daquin, piętnuje najazd amerykański na Koreę. W ostatniej chwili prefektura północy zakazała odbycia próby generalnej sztuki pod pretekstem rzekomego braku pewnych urzędzeń zapewniających bezpieczeństwo publiczności w teatrze.

### KONCERT DLA UCZCZENIA 54 ROCZNICY URODZIN PAULA ROBESONA

został zorganizowany w Nowym Jorku. Koncert odbył się, mimo tego że pod naciskiem władz właściciele ogromnej sali w centrum miasta unieważnili kontrakt. Przed występem Robesona odczytano liczne telegramy od bojowników o pokój ze Stanów Zjednoczonych i ze wszystkich krajów Europy.

### ZA GRANICĄ

#### „100 LAT REALIZMU W MALARSTWIE POLSKIM”

— 17 b.m. została otwarta w Moskwie wystawa zorganizowana przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz Komitet Współpracy Kulturalnej z Zagranicą. Wystawa obejmuje dzieła reprezentujące polskie malarstwo realistyczne i rzeźbę z okresu od połowy ub. stulecia do chwili obecnej. W związku z otwarciem wystawy do Moskwy przybyła delegacja polska z wicemin. Sokorskim na czele.

#### ANTONI MARIANOWICZ

### REFLEKSJE NA TEMAT ZNACZENIA WYRAZÓW

Tygodnik „Dziś i Jutro” poświęcił ostatnio sporo uwagi mojej skromnej twórczości. Pochlebiam mi to tym bardziej, że „Dziś i Jutro” ocenia mnie negatywnie. Polemizowanie z tą oceną nie leży oczywiście w moich zamiarach. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na kilka zawartych w recenzjach sformułowań. Ważne jest bowiem, jak stwierdził pewien subtelny myśliciel, nie tylko to, co się pisze, ale i jak się pisze.

Przed kilkoma miesiącami „Dziś i Jutro” zamieściło recenzję z mojej książki „Bez pardonu”. Tytuł recenzji podpisał przez pana G. K. brzmiał: „Blaski i cienie satyry politycznej”. W jednym z ostatnich numerów tegoż tygodnika pan J.D. H. poświęcił teście książkę (oraz książkę W. L. Brudzińskiego „Małe pranie”) felietonik pod błyskotliwym tytułem „Pranie choć małe, ale bez pardonu”. Już pierwsze zdanie tej recenzji objęła pod nazwiskiem zycznych refleksji:

„Dwa pozornie różne co do swej zawartości tomiki „Biblioteki Szpilek” łączy jedna wspólna cecha: postawiły one sobie za zadanie ZDYSKREDYTOWANIE w oczach polskiego czytelnika stosunków i stylu życia panujących poza tzw. „żelazną kurtyną”.

Słowo „dyskredytowanie” posiada określony sens. Pochodzi ono od czasownika „dyskredytować” i znaczy (patrz „Słownik Języka Polskiego” Karłowicza, Kryńskiego i Niewiadomskiego): „pozbawiać kogoś zaufania, wiarygodności, dobrej sławy, psuć komuś opinie”. Pan J.D. H. sugeruje zatem, że dolarowe stosunki i styl życia cieszą się zaufaniem i dobrą sławą u polskiego czytelnika. Czy recenzent „Dziś i Jutro” nie ocenia aby polskiego czytelnika

zbyt pesymistycznie (albo zbyt optymistycznie — w zależności od punktu widzenia)?

„W satyrach Marianowicza — pisze dalej pan J. D. H. — skala uczuć waha się od gniewu i obrzydzenia do uśmiechu — brak tu tylko pabłażenia”.

Pobłażania dla kogo? Wiersze moje wymierzone są przeciw Trumanom i Mac Arthurom, przeciw mordocem dzieci koreańskich i heroldom nowej rzezi światowej. Ale cóż. Widać, że pan J. D. H. to człowiek o prawdziwie gołęmbim sercu.

Pan J. D. H. ma pretensję do mnie i do Brudzińskiego, że nie czepiamy „materiału wprost z życia krajów”, które chcemy potępić. Przypomnę, że nie byłem w Stanach Zjednoczonych. Nie widzę zresztą powodu, abym pisząc wiersz np. o Mac Arthurze musiał wprawdzie spędzić parę tygodni w jego czarującym towarzystwie, lub obejrzeć domek, w którym ten wielki maż stanu i strateg urządził światło dzienne. Nie czuję się również zdruzgotany zarzutem, że operam któryś z moich wierszy na korespondencji z „Trybunu Ludu”, lub że wtóruję „ogólnej akcji przeciw dzolerom”. Trudno. Taki już jestem i nie dam się nawrócić przez misjonarzy z „Dziś i Jutro”.

Zastanawiałem się, dlaczego „Dziś i Jutro” zaatakowało powtórnie zbiór moich wierszy i to we wspólnej recenzji z tomem felietonów i humoresk Brudzińskiego. Sprawa ta stała się dość jasna, gdy z pewnym opóźnieniem trafiła do moich rąk recenzja pana St. n'sława Zyglicha z programu Teatru Satyryków, zamieszczona na łamach tegoż tygodnika. Pan Zyglich pisze:

notatki Becka z okresu jego internowania w Rumunii.

Z książki zarytułowanej pretensjonalnie „Dernier rapport” (Ostatni raport) widać, że Beck, który nigdy nie grzeszył skromnością, co do swojej osoby, i po roku 1909 podobał — jeżeli chodzi o brak skromności — wierny sobie. Sens jego wynurzeń, mało zresztą oryginalnych, sprzawdza się mniej więcej do tego: polska polityka zagraniczna ostatniego pięcioletcia międzywojennego była bezgłoga.

Ten megalomanijski ton Becka, który do końca swego życia niczego się nie nauczył i niczego nie zrozumiał, obrzucił nawet człowieka politycznie tak do Becka zdziżonego, jak był ambasador Francji w Warszawie, Bled. Pisze on o „Ostatnim raporcie”, „Szczególnie niebezpiecznie oczyżny nie zniechęcał bynajmniej poglądom Becka i nie naruszyło bezwzględnie wiary we własną nieomylność, rozważonej w nim przez pończobow, spośród których jeden pisar kilka lat przed wojną: Cecha polityki pułkownika Becka jest, że nie myli się o nigdy”.

Umawiając „Ostatni raport” na łamach łonajńskich „Wiaromości” stały cynik eńuecki i szalbierz polityczny zasniasy siromski pokpiwa sobie z Becka oświadczając, że właśnie ta tego wietnosc Piusowskiemu i sobie do grobowej deski jest podstawową wartością książki. Naszym zdaniem „wartość” jej tkwi zupełnie w czym innym: w tym, że „Raport” ukazuje się właśnie teraz — w roku 1952, kiedy dnia polityczny każdy sojusznik Hitlera jest figurą mile widzianą...

### ARYSTOKRATYZNA EWOLUCJA („The Lady”)

Nowy obrót przebiega rozwoju opieki nad własnymi niemowlętami w sensach aristokratyzm. Młode matki, które nie miały kiedyś czasu na swoje dzieci, nie karmiły swoich niemowląt, obecnie zajmują się nimi. Trzeba pokazać, że zajmowanie się one często i z powodzeniem, wychowywaniem i troskami niem zwierząt.

### CI ZIMNI ANGLICY („Neus Chronicle”)

Właściciel hotelu, o-karzony o przekształcenie swego lokalu na dom publiczny, oświadczył przed sądem w Norwicz w dniu wczorajszym, że zmuszony był do tego czynu przez amerykańskich wojskowych, których musiał przyjmować, aby interes szedł.

### KAZDEMU WEDŁUG JEGO GUSTU

Opowiadał mi Korniejew o pewnym Amerykaninie, który przyjechał do Moskwy i chciał dyskutować o wojnie. W Związku Radzieckim Wanda Wasiewska rozmawiała z nim parę godzin, ale bez widocznego rezultatu. Poszł więc do kawiarni, która była położona nad biegiem Dniepru, gdzie przy sąsiednim stoisku wybuchła między dwoma młodziencami awanturna o dziewcynę. Gdy kobieta się zakończyła, Amerykanin wstał i powiedział: „Byłi się tyle czasu i zaden policjański się nie pojawił! Doprawdy, teraz wierzę, że w Związku Radzieckim jest wolność”. Korniejew zakoczył siowami: „Kazdemu t.z.d.a dowodów, które są na poziomie jego inteligencji”.

### DZIEJE JEDNEJ PREMIERY

Dwa lata temu kompozytor brytyjski Alan Bush, komunista, otrzymał w czasie Festiwalu Brytyjskiego nagrodę Brytyjskiego Towarzystwa Artystycznego za swoją operę p. t. „Wat Tyler”, której akcja rozgrywała się w czasie angielskiej Rewolucji chłopskiej z roku 1649. Ale odegrano tę operę po raz pierwszy dopiero w kwietniu bieżącego roku i to w programie radiowym Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Nawet reakcyjny „Daily Express” komentuje to wydarzenie w ten sposób: „Nasi laureaci spotykają się we własnym kraju tylko z lekceważeniem swoich oper”.

### TYLKO DLA INTELIGENTYSTÓW („The Times”)

Potrzebny kawałek, intelektualista, do pomocy w hodowli świń. (Ogłoszenie)

### I KON BY SIĘ USMIAŁ („London Star”)

W miejscowości Nottingham zaprowadzono w dniu wczorajszym dwa pełne przedstawienie filmowe z bardzo wykwintnego krótkometrażowego o wyszczególnię Grand National. Konie okazały takie zainteresowanie, że film puszczono dla nich drugi raz.

### DLA INTELEKTUALISTÓW

Potrzebny kawałek, intelektualista, do pomocy w hodowli świń. (Ogłoszenie)

### I KON BY SIĘ USMIAŁ

W miejscowości Nottingham zaprowadzono w dniu wczorajszym dwa pełne przedstawienie filmowe z bardzo wykwintnego krótkometrażowego o wyszczególnię Grand National. Konie okazały takie zainteresowanie, że film puszczono dla nich drugi raz.

### „Spośród numerów sensu stricte

rewiwowych i satyrycznych największe na ładunek humoru i doskonałe są języki ironii przetłumaczonej przez demaskatorskiej wyróżnia się przede wszystkim „Wywiad z Bartkiem”. Dowcipny tekst (W. L. Brudzińskiego i A. Marianowicza) wykorzystali obydwaj wykonawcy (Brusikiewicz i Paulowski) dla miazdzącego ośmieszenia „Głosu Ameryki”. Jest to bardzo prawdziwe podobne, że w jednej z autentycznych audycji tej „niezależnej” od Amerykanów agencji usłyszycy polemikę ze śmiatkami z ulicy Kownickiej. Byłoby to jeszcze jednym dowodem powodzenia tekstu i dowodem zastagi wykonawców skęczu, a zwłaszcza Kazimierza Paulowskiego”...

Przykajając izy wzruszenia i żałozenia, wywołane tak potężną porcją komentów, nie potrafię jednocześnie oprzeć się pewnemu zdziwieniu. Cóż bowiem znaczy zyglichowski „usłyszycy”? Jest to niewątpliwie pierwsza osoba liczby mnogiej czasu przyszłego dokonanego od czasownika „słyszeć”, który to czasownik (zaglądamy ponownie do Słownika Warszawskiego) znaczy: „odbierać wrażenia dźwięków, pojmować zmysłem słuchu”. W pierwszej osobie liczby mnogiej zawiera się również pierwsza osoba liczby pojedynczej. Znaczy to, że pan Zyglich usłyszycy i że jego czytelnicy usłyszycy. Ale czy recenzent „Dziś i Jutro” ma prawo przypuszczać, że wszyscy jego czytelnicy słuchają „Głosu Ameryki”?

I w ogóle — na co ta cała żeluczka krętanina? Nie jesteśmy przecież dziećmi, proszę śmiałków z ulicy Mokotowskiej.

### Antoni Marianowicz